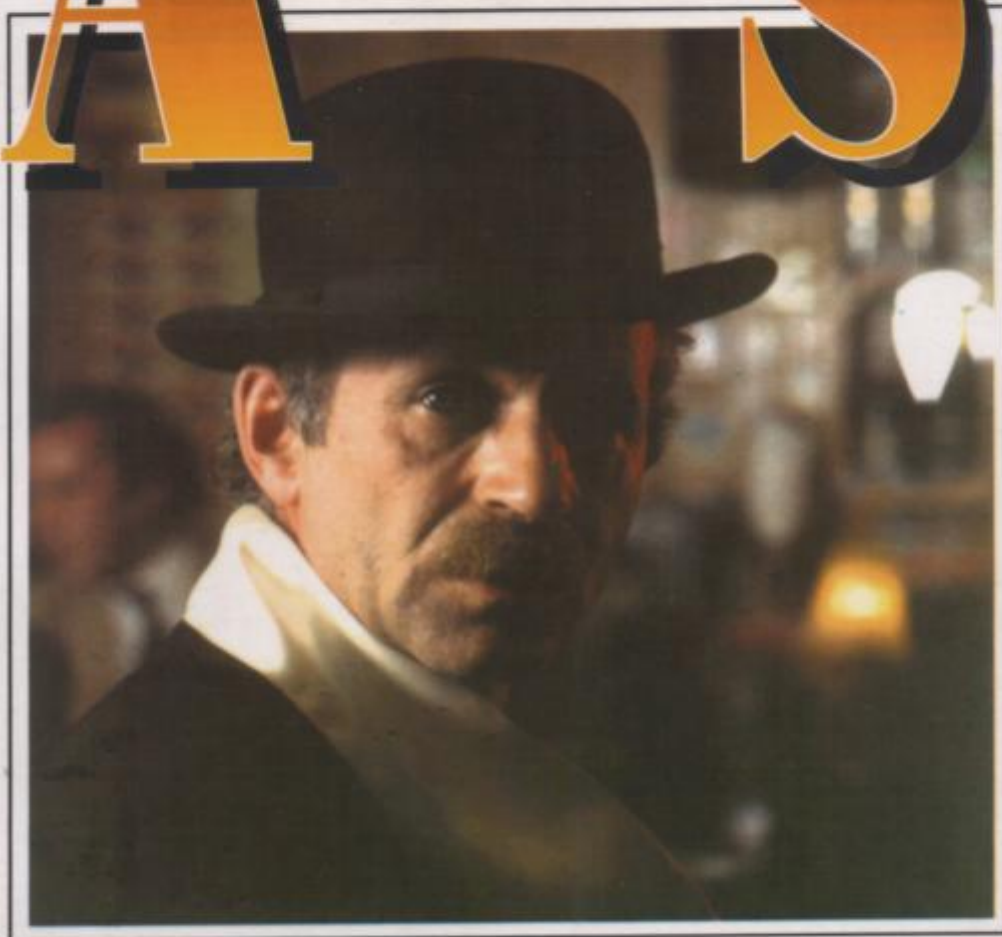


JANUSZ ATLAS

ATLAS



TOWARZYSKI

Atlas towarzyski

Janusz Atlas

Mojej Mamie

ZAMIAST WSTĘPU

Jedna z moich byłych żon usilnie w swoim czasie namawiała mnie, żebym napisał taką obyczajową książeczkę. Całkiem prawdopodobne, że w istocie zależało jej na tym, abym napisał o niej, gdyż była osobą nieposkromionych ambicji. Niezależnie od prawdziwych intencji, plan ten powiódł się o tyle, że faktycznie przez wiele lat układałem sobie w myślach prawdziwą historyjkę o wydarzeniach i ludziach, godnych albo tylko wartych zapamiętania i opisania. Jestem przekonany, że wszystko to, co napisałem - jest prawdą, chociaż być może inni będą całkiem odmiennego zdania. Nie mają racji.

J.A.

„SPATIF”

(mój pępek świata, Warszawa, Aleje Ujazdowskie)

Cała ta historia zaczyna się w knajpie, bo też knajpa jest najlepszym punktem odniesienia. „Spatif” był knajpą o tyle wyjątkową, że działającą na zasadzie klubu. Pojawiający się tam ludzie nie byli przypadkowymi przechodniami z ulicy, najpiękniejszej zresztą w całym mieście. Do „Spatifu” nie przychodziło się też nigdy tylko w celach gastronomicznych, lecz po to, żeby być, zaistnieć, spotkać się, porozmawiać, ewentualnie upić, ale to już wyłącznie przy okazji.



Do „Spatifu” wchodzi się z ulicy, po schodach, na wysoki parter w prawo. Tak przez dziesiątki lat trafialiśmy do pokoju garderobianego i na pierwszą naturalną przeszkodę w postaciach dwóch, zmieniających się, szatniarzy: Frania i Adasia. Wypada tu odnotować, że panowie ci byli biegunowo różni. Od Franka można było pożyczyć każde pieniądze, wszystko sprzedać i kupić, od Adasia - nic. Przez trzydzieści lat pozostał człowiekiem „nieprzemakalnym”. Zatem nieprzypadkowo zaślubił sobie w burzliwych latach osiemdziesiątych na pseudonim „Jurczyk”. Franek znał wszystkich, i Adaś też, ale Adaś uważał, że te znajomości do niczego nie zobowiązują, dlatego nawet Gustawa Holoubka, wieloletniego prezesa stowarzyszenia aktorów, odwiedzającego zresztą firmową knajpę niezwykle rzadko, legitymował z karty wstępu. Tak sobie wbił do głowy, i tak mu pozostało.

Z garderoby szerokie drzwi prowadziły do sali barowej, w której na uwagę zasługiwały dwa stoliki pod najbliższą ścianą. Większy nazywany był „łożą profesora Wohla” albo krócej - „Mówią Wieki”. Tam właśnie na honorowym miejscu i w specjalnym fotelu sadzano cierpiącego na chorobę Buergera sławnego operatora filmowego, reżysera, a jeszcze przed wojną żarliwego komunistę, Stanisława Wohla, a obok przysiadło się stałe w miarę towarzystwo: inny słynny operator filmowy Miecio Jahoda, Wiech, Ważyk, rzadko Słonimski, różne starsze panie i, w charakterze dopuszczanego do konfidencji juniora, Bohdan Tomaszewski z żoną. To towarzystwo w miarę upływu lat wykruszało się

drogą naturalną, ale zawsze ten jeden stolik pozostawał jakby pod ochroną. Kelnerki w pierwszej kolejności przyjmowały zamówienia i nawet kiedy wybuchała awantura, nie zahaczała nigdy o stolik starszuchów. To była swoista enklawa spokoju, kultury i dobrych obyczajów. Był to także jedyny stolik, do którego nie wypadało się przysiąść bez specjalnego, Wohlowego zaproszenia. Niektóre prominentne postaci, na przekór dobrem obyczajom, uciekały od tego stolika. Kimś takim był np. Janusz Minkiewicz, który mówił, że siedząc przez godzinę w łożu starców, za każdym razem czuł się jedną nogą w grobie. Faktem jednak pozostaje, że któregoś dnia, w roku 1981, Minio poszedł do domu po kolacji przy tym właśnie stoliku, a w nocy umarł.

Zginął tragicznie Antoni Słonimski, umarł Ważyk, umarł także Stanisław Wohl. Stolik pozostał. Po dawnemu siadali przy nim Bohdan Tomaszewski, Pietruski, Jahoda, Passendorfer. Ale już nie interesowali nikogo.

Drugim ważnym stolikiem sali barowej była „łoża Prutkowskiego”. Nieustannie rozbankietowany Józek, pierwszy kalamburzysta Polski Ludowej, jedyny człowiek, który komunizm traktował jak zabawę, spraszał tam swoje towarzystwo: to właśnie on deprawował alkoholem młodzieńskich sportowców Badeńskiego i Komara, i jakieś tancerczki, i piosenkareczki, i całe tabuny kurwiątek, ale to dopiero wtedy, kiedy został szefem kabaretu „Friko” - koszmarnej trupy chałturniczej, którą słusznie traktował jako maszynkę do zarabiania pieniędzy. To właśnie Prutkowski rozprawiał po „Spatifie” strip-teaserki z prowincji, polujące na mężów z mieszkaniem. Niektórym się nawet udało.

Prutkowski był postacią, chociaż jego dowcipy nie należały do szczególnie wyszukanych. Jakieś dwadzieścia lat temu, późnym wieczorem, najwyraźniej po spektaklu, rączo w kierunku baru podązał zwałisty Henryk Bąk, aktor dość popularny. Nagle słychać histeryczny wrzask Prutkowskiego: „Kto puścił bąka?...”. Innym razem, a było to w czasach, kiedy Józek ostro romansował z pewną piosenkarką, nagle zerwał się od stolika licznie obsadzonego przez gości, ogłaszając: „Idę do Teresy. Ale ja się do niej nie umygam...”.

Od tego samego stolika wstał Prutkowski, lekko tylko podpity, lutowym popołudniem roku 81, żeby w „Hybrydach” spotkać się ze studentami. Obiecał, że wróci przed kolacją. Nie wrócił już nigdy. Wojowniczo nastawieni studenci zaatakowali go ostro z pozycji politycznych, i radośnie usposobionego do życia Józka po prostu trafił szlag. Umarł właściwie na oczach zbuntowanej gawiedzi.

Jeszcze jeden spatifowy stolik zasługuje na odnotowanie: „łoża generalska”. Zasiadali przy nim emerytowani wyżsi oficerowie wojska i policji, bardzo dziwne towarzystwo. Sądzeni w latach pięćdziesiątych, torturowani i skazywani na śmierć generałowie: Kuropieska, Skibiński i Skalski, a obok nich zatwardziali aż do śmierci ubecy: Sienkiewicz i Bryniarski, sympatyczni emeryci. Postacią chyba najzabawniejszą w tym towarzystwie był generał Skibiński, człowiek od Maczka, któremu cudem jakimś udało się przeżyć tortury w kazamatach Informacji Wojskowej. Otóż 13 grudnia 81, w dniu ogłoszenia stanu wojennego, Franek Skibiński pojawił się na obiedzie w pełnej gali mundurowej i przy orderach. Dopiero w klubie ktoś mu wyjaśnił, że to nie komunistów wzięto za dupę, ale odwrotnie.

„Spatifem” aż do czasów najświeższych rządził szef, zwany nieprecyzyjnie kierownikiem. Pierwszym ważnym szefem, którego jednak nie miałem okazji poznać, a który przeprowadził „Spatif” w Ujazdowskie, był legendarny „Sidor” - - Sidorowski, restaurator bardzo surowych obyczajów. To

właśnie on wymyślił instytucję „szlabanu”, czyli czasowych zakazów wstępu dla gości, zachowujących się nieobyczajnie. Można było wylecieć z klubu za nadmierne pijaństwo, za burdę, za nieeleganckie zachowanie się przy stole i, wbrew pozorom, była to kara straszna, bo pozbawiająca człowieka jego naturalnego środowiska. W moim „Spatifie” takim sędzią i katem był Kazio Jaroszyński, mężczyzna postawny, znający się na swoim fachu, z wyraźną przyjemnością pielęgnujący siwą, elegancką brodę i dlatego przezywany Hemingwayem. Wcześniej Kazio był prawą ręką Sidora i dlatego tradycje klubu kultywował z należytą temu powagą. Kiedy już zdecydował się komuś dać „szlaban”, nie było odwołania.



Byłem świadkiem takich cierpień. W roku chyba 72, reżyser Antoni Krauze zrobił film „Palec boży” według scenariusza, też młodego i obiecującego wówczas pisarza, Tadeusza Zawieruchy. Z powodów, jak zwykle, idiotycznych film ten nie spodobał się towarzyszom od propagandy urzędującym w „Białym Domu”. Wyrok KC był łagodny, bo filmu nie odłożono „na półkę”, a jedynie odmówiono prawa do zorganizowania premiery. Bez zapowiedzi i reklamy „Palec boży” miał się pojawić na ekranie kina „Młoda Gwardia” w Pałacu Kultury.

Na sposoby są sposoby. W pierwszym dniu wyświetlania po bilety na wieczorny seans ustawiała się do kasy długa kolejka: reżyser, scenarzysta, aktorzy i wszyscy ich znajomi, także oficjalni opiekunowie filmu, czyli szefowie zespołu, którzy dopuścili do takiego kulturalnego szkodnictwa. To spontaniczne zorganizowanie premiery bez premiery było (co dzisiaj śmieszny) aktem pewnej odwagi, bo jednak doszło do zgromadzenia znacznej grupy ludzi w jednym miejscu i czasie. Nieliczni widzowie z ulicy mocno byli zdziwieni widząc w kinie na projekcji całkiem nieznanego filmu prawdziwy tłum „televizyjnych” postaci, same znane gęby. Po dwóch godzinach w „Młodej Gwardii” zapaliło się światło, a wycieczka udała się w letnią czerwcową noc wprost do „Spatifu”. Prawdziwy kłopot zaczął się dopiero w szatni, gdy okazało się, że Zawierucha właśnie ma „szlaban”! Przyjęcie wyglądało więc następująco: bankiet odbywał się w najlepsze przy dużym stole, a co pół godziny w drzwiach knajpy pojawiał się Zawierucha i wołając błagalnie „Panie Franiu, ja tylko na minutkę!” podbiegał do

wolnego napełnionego po brzegi kieliszka, wypijał duszkiem i wracał na ulicę, żeby pospacerować. Odbił osiem takich kursów i, podobnie jak inni, upił się znacznie, choć w dużo trudniejszych warunkach.

Różności działa się w „Spatifie”. A to Daniel Olbrychski skarcił Andrzeja Jaroszewicza (co było sensacją tygodnia), a to znowu reżyser Wilewski przemycił z zagranicy nowy wynalazek - pistolet gazowy i dla fantazji wystrzelił pod stołem. Po dwóch minutach płakała cała knajpa, a Kazio Jaroszyński, cały we łzach, ściekających z siwej brody na nieskazitelny tużurek, ogłaszał bardzo surowy wyrok: rok „szlabanu”!

W pierwszych latach dynamicznego rozwoju kraju w „Spatifie” dwa razy w tygodniu odbywały się potańcówki. W czwartki grał taper, a w soboty orkiestra w składzie: pianino, banjo, marakasy. I nawet dwie młode artystki rozebrały się do naga. Potem orkiestrę zlikwidowano, bo była za droga, i jedynym stałym punktem artystycznym stała się pieśń liryczna „Jest Warszawa” w wykonaniu Zosi Grabińskiej, też zawsze przy tej okazji kompletnie zapłakanej. Grabińska w pierwszym powojennym teatrze warszawskim, jeszcze na Pradze pod ochroną Armii Czerwonej, była Kaziem w pierwszej w Polsce Ludowej inscenizacji „Żołnierza królowej Madagaskaru” - słusznie rezerwując sobie poczesne miejsce w historii polskiego teatru.

A jednak „Spatif” zszedł na psy! Początkiem końca był pomysł nowego ajenta, żeby co trzy miesiące wyrzucać z pracy kelnerki, bo trzy miesiące to zgodnie z kodeksem pracy tzw. okres próbny i nie trzeba za personel płacić składki ZUS. Tak więc w ciągu roku padł cały przez lata sprawdzony personel, jak meteory pojawiały się panienki, zainteresowane gośćmi wyłącznie erotycznie, więc też w jakimś sensie usługowo. Były to jednak postaci mało fantazyjne. Tylko Duża Ania została najprawdziwszą, licencjonowaną kurwą i nawet dorobiła się poloneza. W trakcie tych ubezpieczeniowych czystek wyleciała z pracy również Mańka-Cycofon, kelnerka wyjątkowa i niepowtarzalna. Miała otóż zwyczaj podawania do stołu tylko tym ludziom, których znała i lubiła. Nieszczęśnik, który nie miał przyjemności znać Mańki osobiście, szykanowany był bezlitośnie. Kiedy usiłował złożyć zamówienie przechodzącej Mańce, słyszał: „odpierdol się, baranie!”.

Mieliśmy też prywatną aferę kryminalną, kiedy to wycwanione kelnerki wprowadziły do knajpy prywatną wódkę, którą sprzedawały z gastronomiczną marżą. Agent się wściekł, do czego akurat miał prawo, i wezwał milicję, ale zanim dojechał radiowóz, rozmyślił się, bo zdesperowane dziewczyny zagroziły ujawnieniem stróżom porządku publicznego wielu szwindli szefa. Niemniej, z pracy zostały wyrzucone, ale z zemsty ostatniego wieczora odmawiały przyjmowania od stałych klientów zapłaty za jadło i napitek.

„Spatif” wraca, i będzie wracać, na marginesie najróżniejszych wspomnień. W latach Gomułki i Gierka był bowiem takim samym centrum kulturalnym, jak „Kameralna” w latach Bieruta. I tak jak „Kamera” (i wiele knajp przed nią) pewnego dnia padł, aby już się nie podnieść. I nie wiadomo właściwie dlaczego?

„CZYTELNIK” (piwnica, ulica Wiejska)

Miejsce to, zwane kawiarnią, tak naprawdę jest barem szybkiej obsługi z jedzeniem domowym. „Czytelnik” jest też jedynym miejscem, którego, w sensie towarzyskim, nie zniszczyła „wojna Jaruzelska”. Przed wojną było to miejsce spotkań „na szlaku”. W końcu nad piwnicą stoi pięciopiętrowy gmach najpoważniejszego wydawnictwa książkowego, a w domach obok mieściły się redakcje wysokonakładowych i opiniotwórczych pism tygodniowych.



Do świetności „Czytelnika” najbardziej przyczynili się dziennikarze „Kultury”, zazwyczaj dobrze poinformowani, i Tadeusz Konwicki, który przychodził codziennie rano, a dla jego towarzystwa także coraz liczniejsza grupa ludzi. To dość dziwne, ale towarzystwo poszło właśnie za Konwickim, a nie za Antonim Słonimskim, który na godziny przedpołudniowe rezerwował sobie stolik „U Marca” albo w „Wilanowskiej”. Tak, na pewno Konwickiemu „Czytelnik” ma najwięcej do zawdzięczenia.

I - mądrze prowadzonej kuchni, i dotacjom długoletniego prezesa Bębenka.

W stanie wojennym piwnica stała się siedzibą spiskowców. To było właśnie prawdziwe Colosseum występów Bratkowskiego, który bardzo chciał się ukrywać i nie mógł zrozumieć, że безпеaka bynajmniej nie ma zamiaru go zamknąć. W sposób najbardziej oczywisty chłopcy od Kiszczaka wykreślili „Czytelnika” z listy obiektów swego zainteresowania. Przypuszczam, że w czasie wojny sztab dowódczy traktował „Czytelnika” na zasadzie wentylu bezpieczeństwa. Chciał mieć opozycjonistów-gawędziarzy skoszarowanych w jednym miejscu.

Najbliżej lady z książkami był stolik literacko-artystyczny dla ozdoby z paroma sędziwymi wdowami po pisarzach. Tam brylował dopraszany Bratkowski. Przy stolikach w głębi sali spiskowali bezrobotni dziennikarze, ale bezrobotni tylko chwilowo, bo już po paru miesiącach zaocznie powołani do służby w miesięczniku „Radar”, po to tylko, żeby wieczny naczelny Klechta, po zmianie wiatrów, mógł odgrywać opozycjonistę. Jedynym człowiekiem w „Czytelniku” znającym prawdopodobnie

wyznaczone reguły był prezes Bębenek, usadowiony na końcu sali pod ścianą i nieustannie główkujący, jak całe to podpiwniczone towarzystwo wyżywić za nieduże pieniądze, bo władzy chodziło także o to, żeby spiskowicze nie porzłazili się po mieście.

Z prawdziwą ciekawością przychodziłem z nudów do „Czytelnika”, żeby popatrzeć sobie na ten zoolog.

„MELODIA”

(czyli „Paradis”, z drugiej strony placu Trzech Krzyży)

Tylko raz siedziałem w jednej kompanii z Januszem Minkiewiczem, zwanym „Miniem”. Był to już bardzo siwy pan, niewątpliwie przystojny, ale zgięty w pałąk, cieszący się zasłużoną sławą pijaka (Hłasko pisał, że Minio ma pojemność cysterny lotniczej) i pożeracza serc niewieścich. Właśnie dzięki tej drugiej okoliczności los zetknął mnie z Miniem. A było to tak: siedzieliśmy z Mętrakiem przy stoliku w „Spatifie”, i umawialiśmy się na dalszą część wieczoru z kelnerkami, bo zrobiło się po północy i Franek mruganiem światła dawał znaki, że pora opuścić gościnne progi. Naprzeciwko, z kamienną, jak zwykle, twarzą siedział Minio. Sam. Kiedy się podnieśliśmy, kamienny Minio przywołał Mętraka niemym gestem i poinformował, że razem z dziewczętami (ale koniecznie z dziewczętami!) zaprasza nas na dancing do restauracji „Melodia” (dawniej noszącej nazwę „Paradis”, aż się ktoś połapał, że lokal rozrywkowy vis-à-vis KC powinien się nazywać jakoś bardziej swojsko). No, to podreptaliśmy przez plac Trzech Krzyży do tej „Melodii”, ćwierkając z panienkami. Tuż obok dreptał Minio. Pod drzwiami knajpy głośno demonstrował męski tłum amatorów nocnych zabaw, ale bramkarz dzielnie bronił wejścia, w chwilach szczególnie krytycznych łapiąc w mocarną dłoń krzesło i młynkując nim nad głową. Wyglądało to dosyć groźnie, ale na widok Minia cerber rozpogodził się i uprzejmie skłonił. Minio, ciągle bez słowa, skinął na nas i weszliśmy do środka. Ktoś usłużny wskazał stolik.

Minio cały czas milczał. Odwrotnie Beatka, bardzo świeża siła kelnerska. Zaczęła grać orkiestra, już nie pamiętam co, pewnie - byle co, a Beatka natychmiast: „Ach, jak cudnie grają! Jak byłem w Krynicy, to samo grali na fajfach!”. Kelner przyniósł kieliszki. „To zabawne powiedziała Beatka jak byłem w Krynicy, to w Domu Zdrojowym na fajfach podawali takie same kieliszki”. Kelner otworzył butelkę wódki. „Soplica! W Krynicy na fajfach tylko to piliśmy!” Minio ciągle nieporuszony bawił się kieliszkiem. Beatka poczuła się w obowiązku nawiązać konwersację: „A czy pan był kiedyś w Krynicy?” I wtedy Minio powiedział tylko jedno zdanie: „Ty, odpierdol się z tą Krynica!”, po czym wstał i oddalił z godnością. Był to ten jedyny raz, kiedy słyszałem głos cenionego satyryka i poety awangardowego Janusza Minkiewicza.

Kilka lat później, tuż przed jego śmiercią, widziałem inną scenę. W porze obiadowej wszedł do prawie pustego „Spatifu” Mieczysław F. Rakowski, dopiero co mianowany wicepremierem w rządzie generała Jaruzelskiego. Jak niegdyś Mętraka, Minio przywołał wicepremiera skinieniem palca, Rakowski podszedł, Minio coś wymamrotał, na to wicepremier niby się uśmiechnął, ale zaraz odwrócił się na pięcie i nie ukrywając wściekłości pozęgłował do następnej sali, żeby usiąść samotnie. Siedząca najbliżej Minia Zośka Czerwińska zaskrzeczała głośno i piskliwie, jak tylko ona potrafi: „Dobrze mu powiedział!”. A co powiedział? „O jeden gabinet za wcześniej...”

„POD KOGUTKIEM”

(lokal zastępczy, róg Pięknej i Mokotowskiej)

Latem roku 1976 władze stowarzyszenia artystów zarządziły remont budynku w Alejach Ujazdowskich. „Spatif” zamknięto, aby niespodziewanie po trzech miesiącach uruchomić lokal zastępczy na miejscu restauracji kategorii III, specjalizującej się wcześniej w produkcji dań z drobiu (szyld!).

Był to rzeczywiście lokal kategorii trzeciej, z barem na stojąco w korytarzu, z jedną małą, nieźle oświetloną salką od frontu, i drugą, której okna wychodziły na podwórko-studnię, więc zawsze było tam ciemno jak w grobie. Żałobny, siłą rzeczy narzucony nastrój sprzyjał konsumpcji alkoholu. O ile w Ujazdowskich wypadało zachowywać jakieś pozory, choćby z uwagi na możliwość kontroli z wyższych pięter, o tyle w „Kogutku” biesiadowano bezkarnie, i chociaż architektonicznie było paskudnie, lokal bardzo szybko stał się ulubionym miejscem codziennych wizyt doprawdy całej towarzyskiej śmietanki.

Przed wszystkim przypomnieli sobie o własnej restauracji sami aktorzy, którzy mimo wszystko bali się Holoubka i w gmachu z gabinetem prezesa woleli się na niego nie natykać. Co innego na Mokotowskiej. Dlatego tam zawsze było tłoczno. Może to dziwne, ale do legendy „Kogutka” przyczyniła się najbardziej nie jakaś wybitna postać artystycznej Warszawy, lecz skromna i bardzo młoda tancerczka, dziewczyna osiemnastoletnia, której imienia dziś już nikt nie pamięta. Nie wiadomo także, kto przyprowadził ją po raz pierwszy.

Na gościnnych występach w stolicy bawił jakiś prowincjonalny kabarecik i osoby w nim występujące późnowieczorową porą przychodziły na kolację. Dziewczyna była ładna i miła, więc szybko otrzymała wiele ofert noclegów. Godziła się na nie, bardzo pilnując, żeby za każdym razem było to inne mieszkanie. Po tygodniu prowincjonalny kabarecik zwinął manele, ale tancerczka została i pojawiała się w lokalu już codziennie o trzynastej, z chwilą otwarcia.

Dziewczyna miała swój rytm dnia. Gościnne progi mieszkania nowego przyjaciela opuszczała rano, bo gospodarz musiał przecież iść do jakiejś pracy. Spacerowała po mieście, oglądała sklepy i na obiad wracała do klubu. Tam, wśród tłumu ciągle zmieniających się bywalców, umiejętnie balansując pomiędzy stolikami, ciekawie gubiła czas aż do północy, kiedy trzeba było pójść do domu. Zawsze znalazł się ktoś, kto tancerczkę przygarnął. Tak to trwało przez dwa albo trzy miesiące, aż chyba Koń - człowiek wolny, znalazł pod stolikiem kalendarzyk, a w nim odnotowany, strona po stronie, data po dacie, szlak stołecznych występów tancerczki; z podaniem nazwisk, adresów i telefonów jej męskich przyjaciół. Dziewczyna prowadziła też swoistą klasyfikację znajomych. Na ostatniej stronie notesu ułożyła długą listę nazwisk, przy każdym z nich stawiała na własny użytek stopień w skali od 2 do 5, jak w szkole. Zaraz powiało mrozem, bo przecież niektórzy znani panowie nie chcieli przywiązywać do znajomości z tancerczką większej wagi, a już zupełnie nie satysfakcjonowały ich wystawione oceny. I to był początek końca kariery ambitnej nastolatki. Przestała być zapraszana na noce do przyjaciół i znajomości z nią znacznie straciły na atrakcyjności. Nie mając już nic do załatwienia w stolicy, pewnego dnia nie przyszła do klubu. Prawdopodobnie wyjechała z Warszawy.

„Pod Kogutkiem” urządziłem przyjęcie weselne po pierwszym z moich ślubów i była to impreza nie tylko udana, lecz także niedroga. Rachunek, jak pamiętam, wyniósł 13 tysięcy złotych. Już nigdy nie uda się zabawić w gronie sześćdziesięciu osób za tak śmieszne pieniądze.

Dom na rogu Pięknej i Mokotowskiej stoi jak stał. Wnętrza parteru zostały gruntownie przerobione dla firmy „Interfragrance”. Łapię się na tym, że przechodząc obok, nie mam żadnych sentymentalnych myśli.

„BIAŁY DOM”

(były Komitet Centralny byłej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, naprzeciw „Melodii”)

O „Białym Domu” mówiło się w redakcjach z przestachem, tak jak o areszcie komisariatu dzielnicowego na Wilczej. Zupełnie tak, jakby w KC ważyły się losy każdego z nas. Poniekąd tak było. Tam bowiem zapadały kapturowe wyroki za różne przewiny. Skazaniec nie mógł nawet zobaczyć twarzy bezwzględnych sędziów. Wszystko to, co komukolwiek udało się napisać, tam, w KC, było uważnie czytane i osądzone: na „tak”, albo - co gorsza - na „nie”! Po to partia zatrudniała cały tabun tzw. instruktorów. Faceci ci (także facetki) dostawali wysokie pensje, mieszkania poza kolejnością i samochody na talony tylko za to, że uważnie czytali całą gazetową produkcję, przed i po wydrukowaniu.



Każdy tekst, jeżeli budził wątpliwości natury politycznej, odsyłany był „do konsultacji” do Wydziału Prasy w KC. Już samo to zdarzenie było dla autora ostrzeżeniem. Jeżeli tekst wracał z akceptacją do druku, gdzieś tam, prawdopodobnie w jakiejś kartotece przy nazwisku autora stawiano „fajkę” albo znak zapytania. Taka „popularność” w budynku KC miała fatalne skutki. Doświadczyłem tego na własnej skórze.

W samym gmachu byłem tylko trzy razy. Ten pierwszy raz na bardzo licznej konferencji. Dyżurny milicjant kierował do bramy, z dziedzińca na lewo, gdzie kręciło się ośmiu młodzianków w cywilnych ubraniach. W jakiś niewiadomy sposób byli oni jednak różni od wchodzących zaproszonych. Na czym polegała różnica, zrozumiałem dużo później. Otóż ci cywilni funkcjonariusze ubrani byli w szczególny

sposób skrojone garniturki, prawie tak samo jak sportowcy wysyłani przez ludowe państwo na olimpiadę. Prawdopodobnie mieli gdzieś w podziemiach specjalny sklep, w którym garnitury te można było kupić po przystępnej cenie. I prawdopodobnie któraś z fabryk odzieżowych szyła taśmowo, ale wyłącznie na zamówienie KC, te garnitury w różnej tonacji kolorystycznej i w różnych rozmiarach, lecz przecież identyczne - mundury cywilnych funkcjonariuszy. Więc tym pierwszym razem wysłany zostałem na jakąś wielką naradę do sali na piątym piętrze, znanej z transmisji telewizyjnych, bo tam odbywały się posiedzenia plenarne Komitetu Centralnego.



O co chodziło w tej nasiadówce - nie pamiętam. Prawdopodobnie wbijano dziennikarzom do głów pożytki płynące z decyzji o przerobieniu Polski siedemnastowojewódzkiej na czterdziestodzieściwojewódzką. W prezydium brylował towarzysz Ostapczuk, rodem z Opolą, który wyróżnił się tym, że w kilka lat później, jeszcze w dekadzie Gierka, uciekł do RFN. Wtedy ten Ostapczuk referował z przejęciem słuszną decyzję Biura Politycznego, a dziennikarze (kilku najstawniejszych rozpoznałem, bo znałem z widzenia) popierali go swoimi wystąpieniami w dyskusji i bili brawa. Cała impreza wydała mi się obrzydliwa, nawet nie ze względu na przewodni temat, tylko z powodu szczególnej celebry. Było to śmiertelnie nudne i sztuczne, ale ja siedziałem cichutko przy końcu długiego stołu i notowałem zawzięcie złote myśli towarzysza Ostapczuka, wówczas chyba kierownika wydziału.

Dużo ciekawiej, choć znacznie groźniej było za drugim razem. Właśnie dopiero co niejaki Łukasiewicz, redaktor naczelny „Sztandaru Młodych” wyrzucił mnie z pracy. A wyrzucił, bo mnie nie lubił. A nie lubił, bo opowiadałem o nim w redakcji. A opowiadałem, bo cokolwiek wiedziałem o jego życiorysie.

Wiedziałem, że w marcu 68 roku był szefem ZMS na Uniwersytecie Warszawskim i kiedy zaczęła się ta cała moczarska awantura, dostał polecenie wydawania pisemka ulotnego pt. „Nasza walka”. Na czterech stronach maszynopisu, odbijanych na powielaczu, kolega zetemesowiec Łukasiewicz drukował krótką instrukcję: jak rozpoznać Żyda, czym i gdzie go uderzyć, żeby nie wstał. Po takiej praktyce dziennikarskiej szybko, tuż po zakończeniu studiów, mianowany został szefem całej akademickiej prasy zetemesowskiej, a stamtąd przeniesiono go w teczce wprost do gabinetu redaktora naczelnego profesjonalnego tygodnika - organu ZMS „Walka Młodych”. Od zawsze to pismo Hanki Sawickiej było periodykiem łajdackim, ale redaktor naczelny Łukasiewicz poczynił jeszcze znaczny krok naprzód. Z „Walki Młodych” awansował na szefa „Sztandaru Młodych”, w którym właśnie pracowałem od lat czterech i gdy mnie koledzy pytali, skąd się wziął nowy szef, to ich właśnie uprzejmie informowałem. Oni natomiast - czego już nie wiedziałem - informowali Łukasiewicza, więc mnie wyrzucił.

Czas akurat zrobił się okropny, bo kilka tygodni wcześniej przeciwko podwyżkom cen zbuntowała się ludność Radomia i Ursusa i partia zaczęła polowanie na warchołów. Na to polowanie społeczeństwo PRL odpowiedziało wyjątkowo perfidnie, bo polowaniem na cukier w sklepach. Władza musiała w trzydziestym drugim roku dynamicznie rozwijającej się Polski Ludowej, w dodatku aspirującej do miana dziesiątego mocarstwa świata, wprowadzić kartki na cukier. W dodatku kartek nie wolno było nazywać kartkami, bo źle się kojarzyły - z okupacją hitlerowską. Wymyślono więc dla nich nazwę „bony towarowe”. No, to ludzie się śmieli i na „bony” też wykupili cukier kompletnie.

Aparat partyjny denerwował się i niepokoił, zwłaszcza że właśnie wtedy uaktywniła się grupa zawodowych opozycjonistów, którzy założyli KOR. Jak zawsze w momentach zagrożenia, partia koniecznie chciała zademonstrować swoją siłę. Esbecja zaczęła korowców zamykać w aresztach, ale natychmiast zaprotestowali politycy z Zachodu. Trzeba było korowców wypuścić, ale odciąć się od nich i udowodnić światu, że to margines, że polskie społeczeństwo myśli inaczej i popiera PZPR. I takie zadanie postawiono przed rozleniwionym aparatem propagandy partyjnej. Pechowo, bo akurat wtedy, dostałem się w tryby tej maszyny. Nie miałem, oczywiście, nic wspólnego ani z opozycją, ani z KOR-em. Nie znałem ani Kuronia, ani Michnika, ani nikogo z ich przyjaciół. Ale właśnie dlatego, że do kogoś takiego jak ja i mnie podobnych, do takich płotek najłatwiej było się dobrać, wezwano mnie, bezrobotnego, do KC na rozmowę z zastępcą kierownika wydziału prasy, Grzelakiem. Jednak jako

osobę nic nie znaczącą przyjęła mnie w swoim instruktorskim pokoju bez wygód towarzysza Zwolińska.

Zanim to nastąpiło, nie zostało mi oszczędzone pół godziny pokory w poczekalni biura przepustek. Później cywil w służbowym garnitur ku skierował mnie do windy. Na trzecim piętrze odnalazłem właściwy numer pokoju.

- Siadajcie.

Obejrzałem się: - Jestem sam - odpowiedziałem.

- Nie udawajcie idioty - ryknęła Zwolińska - dobrze wiecie, że wezwaliśmy was nie dla zabawy. Co macie do powiedzenia?

- Nic nie mam do powiedzenia, straciłem pracę, ale nie wiem dlaczego. Starłem się dostać inną, ale mi powiedziano, że najpierw musi zgodę wyrazić KC i po tę zgodę przyszedłem

- starałem się mówić spokojnie i rzeczowo, bo ktoś życzliwie mi podpowiedział, że w KC nie lubią przestraszonych.

Zwolińska pozbawiła mnie jednak wszelkich złudzeń:

- Wasza sprawa jest poważna, już wy doskonale wiecie, dlaczego. Właściwie powinniśmy was wydalić z szeregów polskiego dziennikarstwa, ale dajemy wam ostatnią szansę. Zgłosicie się w wydawnictwie i tam wam powiedzą, jaką otrzymacie pracę - towarzysza Zwolińska nadała swoim słowom ton pogardy.

Tego, o czym miałem wiedzieć, a naprawdę nie miałem zielonego pojęcia, dowiedziałem się pośrednio od maszynistki w „Sztandarze Młodych”, która na polecenie wydziału i pod dyktando Łukasiewicza napisała oficjalną opinię o mnie i o mojej pracy. Nigdy tej opinii nie widziałem na oczy, ale maszynistka powiedziała mi w największej tajemnicy, że była to opinia straszna! Łukasiewicz przedstawiał mnie jako zatwardziałego wroga PRL, podżegacza warcholskich wystąpień w Ursusie i w Radomiu, którego jednak w porę udało się zdemaskować i unieszkodliwić.

Dokładnie cztery lata później telefonicznie zaprosił mnie na rozmowę w tym samym miejscu nowy zastępca kierownika wydziału prasy, towarzysz Królikowski. Czasy były już jednak zupełnie inne, bo jesienią 80, po ciężkim boju, doszło do rejestracji sądowej „Solidarności”, a dziennikarze w masie, czyli w swoim stowarzyszeniu, powzięli decyzję o konieczności odnowienia się, moralnie i organizacyjnie.

Towarzysz Królikowski oszczędził mi wystawiania w biurze przepustek. Cywilny funkcjonariusz odfajkował mnie na jakiejś specjalnej liście, inny zjechał po mnie windą i towarzyszył do drzwi gabinetu. Naprzeciwko pod oknem siedział najnormalniejszy mężczyzna w średnim wieku, pogodnie uśmiechnięty. Wskazał miejsce po drugiej stronie biurka i nawet poczęstował kawą. Znowu byłem bezrobotny i już dość hardo zapytałem, jak długo jeszcze? Towarzysz Królikowski powiedział na to, że bym się nie denerwował, bo nie ma powodu. On sam osobiście przejrzał moje dossier i też osobiście postara się, abym otrzymał satysfakcjonującą mnie robotę. Ale - najzupełniej prywatnie - radzi być ostrożniejszym w publicznych wypowiedziach. I tyle.

Rozstaliśmy się z uśmiechami i uściskiem dłoni. Następnego dnia otrzymałem pismo o przyznaniu etatu w redakcji, do której od pół roku bezskutecznie chciałem się dostać. Widać, czasami w KC urzędowały złote rybki.

SDP

(pałacyk przy Foksal, w samym środku Warszawy)

Ulica Foksal, poprzeczna od Nowego Światu, ale w geografii Warszawy to bardzo ważne miejsce. Wychowałem się tuż obok, lecz byłem wówczas za mały, żeby odwiedzić „Kameralną” - pierwszy po wojnie luksusowy lokal gastronomiczny stolicy. Foksal zresztą przemianowano, na krótko, na ulicę Młodzieży Jugosłowiańskiej.

Wróciłem na Foksal dopiero jako obiecujący adept dziennikarstwa w końcu lat sześćdziesiątych, bo właśnie tam, prawie na końcu ślepej uliczki mieściła się siedziba Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich - pałacyk z przedwojennym rodowodem, słynny z tego, że w 1934 roku ukraiński nacjonalista zastrzelił tam na schodach ministra Pierackiego, sanacyjnego szefa resortu spraw wewnętrznych. Zdarzenia tego przez pół wieku nie upamiętniała żadna tablica i zapewne dopiero teraz to się zmieni. W każdym razie mojemu i paru wcześniejszym pokoleniom pałacyk kojarzy się wyłącznie z siedzibą nieruchomości i serwilistycznych wobec każdej władzy polskich dziennikarzy. Właśnie tam, ale na szczęście tylko na chwilę, zaczęła się moja kariera politycznego działacza, aktywisty i odnowiciela. Dziełem przypadku.



Wrześniowym wieczorkiem roku 80, razem z moim przyjacielem, redaktorem Zawiszą raczyliśmy się gorzałką w gościnnym domu państwa Bratkowskich na oficerskim Żoliborzu. Przygnała nas tam chęć poznania prawdy o dziejach Polski Ludowej. Zaś prawdę tę miała ogłosić nasza długoletnia szefowa redakcyjna w „Kulisach” Hanka Bratkowska. Hanka miała piękny życiorys zawodowy jako jedna z głównych postaci legendarnego tygodnika „Po prostu”, którego dziennikarze w trudnych latach pięćdziesiątych dopomogli Gomułce w powtórnym sięgnięciu po władzę i byli prawdziwymi animatorami Polskiego Października 56. W rok później ten sam Gomułka rozbił redakcję w proch i pył, a milicji kazał spałować studentów demonstrujących na Placu Narutowicza w obronie gnojonych dziennikarzy.

Bratkowska, która z pozycji jak najbardziej komunistycznych była głównym ideologiem „Po prostu”, poległa z całą redakcją. Nie spadła na nią jednak kara najcięższa: zakaz pracy i pisanie (czego doświadczył np. Urban). Za winy rewizjonizmu miała odpokutować na kierowniczym stanowisku w bulwarowym tygodniku „Kulisy”. I tak pokutowała całe dwadzieścia trzy lata, aż do strajków sierpniowych. Potem zaczęła się bezkrywa, na razie, rewolucja i my, młodzi, chcieliśmy brać w niej udział mądrzejsi o błędy starszych kolegów. Dlatego Hanka zaprosiła nas do swego domu i prowadziła o Październiku, zaś my słuchaliśmy ciągnąc przy tym wódeczkę. Wieczór o tyle był znaczący, że już następnego dnia, właśnie w SDP na Foksal, miał się odbyć wielki wiec dziennikarski, połączony z podjęciem deklaracji pisanie od tej pory samej prawdy o kraju i ludziach.



Historycznego ranka obudziliśmy się z kolegą Zawiszą z kacem, niemniej punktualnie stawiliśmy się w sali kinowej na piętrze. Po chwili dobił tłum, zrobiło się bardzo ciasno i zaczęli swoje występy mówcy. Siedzieliśmy z Z. w piątym rzędzie, widząc i słysząc wszystko dokładnie, ale ja cierpiałem bardzo z powodu dokuczliwego pragnienia. Czułem, że jeżeli szybko nie napiję się piwa, to mnie trafi szlag. Tymczasem knajpę na parterze otwierali dopiero o jedenastej i co najmniej pół godziny miałem siedzieć w ścisku, jak na torturach. Przy skłonnościach klaustrofobicznych oznaczało to zupełną tragedię.

Chciałem ulżyć prawdziwym cierpieniom i zacząłem przysłuchiwać się oracjom kolejnych mówców. Właśnie wywołany został do odpowiedzi kolega Zbigniew Tempki, urzędujący sekretarz generalny skorumpowanego Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Miał się, w imieniu odgórnie przez partyjniaków ustanowionego zarządu, tłumaczyć i przeproszać za to, że liderzy naszego zawodowego stowarzyszenia przez lata całe lizali poręczę foteli towarzyszy z KC. Tempki nie miał wyboru, musiał się kajać, bo był na miejscu w pracy. Prawdziwi winowajcy, prezes i wiceprezesi, dekowali się w tym samym czasie w „Trybunie Ludu” i w „Białym Domu” na tajnych naradach.

Biedny Tempki stał na mównicy, cosik tam dukał, koloryzował, a wroga mu sala gwizdała i groźnie pomrukiwała. W końcu przerażony tym, co się wokół dzieje, sekretarz w skrajnej depresji powiedział oczywiste głupstwo. Zaapelował dramatycznie: „Koledzy, mam prośbę, nie wybierajcie mnie więcej!”.

W tym momencie, przy całym rozdygotaniu organizmu łaknącego piwa, dostałem furii i żeby nie paść trupem na miejscu, poprosiłem o głos. Nie spodziewający się skandalu redaktor Stefan Kozicki poprosił mnie na mównicę. Zacząłem też coś dukać tytułem wstępu, choć tak naprawdę chciałem powiedzieć, i powiedziałem, co innego. Zwróciłem zatem uwagę na kłamstewko, jakie bez należytego oporu przemknęło przez tę salę, gdy pan sekretarz generalny kłamliwie zaapelował, żeby go więcej nie wybierać do władz stowarzyszenia. Wskazując palcem jak prokurator radziecki ryknąłem na spoconego z emocji sekretarza: „Panie kolego Tempski! Przecież pana nikt nigdy i nigdzie nie wybierał! Przecież pana przyniesiono w teczce, jak podrzutka, jak znajcę!” Zszedłem z mównicy przy ogłuszających brawach i w atmosferze wielkiej radości. Kątem oka zauważyłem, że Tempski ma twarz w kolorze zieleni, ale nie było we mnie litości. Myślałem wyłącznie o piwie. Opuściłem dumnie salę i znalazłem się w restauracji na parterze. Kelner przyniósł butelkę i po paru łykach wróciłem do życia.



I wtedy, już całkiem spokojny, zacząłem rejestrować zadziwiające reakcje. Oto podchodzili do mnie coraz to nowi ludzie i przyjaźnie klepiąc po plecach, szczerze namawiali, żeby „coś zacząć robić”.

Jeszcze tego samego dnia odbyliśmy pierwsze zebranie tzw. grupy inicjatywnej. Było w tym gremium założycielskim mniej więcej piętnaście osób. Przewodzili nam Wojtek Adamiecki z „Literatury” i Jerzy Mikke, już wtedy chyba na emeryturze. Andrzej Roman (wówczas „Kurier Polski”) wpadł na pomysł, żeby przy okazji wyjazdów delegacyjnych spotykać się na prowincji z innymi, pragnącymi odnowy dziennikarzami. Pamiętam, że taką misję wypełniałem w Poznaniu i Katowicach. Także Roman wymyślił samą nazwę - „grupa inicjatywna”, na zasadzie żartu - porównania z komunistyczną bojówką Nowotki, jaka wylądowała pod Warszawą na początku roku 42, żeby prawie na pół wieku uszczęśliwić

nas tu partią komunistyczną. Za ten pomysł Roman zapłacił już na początku stanu wojennego wyrzuceniem z pracy przez komisję weryfikacyjną. Przypominam sobie, że także towarzysz Królikowski w czasie naszej, jakże przyjaznej, rozmowy fukał, że ruch odnowy dziennikarskiej przybrał prowokacyjną formę, przywłaszczając sobie historyczną nazwę.

Sama grupa pęczniała w miarę upływających dni i szybko ułożyła program nadzwyczajnego zjazdu SDP. W półtajnych rozmowach pojawiło się pytanie: kogo wybrać na prezesa już naprawdę niezależnej organizacji zawodowej? Najczęściej pojawiało się w dyskusji chyba nazwisko Krzyżagórskiego. Dopiero później Darek Fikus, wówczas sekretarz w „Polityce”, zgłosił Bratkowskiego. I taka jest prawda, że po dwóch tygodniach rozmów i narad wymyślony został Stefan, nie będący wcale przy początkach odnowy. Zaproszony na spotkanie, oczywiście, przyszedł i stał się bardzo aktywny. Tak narodził się lider.

Delegatów na zjazd wybierały koła redakcyjne - pozostałość po starej strukturze SDP. Ponieważ ludzie z „grupy inicjatywnej” zyskali już w środowisku sporą popularność, bez problemów dostaliśmy potrzebne głosy. Faktycznie „grupa inicjatywna” przestała już istnieć, a w pokoju na Foksal odbywały się coraz liczniejsze zebrania delegatów. Przygotowani do imprezy byliśmy bezbłędnie. Powstały nie tylko listy nazwisk kandydatów do nowych władz, ale nawet rozpisany został na role przebieg imprezy. Chodziło o to, żeby ktoś z nas - dokładnie Oskar Sobański - został przewodniczącym obrada i później już tak manipulował kolejnymi wystąpieniami, abyśmy narzucili zjazdowi naszą wolę. Od początku było bowiem wiadomo, że wśród delegatów znajdzie się silna grupa funkcyjnych z terenu, którzy przechodzą specjalne szkolenie w KC, a ponieważ cały czas niepodzielnie rządzili w Polsce komuniści, należało się spodziewać, że zwyczajni, nie wtajemniczeni delegaci staną po stronie silniejszych.

Zgodnie z naszym scenariuszem miałem zgłosić z sali na funkcję przewodniczącego obrad kandydaturę kolegi Struga z „Przeglądu Technicznego”. Nie oznaczało to wcale, że kolega Strug powinien przewodniczyć, wprost przeciwnie! Ktoś inny, znienacka, miał wyskoczyć z Sobańskim. Żeby było zabawniej, sam kolega Strug wiedział wcześniej, że ja go zgłoszę i że ta kandydatura padnie.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Wybrany znaczną większością głosów przewodniczący obrad redaktor Sobański w jednym zdaniu podziękował za okazane mu zaufanie, którego się nie spodziewał, po czym natychmiast wyciągnął z teczki budzik, zapowiadając, że przemówienia nie mogą być dłuższe niż 5 minut. Jako pierwszego poprosił o zabranie głosu kogoś z naszych, wedle porządku tajnej listy.

Nie wtajemniczeni delegaci, których mimo wszystko była większość, siedzieli jak zaczarowani. Oniemieli. Na ich oczach odbywała się wielka manipulacja, a oni żadnym sposobem nie byli jej w stanie zapobiec. Świetnie bawiłem się podczas tego zjazdu, przy okazji rozstając się ze złudzeniami o prawdzie, demokracji i temu podobnych duperelach. Już wiedziałem, jak trzeba robić politykę. Bratkowski w końcu jednogłośnie, bo bez konkurencji, wybrany został prezesem, a wszyscy „nasi” zmieścili się we władzach. Resztę dołączono „z klucza”, bo nawet nasi rewolucyjni liderzy całkiem poważnie bali się towarzyszy z KC, zaproszonych na zjazd w charakterze gości honorowych, zajmujących miejsca w pierwszym rzędzie.

Im właśnie złożoną ofiarą była w gruncie rzeczy prezesura dla Bratkowskiego - człowieka z legitymacją partyjną w kieszeni, w swoim czasie szefa organizacji partyjnej przy warszawskim oddziale Związku Literatów. Żadną miarą nie mogliśmy sobie pozwolić na prezesa bezpartyjnego, więc, przynajmniej w

chwili podejmowania decyzji, Bratkowski był „kimś zamiast”. Jego kariera antykomunisty miała się zacząć znacznie później.

Po zjeździe pozostała mi jedna fotografia sali i parę wspomnień. Przede wszystkim, za namową Adamieckiego, przeprosiłem za szczeniacki wyskok Tempskiego, który był tym najprawdziej wzruszony i chyba zapomniał, że ośmieszyłem go publicznie, a przeprosiłem prywatnie. Drugim znaczącym epizodem było przemówienie, zaproszonego na złość towarzyszom z KC, na klasyczną „drugą nóżkę”, Zbigniewa Bujaka, młodziutkiego szefa Regionu Mazowsze „Solidarności”, który potraktował w swoim wystąpieniu dziennikarzy bez taryfy ulgowej, jak na to zasługiwali, czyli jak bandę kłamczuchów, i nawet pogroził palcem, że to się musi skończyć. A my i tak byliśmy zachwyceni, biliśmy mu brawo aż do opuchnięcia dłoni, powstrzymując napływające do oczu łzy. Było doprawdy pięknie.

Do władz ogólnopolskich - zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami - nie zostałem wybrany. Zarezerwowano dla mnie miejsce we władzach stołecznych SDP, wybieranych na osobnym zjeździe, dwa miesiące później. Ten zjazd miał taki sam przebieg jak impreza centralna. Przemawiałem i dobrałem się do skóry dotychczasowemu prezesowi - Kuszewskiemu, niezłemu cwaniakowi z „Trybuny Ludu”. Odwdzieczył mi się donosem pięć lat później.

Przez cały rok 1981 odbywały się jeszcze na Foksal narady, podczas których zapadało wiele ważnych decyzji i formułowano deklaracje na temat podmiotowości zawodu dziennikarskiego. Komunistom z naprzeciwka (mieścił się tam Dom Kultury Radzieckiej) coraz mniej się to podobało. Powoli SDP stawało się organizacją antypaństwową. Ja straciłem już zapał do działalności politycznej i w chwilach najbardziej dramatycznych, kiedy ważyły się losy dziennikarskiej wiarygodności, wolałem piętro niżej pić wódkę z kolegą Zawiszą i z Jankiem Himilsbachem. Ilekroć Bratkowski spadał na dół, tylekroć patrzył w naszym kierunku z nie ukrywanym obrzydzeniem. Wyraził nawet ochotę wydania polecenia personelowi kelnerskiemu, aby nas nie obsługiwał. Na szczęście Himilsbach interweniował w porę i, jak to potrafił, zdecydowanie. W takich to okolicznościach moja dobrze zapowiadająca się kariera polityka skończyła się bezpowrotnie.

„KAMERALNA” (restauracja, ciągle przy Foksal)

„Kamerę” opisał najdokładniej i najładniej jak można jej legendarny bywalec - Hłasko. W latach późniejszych ta zasłużona knajpa spsiała i ożywała tylko dwa razy w roku - w Wigilię i w Wielką Sobotę, gdy towarzystwo schodziło się na tradycyjnego „śledzika” albo na „jajeczko”.



Z „Kamerą” łączy mnie jeszcze jedno wspomnienie. Byłem tam na dancingu z redaktorem Bańką (jak sama nazwa wskazuje), który wdał się w spór z przeważającymi siłami miejscowego personelu, więc zostaliśmy wykopani na ulicę daleko przed zakończeniem wieczoru. Tu warto wspomnieć jeszcze inną przygodę kolegi Bańki. Kiedyś zauważył stojące przy barze dwie porządnie wyglądające dziewczyny. Ponieważ był w towarzystwie koleś, układ więc był nadzwyczaj korzystny, poprosili panny najpierw do tańca, a następnie na drinka. Rozmowa jakoś się nie kleiła, więc znowu potańczyli, znowu wypili, aby w konsekwencji przenieść się do mieszkania prywatnego. Rano kolega Bańka obudził się z bólem głowy, poprosił siedzącą na łóżku i już ubraną dziewczynę, żeby zrobiła herbaty. Ona w odpowiedzi zaczęła nerwowo gestykulować, kolega Bańka nie mógł pojąć o co chodzi. Druga dziewczyna, właśnie przebudzona, zrozumiała doskonale i szybko się ubrała. Bo panienki okazały się głuchonieme.

SARP (restauracja architektów, także Foksal)

Przez całe lata pałacyk oddany w pacht architektom niszczał, naprawdę piękna piwnica śmierdziała stołówką. I jakoś „Architekci” - jako instytucja - nikomu nie byli po drodze. Trzeba było dopiero Oli Płazowej, fantastycznej organizatorki zabaw nocnych, którą filmowcy wyrzucili z Trębackiej. O co chodziło - to jest temat na całkiem inne opowiadanie, dla dziejów SARP-u ważne jest jedynie to, że Ola upatrzyła sobie ten właśnie lokal. Nogi schodziła po różnych urzędach dzielnicowych, użerała się z brygadami remontowymi, aż wreszcie udostępniła stołecznej ludności pierwszy prawdziwy nocny klub rozrywkowy.

Do SARP-u wchodziło się na gębę, i to raczej znaną. I trudno mówić o knajpie, bo przychodziło się tu najczęściej na trzeźwo i po to, żeby porozmawiać z ludźmi, a nie po prostu się upić. W tych dawnych czasach, kiedy Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej, klub czynny był codziennie i każdego wieczoru coś się działo, choćby dzięki bramkarzom. Wywodzili się oni z kręgów sportowych, byli to różni masażyści, pomocnicy trenerów podnoszenia ciężarów i nawet jeden zapaśnik. Bardzo im się nie podobało, że muszą pilnować lepszych gości, więc z nudów co jakiś czas prowokowali burdy. Poza tym ustalali własną hierarchię ważności zapraszanych osób i bokiem wpuszczali do środka swoich znajomych, cinkciarzy oraz kobiety uliczne. Tym ostatnim niezwykle imponowało obcowanie z artystami i niektóre zdeprawowały się do tego stopnia, że odmawiały alfonsom świadczenia pracy, porwijąc na całe noce młodzieńców albo studentów szkoły filmowej. Po pół roku działania już dokładnie nie było wiadomo, która ze stałych bywalczyń SARP-u jest kurwą, a która artystką. Tak się to wszystko przemieszało, że nawet dochodziło do zamiany ról: dobrze rozwinięte, ale pozbawione talentu aktorki szły na ulicę i wiązały się z cinkciarzami, a kurwy w stanie spoczynku zachodziły w ciążę z reżyserami firmowymi, urządzały im mieszkania i odgrywały kreacje w ich debiutanckich obrazach.

Przy takim rozpasaniu obyczajów szczęście nie mogło trwać długo. Mniej więcej po roku władze Śródmieścia odmówiły Płazowej prawa do dzierżawy lokalu. Na dokładkę, któryś z architektów z zarządu głównego, pełniący rolę społecznego kuratora, przyszedł w środku nocy i całkiem niepotrzebnie wdał się w dyskusję z bramkarzami, a oni nie rozumiejąc, o co faktycznie facetowi chodzi, wzięli go pod obcas. Wybuchł wielki skandal, milicja wszczęła śledztwo i SARP poszedł pod klucz. Artyści znaleźli się na ulicy.

Znowu minął rok i piwniczny lokalik wydeptał sobie restaurator spod Warszawy o jakimś śmiesznym, dziś już nie do przypomnienia, nazwisku - Parabelka czy jakoś tak. Nowy szef nie miał już żadnych ambicji artystycznych, zależało mu wyłącznie na kasie. Ponieważ w tzw. międzyczasie prostytutki zdążyły porzucić biednych reżyserów filmowych i przeprosić się ze swoimi alfonsami, towarzystwo to zaczęło dominować jako klientela lokalu i porobiło się tak, że co noc musiała interweniować milicja, a karetka od zmroku w pogotowiu parkowała na Foksal. Bili się już wszyscy ze wszystkimi: kelnerzy z bramkarzami, złodzieje ze swoimi łatwymi kobietami, a wszyscy pospołu lali artystów, jeżeli tylko któryś z nich zapomniał się i starym szlakiem przywędrował do SARP-u. Tak to piękny pomysł Oli zaowocował mordownią.

SARP na przemian zamykano, otwierano, likwidowano. Wreszcie w połowie lat osiemdziesiątych nowe pokolenie artystów z plastykiem Jackiem Reszeto postanowiło klub reaktywować, był otwarty nie codziennie, tylko raz na tydzień, w piątek. Samozwańczo ukonstytuowała się jakaś rada repertuarowa i zdaje się, że w jej imieniu Hania Bakuła - malarka awangardowa, umówiła się z panią agentką, że dla artystów bar ma serwować wódeczkę krajową, a nie drogie „Smirnoffy”. Pani agentka nie wywiązała się jak należy z tego przyrzeczenia, więc Bakuła przeniosła klub „Piątek” do „Krokodyla”, na Rynek Starego Miasta. Tam dobrze było przez miesiąc, aż kelnerzy wzięli się za podszcypywanie panienek, a przed wejściem ustawił się kwiat męskiej młodzieży staromiejskiej. Dlatego klub „Piątek” bardzo szybko przeprosił się z panią agentką i powrócił do piwnicy SARP-u, ale pani agentka odeszła i znowu pojawił się ktoś nowy prowadzący kuchnię. Prawie natychmiast doszło do znanej chyba wszystkim awantury: na niezadowoloną z obsługi i jakości potraw aktorkę Dorotę Stalińską nowy agent nasłał patrol policji. Stalowa zażądała książki zażaleń, pan agent nie pozwolił jednak się jej wpisać z autografem, zaczęli się więc ganiać po lokalu i w końcu całe towarzystwo wyładowało w komisariacie przy ulicy Wilczej, a sprawę przejęli w swoje ręce adwokaci. Pełnomocnik Stalińskiej poradził jej odwołać się do uczuć opinii publicznej, wybitna aktorka średniego pokolenia pojawiła się więc parę razy na ekranie telewizora z pancernym kołnierzem na szyi, wyjaśniając gawiedzi w prostych żołnierskich słowach, że została brutalnie pobita przez chuliganów zarządzających SARP-em. To jest jakby epitafium dla kolejnej placówki kulturalnej, która po kilku latach świetności zapadła w nicość.

Redakcja stanu wojennego (Smolna 12, samo Śródmieście)

Tak mniej więcej w czwartym miesiącu „wojny Jaruzelskiej” odbyłem telefoniczną rozmowę kontrolowaną z panem Kazimierzem Koźniewskim. „Kazia Kozia” uruchamiał nowe cotygodniowe pismo społeczno-kulturalne i wymyślił dla niego nazwę „Tu i Teraz”.



Tej pierwszej wojennej wiosny było już dokładnie wiadomo, że nie ma powrotu do czasów sprzed 13 grudnia i taka np. „Kultura” skierowana została na przemiał, a jej załoga rozpedzona. Paru osobom dano do zrozumienia, że powinny się z dziennikarstwem rozstać na zawsze, innym - bardziej potulnym, że powinny podjąć pracę w tytułach odnowionych, więc nie nastawionych wrogo do nowej rzeczywistości. Wykombinowano przy tym, że skoro „Kultura” miała z dawien dawna przydzielony centralnie papier, coś na jej miejsce powinno być wydawane. Na redaktora naczelnego władza upatrzyła sobie publicystę „z nazwiskiem”.

Koźniewskiego przed ostatnią wojną nie znałem osobiście. Wiedziałem, oczywiście, że jest autorem „Piątki z ulicy Barskiej”, na podstawie której Aleksander Ford zrobił ciekawy film fabularny; wiedziałem, że od lat posiada małą synekurę w postaci „Magazynu Polskiego” - pisma przedruków, za które to przedruki nie płać, ale przede wszystkim ważne było to, że był współzałożycielem „Polityki” i jednym z bardziej wojowniczych jej piór. Kozia był, i jest, o tyle oryginałem, że cierpi na chroniczną miłość do realnego socjalizmu. Różne narady w KC, uzgodnienia i egzekutywy były mu niezbędne do życia. Ten w przeszłości dzielny żołnierz AK i odważny, umięjący bronić własnych sądów publicysta, ogromnie pokochał Polskę Ludową. Po powrocie z wojny światowej wykombinował sobie, że Polska dostała tyle wolności, ile uzgodniono w Jałcie, i więcej jej mieć nie będzie. Dlatego trzeba robić wszystko, żeby nie było tej wolności mniej. Koźniewski fantastycznie poradził sobie z socrealizmem, doskonale wpasował się w obowiązkowe ramy estetyczne i dlatego za „Piątkę” dostał nie tylko nagrodę od Bieruta, ale także mieszkanie na najśliczniejszym w nowej rzeczywistości MDM. Bardzo szybko został także pasowany na pisarza i mógł publikować swoje dziennikarskie teksty, gdzie tylko zapragnął (co przyniosło szkodę dla koniecznego poczucia krytycyzmu). To wszystko o Koźniewskim napisał już w „54-tym” Tyrmand, ale

kiedy czytałem tę charakterystykę prawie trzydzieści lat później, gdy już poznałem Koźniewskiego, zgadzała się co do joty!

W systemie wartości Kozi ludzie żywi, a także umarli znaczą niewiele. Naprawdę ważna jest tylko Ojczyzna, jaka by ona nie była. Obawiam się, że nawet pod opieką UB, w czasach stalinowskich, Koźniewski nie wyleczyłby się z tej uciążliwej choroby. Taki jest. Równocześnie Kazia nie może się pozbyć wartości ogólnie humanistycznych, jakby pozadoktrynalnych. Brzydzi się na przykład antysemityzmem i jego tajemnicą pozostanie, jak godził to obrzydzenie po aferze marcowej 1968 roku z zalotami względem Moczara? Dusza Kazi Kozi pełna jest takich moczarów tolerancji poplątanej z doktrynerstwem, a nawet sekciarstwem.



Po sierpniu '80 Koźniewski nie tylko nie obraził się na partię, ale poczuł się w obowiązku wspierać ją własnym ostrym piórem i krytycznie wypowiadał się na temat Wałęsy, a zwłaszcza jego akolitów w kręgach literacko-kulturalnych. Nigdy nie wybaczył Woroszyłskiemu, Kołakowskiemu czy Kottowi, że przejrzeni na oczy i zdradzili komunistów. Kozia na coś takiego nie mógłby sobie pozwolić. On osobistą misję rozumiał w ten sposób, aby przy komunistach trwać do końca, nauczając ich ewentualnie lepszych manier. Tyle że komuniści tymi zalotami Koźniewskiego przejmowali się średnio, traktując go

protekcjonalnie jako zabawnego wariata. Kazia tego lekceważenia starał się jednak nie zauważać i szalenie imponowało mu, że jakiś inteligent po kursach partyjnych, jakiś Łukaszewicz czy inny Rokoszewski, zaszczytili go bruderszaftem. Najbardziej jednak imponował mu Rakowski i Kazia marzył, żeby doczekać Polski Ludowej pod takimi właśnie świątłymi rządami. Przy Mietku on sam realizowałby się jako najzupełniej bezinteresowny doradca.

Kazia Kozia dostał więc tygodnik i lokal na ostatnim piętrze przedwojennej kamienicy przy Smolnej. Wcześniej w tych paru pokojach funkcjonowała najbardziej niedorzeczna gazeta codzienna, ceerzetowski „Głos Pracy”, który nawet WRON-ie do niczego nie był potrzebny.



Po kolejnym telefonie, w końcu maja, przyszedłem do redakcji na gotowe. Była już makieta pierwszego próbnego numeru. Na miejscu byli także ludzie: najdziwniejsza zbieranina, jaką sobie w tym czasie można było wyobrazić. Funkcję zastępcy Kazia piastować miał Zbigniew Safjan, solidny i czytany prozaik, współrodzic kapitana Klossa i znany partyjny oportunist. Piszę to bez złośliwości, bo Safjana lubię i znam luźno od lat, w swoim czasie przyjaźnił się z moim Ojcem, a ja z jego synami, zwłaszcza starszym, który, niestety, zginął tragicznie mając zaledwie dwadzieścia lat. W „Tu i Teraz” Safjan był po to, żeby temperować nadmierny temperament Koźniewskiego i pilnować, aby wojskowi nie poczuli się dotknięci jedną czy drugą publikacją. Zastępcą był także radosny i życzliwy ludziom starszerek - literat Jan Koprowski, któremu było absolutnie wszystko jedno, gdzie pracuje, byle mógł pisać to, co chce. A pisanie swoim nie wadził dokładnie nikomu, bo nikt go nie czytał. Nadwornym intelektualistą został natomiast Olo Minkowski, powieściopisarz galanteryjny, bywalec w Nowym Jorku, milioner po niezliczonej liczbie seriali telewizyjnych i facet o skryzalizowanych ambicjach politycznych.

Olo kochał komunistyczną władzę, bo pozwalała mu pisać i wynagradzała sowicie, a on był szczęśliwy, bo pisał dokładnie tak, jak tego od niego oczekiwano. W stanie wojennym jego akcje wzrosły, bo najbardziej ambitny intelektualista w Biurze Politycznym - Marian Orzechowski był jego kumplem, a dodatkowa, pierwszą miłością do Ola zapłonął wszechwładny „król betonu” Stefan Olszowski, co szybko miało zaowocować konkretnymi korzyściami. Duży Stefan, chyba jako minister spraw zagranicznych, często i daleko podróżował i wielkopańskim gestem dopraszał do rządowego

samolotu paru nadwornych Koszałków-Opałków, zresztą płci obojga. Właśnie z taką zaproszoną dziennikarką „Trybuny Ludu”, gdzieś na obczyźnie, przeżył szalony romans, następnie się zakochał, następnie pani zaszła w ciążę, następnie Jaruzelski za swobodę obyczajów wyrzucił go z Biura, następnie Duży Stefan się rozwiódł z dotychczasową towarzyszką Olszowską, następnie matka jego dziecka została wysłana na stypendium do Nowego Jorku, następnie on - wczesny emeryt - podążył w ślad za nią, następnie, chyba pospołu, poprosili o azyl. I tak to jeden z modelarzy naszego losu sam w porę przeszedł na utrzymanie administracji Reagana. Każdy polityk Zachodu tego szczebla palnąłby sobie w łeb, a Duży Stefan żyje i ma się dobrze; dużo lepiej, niż my tu i teraz.

Takie właśnie było środowisko naturalne Ola Minkowskiego, dzięki czemu mógł odgrywać w redakcji rolę szarej eminencji. Olo podróżował i zdawał na łamach relacje z tych eskapad, dbając, żeby przy okazji słać mądrość Olszowskiego. Redakcja bez sprzeciwu drukowała te grafomańskie laurki.

Koźniewskiemu udało się przyciągnąć jeszcze parę osób z nazwiskami na zasadzie wolnych strzelców. Dlatego nowy tygodnik firmował nieprzyjemny wizualnie, i także charakterologicznie, towarzysz Andrzej Wasilewski - szef PIW-u, już szykujący się do „Białego Domu”, gdzie miał zostać sekretarzem KC od kultury, a dokładniej od trzymania kultury narodowej za mordę. Pojawił się także zdrajca z SDP Klemens Krzyżagórski, bardzo zdolny dziennikarz, świetny redaktor, który z powodów alkoholowych już na początku wojny kompletnie oszalał i przyjął postawę zamordysty. Zeszmacił się kompletnie, gdy już w marcu '82 wypełnił misję założenia Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, czyli całkowicie dyspozycyjnej wobec WRON-y prasowej jacejki. Zajęty własnym pijaństwem Knur (żałośnie zresztą ukrywający nałóg przed otoczeniem) nie aktywizował się szczególnie w „Tu i Teraz”. Czekał na swój czas.

Odpowiedzieli na zaproszenie Koźniewskiego dwaj młodzi historycy z Polskiej Akademii Nauk: Wiesiek Władysław i Zbyszek Rykowski, starannie wykształceni i utalentowani. Z tym, że bardziej utalentowany był Władysław i dlatego jest dzisiaj nie tylko poważnym publicystą „Polityki”, ale także najprawdziwszym profesorem. Rykowski wolał chodzić na skróty, więc skumał się z Urbanem i nawet dochrapał się funkcji zastępcy rzecznika rządu w gabinecie Rakowskiego, ale już tylko na gaszenie świec. Teraz, kiedy sam stał się przedwcześnie zgaszoną świecą, pozostanie w pamięci jako postać o tyle tragiczna, że z chorą predylekcją do przymierzania za dużego o wiele numerów kapelusza.

Jeszcze dwie postaci, przejęte jakby w spadku po „Kulturze”, godne są wspomnienia: dobry reporter Stefan Kozicki i kompletny wariat, ale piekielnie utalentowany i wprost proporcjonalnie niechlujny Zbyszek Słojewski, czyli Hamilton. Trochę szkoda, że nie był już tak zabawny, jak w „Kulturze”, ale właśnie dorósł do stworzonej przez siebie postaci i jak na Hamiltona przystało zachowywał się i pisał jak rozkapryszony starzec. Wymieniłem mniej więcej połowę redakcji. Uzupełnieniem byli dziennikarze o różnej sprawności zawodowej i intelektualnej, jak to bywa w każdym zespole.

Pierwszy numer, jaki ukazał się drukiem, odznaczał się tym, że był śmiertelnie nudny i bardzo żałobny, do czego przyczyniała się również czarna winieta. Miny mieliśmy w każdym razie niewyraźne i w poczuciu wstydu z Władysławem i Rykowskim, nierozłącznym jeszcze wówczas tandemem, udałem się na obiad do „Spatifu”. Przy stoliku obok siedział jeden z rebeliantów „Polityki” Andrzej Krzysztof Wróblewski. Poprosił nas o egzemplarz. Oddał po paru minutach z nie ukrywanym niesmakiem. Poczuliśmy się jeszcze gorzej, bo oczywiście AKW miał rację. Wyprodukowaliśmy tchórzliwego, wojskowego pawia. I żadnym tłumaczeniem było, że nic innego w warunkach, jakie były, nie dało się wyprodukować.

Linie pisma wytyczali posłuszni, najęci literaci. Koźniewski już w trzecim dniu stanu wojennego opublikował w „Trybunie Ludu” wyjątkowo niemądry pamflet pt. „Zawiodłem się na polskiej inteligencji”, jakby zupełnie zapominając (całkiem to być może), że w tym samym czasie kwiat tej inteligencji zamknięty został do więzień, eufemistycznie nazwanych „internatami”. W tym pierwszym półroczu wojny nasi redakcyjni liderzy zachowywali się, jakby urodzili się dopiero 13 grudnia. Już oddzielili grubą kreską niedawne boje w związku literatów i święcie wierzyli, że tym razem zwycięstwo komuny jest druzgocące i wieczne. Jedynym pocieszeniem był zapal Koźniewskiego, który dużo gorzej pisał, niż się zachowywał. W istocie był to bardzo kulturalny starszy pan, który uparł się, żeby stanowi nienormalnemu przydawać cech normalności. W redakcji można było mówić wszystko, kłać na Jaruzelskiego i spluwać w kierunku „Białego Domu”. Kazia wszystkiego cierpliwie wysłuchiwała, nawet współczuła, ale robił swoje. To znaczy pozwalał nam dokładnie na tyle, na ile pozwalała cenzura. Za to sam brał na swoje plecy obowiązki serwitutowe, te wszystkie wstępniaki o cudownej odmianie narodowej świadomości przy pomocy czołgu, i te hasła, że jest dobrze, kiedy naprawdę nie mogło być gorzej.

Przy tak dużych obciążeniach pismo było o tyle przyzwoite, że nieagresywne. Nie stało się w każdym razie tygodnikową mutacją „Trybuny Ludu” czy „Żołnierza Wolności”, co sprawiło, że towarzysze z KC poczuli się zawiedzeni. Chyba po trzech tygodniach zwołane zostało więc pierwsze zebranie programowe, podczas którego Wasilewski z pianą na ustach usiłował nas ustawić. Byłem w tym zespole przedostatnim, może nawet skończonym outsiderem, ale jako pierwszy skontrowałem Wasilewskiego, wprost wyśmiewając jego demagogiczne bujdy o ładzie społecznym w kraju, który własnymi rękoma sam się zaareztował. I stało się coś, czego absolutnie ani ja, ani nikt z zespołu się nie spodziewał. Towarzysz literat-dyrektor i zausznik generała Jaruzelskiego zaczął się wycofywać rakiem, tłumaczyć, że nie było jego zamiarem bawić się z nami w czerwonego komisarza i że w ogóle może dać się ponieść fantazji, a pismo nie jest takie złe. Zrozumiałem, że Wasilewski jednak się boi.

W „Tu i Teraz” bawiłem się w reportaż, co redakcji nie przeszkadzało, ale obchodziło ją średnio. Czytelników - także, bo chociaż nie było jakiegoś bojkotu prasy, nasz ambitny tygodnik nie cieszył się poczytnością. Był zwyczajnie nudny.

Naiwny jak dziecko Koźniewski mimo wszystko ryzykował. Oto np. tuż przed świętami Bożego Narodzenia dostał telefon z Okęcia. Okazało się, że najspokojniej postanowiła wrócić do kraju (piętnaście lat po ucieczce) zdrowo szurnięta Alicja Lisiecka. Kazia korespondowała z nią, rozmawiał parę razy będąc w Londynie i, oczywiście, namawiał do powrotu. No i Alicja z całym dobytkiem emigracyjnym, czyli jedną walizeczką - wróciła. Ale służby graniczne miały ją na liście wrogów PRL i nie chciały wpuścić. Koźniewski gdzieś tam w „Białym Domu” próbował interweniować, ale dostał kopa. Podobno sam Jaruzelski był przeciw, bo lubił i cenił pułkownika Załuskiego, który się kochał z Lisiecką, zanim prysnęła, a potem się załamał, zapił i umarł z tego wszystkiego. Dlatego szurniętej Alicji nie wypuszczono z lotniska i następnym samolotem wyekspediowano z powrotem do Londynu. Wrócić mogła dopiero po półtora roku, ale Koźniewski nie miał już pisma.

Coraz bardziej szarogęsił się na Smolnej Olo Minkowski, pewny poparcia kumpli z „Białego Domu”. Prawdopodobnie uważał, że Kazia jest za stary i za miękki na te czasy. Towarzysze zapragnęli bowiem zgnieść opozycję artystyczno-literacką potęgą geniuszu intelektualistów partyjnych i Minkowski uwierzył, że on ma stanąć na czele tego szwadronu kozaków uzbrojonych w nahajki. Dlatego zaczął Koźniewskiemu świnić. Łaził do KC, tam się naradzał i bezradnie rozkładał ręce: on by chciał

wprowadzić w redakcji nowy nastrój i należy nowy rzeczywistości patos, ale nie może, bo Koźniewski rządzi autokratycznie. Gdzieś z boku przyglądał się temu milczący Safjan, zakochany w swoich, rzeczywiście coraz lepszych, powieściach, wstrzymywanych jednak w druku przez towarzyszy, ze względów wychowawczych. Tak to zawiązała się w „Tu i Teraz” w największej tajemnicy fronda, czyhająca na potknięcie Kazi Kozi i torpedująca wszelkie próby pisania „pośrodku” i przyzwicie.

Akurat tak jakoś zakończył się proces karny Macieja Szczepańskiego, pamiętnego gierkowego prezesa Telewizji i decyzją polityczną, przy pomocy paru sztuczek prawnych, wypuszczono go na wolność. Wtedy Minkowski, który w przeszłości dzięki Szczepańskiemu zarobił kupę forsy, zorganizował w redakcji dyskusję mającą na celu moralne zrehabilitowanie byłego prezesa. Spisał ją i pofrunął w kolejną podróż do ciepłych krajów. Mieliśmy czas na przeczytanie dzieła. Najlepiej byłoby maszynopis wyrzucić do kosza, lecz na to nie chcieli się zgodzić towarzysze. Sekretariat, w pełnym porozumieniu z Koźniewskim, zastosował więc taki manewr: w tym samym numerze „Tu i Teraz”, na ostatniej kolumnie, ukazał się malutki felietonik Rykowskiego, ośmieszający i Szczepańskiego, i wszystkich zatroskanych jego losem dyskutantów. Minkowski wrócił i razem z Safjanem, biorącym udział w rzeczonyj dyskusji udział, złożyli na piśmie i przesłali pocztą rezygnacje! To miał być decydujący, ostateczny cios. Ale nie był... Koźniewski tym razem zachował się jak stuprocentowy mężczyzna. Rezygnacje przyjął i wyrzucił obu panów z redakcyjnej stopki, choć oni właśnie zaznaczyli, że w stopce chcą pozostać, niby dla dobra pisma. Teraz spodziewaliśmy się odwetu jakiegoś Wasilewskiego czy Nawrockiego. Lecz nic się z pozoru nie stało. „Biały Dom” przyjął do wiadomości zmiany wewnątrzredakcyjne i wszystko miało pozostać po staremu. Nie pozostało. Tygodnik z bardzo ograniczonym kręgiem czytelników stał się z dnia na dzień ulubionym przez towarzyszy i cenzurę „chłopcem do bicia”. Żądano wglądu w teksty „do uzgodnienia” i potem tygodniami te teksty przetrzymywane były w teczkach niskich funkcjonariuszy KC. To był proces zbierania dowodów na antysocjalistyczną linię „Tu i Teraz” i przygotowania do pogrzebu Koźniewskiego jako redaktora naczelnego. Redakcja funkcjonowała zaledwie dwa i pół roku, kiedy ten pogrzeb stał się faktem: Kazia miała odejść na emeryturę, a nas - personel zaplanowano przepędzić. Co się i stało w okolicznościach obrzydliwych.

Odbyła się żenująca uroczystość pożegnania Kazi. Z towarzyszy pojawił się tylko głupi jak but, drobny cwaniak i karierowicz Jachacz, nowy kierownik wydziału prasy KC. Ten tępy aparatczyk bez śladu twórczego dorobku klepał Koźniewskiego protekcyjnie po ramieniu i umiarkowanie chwalił. Zasłużona funkcjonariuszka RSW Teplina wręczyła bukiet goździków i kopertę z jakąś lichą łąpówką. Cała impreza trwała pół godziny.

Innego dnia urządziliśmy w redakcji pożegnalny bankiet. Przyszło paru współpracowników i przyjaciół pisma: Passent, Kałużyński, Urban, który miał stały felieton, zresztą wyjątkowo obrzydliwy, bo polityczny i wściekle agresywny. Najpierw podpisywał go nazwiskiem, ale kiedy obraził postów z Osmańczykiem na czele, odgrzebał stary pseudonim „Jan Rem” i ładował dalej. Wszyscy oczywiście wiedzieli, że to nadal Urban, ale w tych latach totalnego absurdu nikogo cała ta przebieganka ani nie dziwiła, ani nie oburzała.

Na tym bankiecie powiedziałem Koźniewskiemu, że chociaż na całe życie zapamiętam go jako człowieka sympatycznego, nie mogę zrozumieć, dlaczego jest uparty jak dziecko i kurczowo trzyma się komunistycznego chałata, choć komuniści z gruntu zepsuci, zdemoralizowani, nieuczciwi i cyniczni nie okazali mu nawet pozorów przyzwoitości. A Kazia rozbrajająco rozłożył ręce i powiedział: „Nie

wiem, nie potrafię inaczej, kocham mój kraj i tylko to jest ważne, ja się nie liczę...". Ostatni naiwny fantasta. Bardzo lubię Koźniewskiego i bardzo cenię zawodową przygodę, jaką dane mi było z nim przeżyć.

W ogóle „Tu i Teraz” kojarzy mi się przyjemnie. Ostro bankietowaliśmy zarówno w miejscu pracy, jak w mieszkaniach prywatnych. Wprost do dobrego tonu należało przynajmniej raz w tygodniu silnie się nachlać. To był najwłaściwszy sposób terapii oczyszczającej, bo w gruncie rzeczy każdy z nas miał sobie za złe, że kolaboruje z reżimem. Ale to przecież nie było przymusowe. Jeżeli o mnie chodzi, to po prostu chciałem pisać, żyć w redakcji. Podłe w tym zawodzie było zawsze: za Gomułki, za Gierka, za Kani, i za Jaruzelskiego inaczej być nie mogło. I w końcu każdy z nas robił dokładnie to samo, co wcześniej, bo szczęśliwym trafem udało się Koźniewskiemu skompletować zespół ludzi w większości normalnych, a nie partyjnych pałkarzy. A i tak najwięcej jobów zbierał Leszek Żuliński, niewiarygodnie łagodny człowiek i solidny krytyk literacki, tylko za to, że dał się wybrać szefem jaczki. Połowa redakcji to byli partyjni, połowa - bezpartyjni. I my - bezpartyjni mieliśmy dodatkową satysfakcję, że bezkarnie lżyliśmy partyjnych, a oni te obelgi znosili w pokorze. Do donosu zdolni byli jednak tylko Minkowski z Safjanem.

Na ostatnim kolegium Koźniewski przeczytał nam prywatny list, jaki otrzymał od chorego od paru miesięcy, więc chyba nie bywającego na Smolnej pana Stanisława Zielińskiego. Bardzo dobry pisarz pisał do serdecznego kolegi - trochę gorszego pisarza mniej więcej to samo, co ja powiedziałem Koźniewskiemu wprost: że komuniści to wredna banda i że nie należy się z nimi kolegować. I szkoda - pisał Zieliński - że zrobiliśmy dla nich cokolwiek, chociaż - przypominał - za samo przystąpienie do redagowania „Tu i Teraz” jacyś dowcipnisie drzwi mieszkań Zielińskiego i Koźniewskiego wysmarowali gównem. Tak to domknęło się wieko trumny.

Po pogrzebie przychodziliśmy jednak do pracy. Zapachniało wiosną i pojawił się na Smolnej prezes SD PRL Klemens Krzyżagórski zwany Knurem, który na boczku skompletował sobie kierownictwo redakcji. Byli to młodzi wojownicy o realny socjalizm, więc nawet nie zasługują na przytoczenie ich nazwisk. Upiorny był pomysł, aby przywłaszczyć sobie stary i dobrze kojarzący się czytelnikom tytuł - „Kultura”. Zupełnie jak na UB Knur wzywał ludzi pojedynczo na przesłuchanie, wypytywał, jak się widzą w nowej redakcji. Były to imprezy poniżające. Wybrałem się do gabinetu nowego naczelnego z niejaką ciekawością i bez większych emocji. Cały czas miałem drugie miejsce pracy, więc nie groziło mi wyładowanie na bruku. Poza tym pierwszy tekst w życiu napisałem na zamówienie Knura, do wrocławskiej „Odry”. Znałem go będąc jeszcze dzieckiem, lubili się z Ojcem, którego właśnie kilka tygodni wcześniej oficjalnie żegnał na Powązkach.

Krzyżagórski rozmawiał ze mną cokolwiek dziwnie, jakoś tak urzędowo, wyglądało na to, że miał problemy natury psychicznej. Szajbus - pomyślałem - ale może mu przejdzie, i wyszedłem. Inni mieli kłopoty, bo ich po prostu wygonił. Krzemień się poptakała. Władyka poszedł mu się przyjrzeć, Rykowski - nie. Obaj zresztą natychmiast dostali ofertę pracy w „Polityce”; podobnie jak Koźniewskiemu Bijak umożliwił powrót, więc zniknęli bez pożegnania. Jonasowi, nie bardzo korzystnie dla samego siebie, pomogłem w załatwieniu pracy w „Interpressie”. Nasz dotychczasowy sekretarz redakcji był zawsze pojętym uczniem w tym zawodzie i ludziom, którzy mu pomagali we wspinaczce po szczeblach mikrej kariery, lubił podkładać świnie. Widocznie musiał, tak mu dyktowało serce i rozum. Per saldo wyszedł na swoje.

Na miejsce wyrzuconych Krzyżagórski zaangażował do pracy zgraję nieudaczników i półanalfabetów. I zmienił tytuł „Tu i Teraz” na „Kulturę”. To już była gadzinówka, z której po pół roku tak, jak stałem, wyszedłem i zrobiło mi się dużo lepiej. Bo trzeba było wyjść od razu, zostawiając Knura z butelką. Skończy zresztą podle, narzucony i wyrzucony z „Literatury” i ukrywający się teraz przed środowiskiem jako sztandarowy zdrajca.

„HILTON” (Niekłańska 30, Saska Kępa)

Na Niekłańskiej wynajmował przez dłuższy czas mieszkanie na poddaszu Jerzy Cnota - artysta niezależny. Nie tak zupełnie niezależny, bo w końcu z głodu zapisał się do trupy kabaretowej, działającej przy Zjednoczeniu Patriotycznym „Grunwald”. Słynęła ona z tego, że wybierając się na prowincję puszczała przodem nalepiacza plakatów z wybitymi wielgachną czcionką nazwiskami gwiazd: Pietrzaka, Fronczewskiego, Gajosa. Publiczność dawała się na to nabierać, nie zauważając całkiem drobnutkiego dopisku, że tych wszystkich sławnych udawać będzie właśnie Juruś Cnota oraz jego równie utalentowani koledzy: Dupski, Dziędziała i Wymoczek. Ale zanim to się stało, Juruś pomieszkiwał w stolicy, chwytając się różnych zajęć artystycznych głównie w filmie. Już nawet rezerwowano dla niego epizody pijanego Cygana, albo pijanego Ślązaka, bo przecież ani w pierwszym, ani w drugim wypadku wcale nie musiał grać. Wystarczyło w zupełności, że był na planie.



Jerzy Cnota, artysta niezależny

Dawno, dawno temu Cnota studiował rusycystykę w Krakowie, a ponieważ po pijaku zabawnie się wygłupiał, więc trafił nawet na deski Piwnicy pod Baranami i zaśpiewał jeden utwór poetycki w duecie z Ewą Demarczyk. Zobaczył to Kazimierz Kutz, który właśnie wtedy, pod koniec lat sześćdziesiątych, przygotowywał się do realizacji „Soli ziemi czarnej” - pierwszego filmu ze swojego wspaniałego tryptyku. Kompletując obsadę przypomniał sobie o pijanym Ślązaku obskakującym Demarczyk. Trzeba go znaleźć, tylko jak on się nazywa? Cipa, Rura, Pochwa... aha, Cnota! Tak to Juruś został cenionym aktorem polskiego filmu.

Zdzisiek Maklakiewicz (śp.) z tej anegdotki potrafił zrobić majstersztyk! Opowiadając ją często doszedł do takiej perfekcji, że naśladowując głos Kutza cedził przez zęby czterdzieści, pięćdziesiąt skojarzeń ze słowem „cnota”. Niestety, w znacznej większości nie nadają się do druku.

Na Saskiej Kępie Cnota mieszkał w pokoju na poddaszu dużej willi, a jedynym istotnym meblem był wielki stół, zwany „Hiltonem”. Jego urok polegał na tym, że zawsze był zastawiony. Bywało, że gospodarz nie sprzątał tygodniami stojących naczyń, podobnie jak butelek, i rano trzeba było grzebać w szkle, żeby czymś w płynie ugasić pragnienie. Ale „Hilton” nie był zwyczajnym stołem, gdyż niezmiennie ktoś pod nim spał, dbając tym samym, aby było to nieprzerwanie centrum życia towarzyskiego. Największą przyjemnością nowo przybyłych gości (a poddasze czynne było dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie wyłączając świąt państwowych) było podglądanie, kto akurat pod „Hiltonem” koczuje. Zdarzało się, że ciekawość zostawała nagrodzona, bo właśnie drzemała uczennica z Mińska Mazowieckiego lub Tłuszcz, która cztery dni wcześniej kolejką elektryczną dojechała do stolicy na wagary. Nierzadko polegiwały też pokotem znane z ekranów kinowych aktorki, pomocniczy personel kuchenny z cenionych zakładów gastronomicznych, ale także elektrycy z WFD, różni szwagrowie ze Śląska, Wietnamczycy, Murzyni oraz reżyser filmowy Butrymowicz, który bił właśnie rekord światowy, godny wpisu do Księgi Guinnessa. Kuba Morgenstern reżyserujący „Kapitana Klossa” wybrał sobie Jacka B. jako asystenta. Butrymowicz miał zameldowanie w Krakowie, ale musiał być w Warszawie, więc produkcja filmu wynajęła mu pokój w niedrogim i dobrze, bo w centrum, usytuowanym hotelu „MDM”. W tym hotelu Butrymowicz koczował równo lat piętnaście, aż dostał własne mieszkanie spółdzielcze na Osiedlu Lazurowa. Tam się zaszył i zestarzał.

Spanie pod „Hiltonem” u Cnoty należało do dobrego tonu i każdy, kto nie spróbował tego choćby raz, nie liczył się w towarzystwie. Przygodne dziewczęta do wzięcia przyciągały zresztą jak magnes. Ale można się było oszukać. Najbardziej zresztą oszukał się pewnego razu sam gospodarz. Budząc się w godzinach południowych z przyjemnością skonstatował, że nie leży pod „Hiltonem” sam, ale w towarzystwie bez wątpienia kobiety, na co wskazywały określone szczegóły anatomiczne. Poczuł się świetnie, bo nic tak nie poprawia mężczyźnie nastroju, jak poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Rozejrzał się po pokoju i coś mu się zaczęło nie zgadzać. Po pierwsze to, że jego spodnie, złożone równiutko w kant, spoczywają na krawędzi krzesła, takż marynareczka i koszula, a z poręczy drugiego krzesła biły po oczach równiutko ułożone ciuchy śpiącej nieznanomej. Najbardziej kłuł wzrok pomarańczowy kubraczek. W głowie kolegi Cnoty załęgło się straszne podejrzenie. Podbiegł do okna. Niestety, nie mylił się: pośród zaparkowanych przy Niekłańskiej aut dużych i mniejszych dojrzał dwukołowy wózek z miotłą i śmietniczką. Dopiero po paru latach Juruś zakochał się w Łodzi, został ojcem i najął się do „Grunwaldu”. Trochę szkoda. Losy „Hilтона” pozostają nieznane.

„REMONT”

(klub studencki, róg Polnej i Trasy Łazienkowskiej)

W latach siedemdziesiątych „Remont” był miejscem wielu przyjemnych spotkań, głównie za sprawą kolegi Słowickiego, długoletniego studenta Politechniki Warszawskiej. Słowicki miał zostać inżynierem, ale tak naprawdę interesował się filmem, założył więc DKF „Kwant” i jak najśluszej mianował się jego prezesem. Był to klub z prawdziwymi ambicjami. Słowicki czarował filmowców i wyłudzał od nich filmy świeżutkie jak bułki, przed oficjalnymi premierami. Miał dobry gust, więc kokietował Wajdę, Konwickiego i Morgensterna, a nie Petelskiego i Porębę. Szybko zyskał sympatię w środowisku prawdziwych filmowców i opinię człowieka z dobrze umeblowaną głową. Do „Kwantu” zaczęli przychodzić Wajda z Olbrychskim i Zanussi z Komorowską, a za nimi już dokładnie wszyscy, do których się Słowicki z taką propozycją zwrócił.



W „Remoncie” z reżyserem Markiem Piwowskim (1975)

I tak ze skromnego prezesa studenckiego klubu awansował na promotora prawdziwej sztuki filmowej. Ponieważ miał w głowie rzeczywiście dobrze poukładane, znajomości krajowe wykorzystał w kontaktach zagranicznych. Bywał w ambasadach zachodnich mocarstw, ważni dyplomaci w jego imieniu pertraktowali z największymi światowymi wytwórniami i dzięki temu zaczęły na zamknięte pokazy trafiać filmy, o jakich państwowy dystrybutor nawet nie ośmielił się pomyśleć. Słowicki awansował jeszcze bardziej i za granicą przedstawiano go jako śmiałego opozycjonistę, który pod płaszczykiem wyświetlania filmów rozkłada komunizm od środka.

Niczego więcej nie było potrzeba. Do Polski, na zaproszenie Słowickiego, ale za własne pieniądze przyjechali Antonioni i Cortázar, Bertolucci za darmo wypożyczył „Ostatnie tango w Paryżu”, Pasolini

„Salo - 120 dni Sodomy”, a Wajda wszem i wobec ogłaszał, że „kwantowcy” to jego najlepsi przyjaciele. Wspaniałe kino zafundował Słowicki studentom i środowiskom opiniotwórczym Warszawy. Na parę dni przed zamknięciem w kiciu był w „Kwancie” Polański. Skolimowski przyjechał tu z Londynu. Gościli też „na drugą nóżkę”, gnojeni oficjalnie w Związku Radzieckim, naprawdę wspaniali reżyserzy: Zelakievicius i Paradżanow. Weszło nawet w zwyczaj, że Wajda, w wyjątkowo dobrej wówczas formie, najpierw w „Kwancie” pokazywał swoje nowe filmy. I właśnie nieoficjalna premiera „Człowieka z marmuru” w „Kwancie” u Słowickiego odebrana została przez „Biały Dom” jako wyjątkowo perfidna prowokacja polityczna.

Była to rzeczywiście impreza zupełnie wyjątkowa. W sali na piętrze, mieszczącej jakieś sześćset osób, ubiło się chyba ze dwa tysiące. Nawet amerykański ambasador musiał siedzieć na schodach. Wpuszczano studentów, ale tylko znajomych, i artystów, też tylko znajomych, i redakcję „Polityki”, też po znajomości, bo w międzyczasie tygodnik ten odważył się dać Słowickiemu specjalną nagrodę za animowanie działań kulturalnych. Film absolutnie poraził publiczność, a dyskusja po nim trwała dłużej niż sama projekcja. I była to prawdziwa dyskusja, wymiana przez nikogo nie cenzurowanych myśli i wrażeń. Prawie natychmiast zaczęła się nagonka na Wajdę i scenarzystę Ścibora-Rylskiego. Przewodził jej niejaki Roszewski pisujący i w „Trybunie Ludu”, i w „Kulturze”, wspomagany przez młodych bojówkarzy z tygodnika „Ekran”. Oszczędzam ich, ale niech wiedzą, że to, co było, nie może zostać zapomniane.

I tak kolega Słowicki z udawanego opozycjonisty stał się opozycjonistą licencjonowanym, ale żyło mu się coraz lepiej, bo sława jego wypłynęła daleko poza granice kraju. Zaczęto go zapraszać na międzynarodowe festiwale i sympozja, do jury konkursów i do spółek w różnych producenckich przedsięwzięciach. Kolega Słowicki nie zmarnował szansy i opuścił ludową ojczyznę oraz Politechnikę Warszawską chyba tuż przed samą wojną i żyje gdzieś w wolnym świecie, nie wątpię, że wygodnie.

„Kwant” pozostał nadal ambitnym klubem filmowym, ale to już nie było to samo, co wcześniej. Wajda zresztą też zaczął robić coraz gorsze filmy. Niewykluczone, że brakuje mu obecności Słowickiego.

„Kwant” mieścił się na pierwszym piętrze domu akademickiego „Riviera”. Na parterze, od strony Trasy, egzystował ówczesny „Remont” właściwy, czyli klub taneczny. Było to idealne miejsce do wyjmowania młodych, ale ciekawych życia dziewcząt. Tak się złożyło, że tuż obok utrzymywaliśmy z doktorem Chacińskim we dwójkę inny klub towarzyski, tyle że najzupełniej prywatny.

Było to mieszkanie, dokładnie naprzeciwko „Remontu”, które pozostawił doktorowi Chacińskiemu do użytku pewien facet, który udał się na dłużej do mamusi w Ameryce.

Sam doktor Chaciński był nie tylko młodszym pracownikiem naukowym Akademii Medycznej, cenionym działaczem młodzieżowym i członkiem PZPR, ale przede wszystkim bardzo dobrym lekarzem-ginekologiem oraz obiecującym dziwkarczem. Nadto był urodziwym brunetem o powłóczyстым spojrzeniu błękitnych jak chabry oczu, którymi wprost rozbierał młode kobiety, a one bezzwłocznie poddawały się każdemu badaniu.

W tym duecie przypadła mi rola inicjatora znajomości z pcią nadobną, gdyż doktor z natury był osobą nieśmiałą. Motałem więc okoliczności poznania, a potem do roboty, na zasadach równopartnerskich, przystępował przyjaciel. Bardzo wesoło nam się żyło w takim np. roku 1977, chociaż gospodarka kraju powoli chyliła się ku upadkowi.

Wiem, że w dekadach wcześniejszych niektórzy intelektualiści (Kałużyński!) zakładali i z sukcesem prowadzili podobne prywatne kluby. Ale oni popełniali błędy, na których myśmy się uczyli. Unikaliśmy przede wszystkim jakichkolwiek intelektualnych rozmów, nie pożyczaliśmy nikomu książek, choćby to nawet były najbardziej poszukiwane lektury szkolne (część z naszych znajomych dopiero czekała niecierpliwie na pełnoletniość i dowód osobisty) ani nie odwoziliśmy koleżanek do domów, nawet w porze północnej, żeby się im w głowach nie przewracało. Dzięki tym niewzruszonym zasadom było nam jeszcze milej, bo najczęściej panny zostawały do rana. Baliśmy się śmieszności.

Wcześniej nie bał się jej Marek Piwowski i naraził się na zasłużone drwiny. Otóż kiedyś, gdy Mareczek gościł w swoim mieszkaniu pewną pannę, niespodziewanie zadzwonił telefon. Akurat miał sprawę do Piwka Otello - prawdziwy król dzielnicy Praga i od dzieciństwa druh serdeczny sławnego reżysera. Sprawa polegała na tym, że u Otella było towarzystwo i znaczna ilość alkoholu, natomiast nie było Marka, więc się powinien stawić. Na to Piwek: „Nie mogę, Otello, jestem z dziewczyną, muszę ją odprowadzić do domu...”. Na to Otello: „Współczuję, Piwek, nie wiedziałem, że ze ślepyimi się ustawiasz...”. Otello, którego pamiętam jak przez mgłę jako wyjątkowego praskiego eleganta, ze złotą plombą i złotym sygnetem, zawsze w białym elastycznym golfie pod marynarką, skończył zresztą tragicznie, bo wyskoczył z okna. Całkiem niewykluczone, że ktoś mu w tym pomógł.

Wracając do „Remontu”: pod koniec tygodnia, popołudniem, stawaliśmy sobie z doktorem Chacińskim na małym balkoniku naszej kotłowni i przez lornetkę przyglądaliśmy się dziewczynom stojącym w długiej kolejce po bilety na dyskotekę. Następnie schodziliśmy na dół i upatrzone wyjmowaliśmy z tej kolejki, żeby już poza kolejką i za darmo wprowadzić je do środka, albowiem jako zasłużeni działacze studenckiego ruchu kulturalnego posiadaliśmy stałe karty wstępu do wszystkich przybytków studenckiej bohemy w całym kraju.

Po paru tańcach bywaliśmy już mocno znudzeni, więc zabieraliśmy panienki na górę, do domu, a potem w nagrodę z powrotem do „Remontu”, zwłaszcza że na horyzoncie pojawiały się już nowe. Z czasem trzeba było wejść w spółkę z bramkarzami, którzy widząc naszą przewagę dostawali szału. Nie mogli zrozumieć, dlaczego nam wychodzi, a im nie. Ale może dlatego nie mogli zrozumieć, że byli to studenci AWF. W każdym razie dla świętego spokoju i uprzedzając nieprzyjemne niespodzianki na bramce, dziewczyny z pierwszej zmiany oddawaliśmy pod opiekę bramkarzom. Niektóre były tym zachwycone, bo to oznaczało, że dyskoteka stoi przed nimi otworem codziennie. A puenta jest taka, że któregoś dnia odwiedził nas w mieszkaniu bramkarz z dziewczyną, ponieważ okazało się, że jest ona w ciąży. Doktor, przez wzgląd na wcześniejszą znajomość nie operował, ale skierował gdzie trzeba.

Z „Remontem” jest także związana moja największa dziennikarska wpadka. Bawiłem tam pewnego razu bez doktora Chacińskiego, ale też w dobrym towarzystwie. Rozglądając się po sali zauważyłem w pewnej chwili faceta, który bardzo mi kogoś przypominał. Skojarzyłem, że to musi być nieznany mi osobiście, ale bardzo znany w świecie francuski sportowiec, mistrz olimpijski w biegu przez płotki - Guy Drut. Byłem młodym, ambitnym dziennikarzem, postanowiłem więc przeprowadzić z nim wywiad. Nie mogliśmy się dogadać (o francuskim nie mam zielonego pojęcia), ale z pomocą pospieszyła mi pewna koleżanka. Francuz zgodził się odpowiadać na pytania i naprawdę świetnie się nam gaworzyło.

Słynny sportowiec nie miał sprecyzowanych planów na przyszłość. Po zdobyciu złotego medalu na igrzyskach w Montrealu postanowił trochę odpocząć i dlatego przyjechał do Polski. Na zakończenie

miłego spotkania Francuz złożył autograf na podsuniętej kartce papieru. To, że rozmawiam ze słynnym sportowcem nie uszło uwadze klubowych gości, więc Drutowi wszyscy przyglądali się z wielkim zaciekawieniem i po autografy ustawiła się długa kolejka, a kierujący wówczas „Remontem Waldek Dąbrowski (dzisiaj wiceminister kultury i sztuki) w ramach przysługującego mu funduszu reprezentacyjnego postawił na stole butelkę koniaku. Francuz ciągnął alkohol jak prawdziwy zawodowiec i wtedy zapaliła mi się w głowie, ale tylko na chwilę, lampka ostrzegawcza, że coś nie jest w porządku. Milutki wieczór zakończył się wielkim pijaństwem. Następnego dnia zaniósłem gotowy wywiad do „Przeglądu Sportowego”, gdzie przyjęto mnie z radością i otwartymi ramionami.

„PS” - 6 września 76. Nr 178 (6711)

TAJEMNICZY URLOP GUY'A DRUTA

TEGO się naprawdę nikt nie spodziewał! Do Warszawy, całkowicie incognito, przyjechał jeden z bohaterów Igrzysk Olimpijskich.

W czwartek, 2 września o godz. 23.15 do dyskoteki Centrum Studenckiego Riwiera-Remont weszło trzech młodych ludzi. Byli to Francuzi. Zagraniczni goście, nie wadząc nikomu, zajęli miejsca przy stoliku, zamówili koniak i dopiero czujne oko reportera wykryło, że jednym z nich jest mistrz olimpijski w biegu na 110 m ppl. Guy Drut. Korzystając więc z okazji i pomocy red. Elżbiety Mołodyńskiej („Szpilki”, lingwistka) oraz Waldemara Dąbrowskiego, przewodniczącego Komisji Kultury Zarządu Stołecznego SZSP, udało mi się przeprowadzić z niecodziennym gościem, zupełnie nieoczekiwanie, wywiad.

Guy Drut, lat 25, ubrany w dzinsy i krótka skórzana kurtkę, okazał się być człowiekiem niezwykle sympatycznym, chociaż nie ukrywał, że rozmowa z dziennikarzem jest dla niego całkowitą niespodzianką.

— Jak to się stało, że jesteś w Pol-



— Jakiego typu interesy prowadzisz?
— Mam udział w trzech sklepach, w

Trzy dni później bawiłem na krótko w Poznaniu i w numerze hotelowym słuchałem przed snem radia. W wiadomościach sportowych dyżurny spiker poinformował, że na zawodach w Koblencji mistrz olimpijski Drut startował wyjątkowo w dziesięcioboju lekkoatletycznym i osiągnął rezultat zbliżony do rekordu świata! Lampka zapaliła się powtórnie i, niestety, za późno. Wyliczyłem sobie natychmiast, że jeżeli faktycznie w „Remoncie” rozmawiałem z Drutem, to natychmiast po nocnej balandze i niezupełnie trzeźwy musiał wsiąść do samolotu, wylądować w RFN, z marszu przystąpić do zawodów i, znajdując się w fantastycznej dyspozycji fizycznej, osiągnąć rekordowe rezultaty w najtrudniejszej dyscyplinie lekkoatletycznej. To było po prostu niemożliwe...

Nazajutrz zaczęła się wielka awantura. Na zawodach w Koblencji był Janusz Szewiński (mąż i trener Ireny), który znał Druta od lat, rozmawiał z nim osobiście, na dokładkę w czwartek, czyli tego samego dnia, kiedy ja raczyłem się z tym samym Drutem koniakiem w „Remoncie”. Albo - albo! Prawda była oczywiście po stronie Szewiny, zatrudnionego zresztą w „Przeglądzie” na etacie fotoreportera. Dla redakcji publikacja tego wywiadu była, rzecz jasna, kompromitacją. Dla mnie najgorsze było co innego: nie dawano mi wiary, że się pomyliłem i że pomyłkę tę wykorzystał jakiś anonimowy dowcipniś, chociaż bez wątpienia - Francuz. „Przeglądowcy” zarzucali mi kłamstwo z premedytacją. Wszystko miałem jakoby zmyślić, tylko nie bardzo wiedziano po co. Była okazja do wyśmiewania mnie, szargania mojego nazwiska na łamach różnych gazet. Znalazłem się w prawdziwych tarapatach, byłem bez pracy i z przypiętą łatką oszusta; nikt nie chciał ze mną poważnie rozmawiać. Czułem się podle.

Od czasu tej historii minęło już ponad piętnaście lat, a ciągle odbija mi się czkawką. „Jak to było?” - pytają mnie studenci dziennikarstwa na zajęciach i okazjonalni „wywiadowcy”. I odnoszę wrażenie, że nie dają wiary tej historyjce. A przecież żyją jej naoczni świadkowie, a poza tym jest bardziej malownicza niż tylko wymyślenie mało ważnego wywiadu przy biurku, nad maszyną do pisania. Cóż, ludzie cierpią na brak fantazji, dlatego życie większości jest tak przeraźliwie nudne.

BRISTOL

(Krakowskie Przedmieście, róg Karowej)

Na Karową chodziłem do szkoły aż do matury, codziennie rano mijałem więc najelegantszy wówczas hotel stolicy, nie mając śmiałości, żeby przekroczyć jego progi. Jak zwykle, byłem spóźniony, bo kiedy wreszcie zacząłem bywać w „Bristolu”, jego świetność należała już do przeszłości.

W „Bristolu” naprawdę ważne były trzy miejsca: wewnętrzny barek, kierowany przez dwie imponujące blondyny, mała salka w narożnej kawiarni, z wejściem prosto z ulicy i nocny lokal na piętrze, od strony Karowej.

W barku spotykali się biznesmeni, w latach sześćdziesiątych zwani pasożytami. Pijało się tam „harcerzyki”, czyli wódkę czystą wyborową zmieszaną z sokiem pomarańczowym. Przy okazji można się było przyjrzeć prawdziwym bogaczom PRL, którzy swój dobrobyt musieli ukrywać przed tajniakami z milicji i urzędu skarbowego. Tam też ktoś pokazał mi Kargula wielkiego aferzystę, nieprawdopodobnego kombinatora, a przy tym człowieka gołębiego serca, którego po Marcu '68 wymiar sprawiedliwości ludowej i propaganda uczyniły wrogiem publicznym, łupieżcą klasy robotniczej i podlecem, rozsadzającym socjalizm od środka. Tak naprawdę, to Kargul trudnił się przrzutem paczek z zagranicy, sprowadzał bele sztucznego „misia”, długopisy, zwane wówczas „piórami kulkowymi”, i chyba żyletki. Nie był jedynym obrotnym handlowcem w kraju. Jego naturalne środowisko liczyło kilkadziesiąt osób i byli to prawdopodobnie bardzo zabawowi ludzie, bo w końcu dzięki nim egzystował „Bristol”. Ale czas prosperity skończył się właśnie w końcówce lat sześćdziesiątych. Większość biznesmenów przyskrzynała milicja, a redaktor Aleksander Rowiński opublikował reportażową książkę „Anioły Warszawy”, nie kryjąc na jej kartach swego obrzydzenia dla niecznych praktyk różnych bywalców komisów, właścicieli szklarni i fabryczek z zabawkami. I tak „Bristol” zaczął dołować.

Trochę inne towarzystwo zbierało się w kawiarence, jakby intelektualny odłam tej samej kasty społecznej: prywaciarze, ale także artyści, dziennikarze, różni wynalazcy na państwowych posiadach, nie podlegający więc bezpośredniemu ściganiu przez milicję, ale zdeprawowani przez wspólne z prywaciarzami biesiadowanie i hazard w wolno stojących willach na Saskiej Kępie, Mokotowie i Żoliborzu, gdzie nie zapraszało się obcych, tylko samych swoich.

Kawiarnia „Bristolu” tak naprawdę funkcjonowała wyłącznie we wczesnych godzinach popołudniowych, gdy przy paru połączonych stolikach dyskutowano o zeszłorocznych wistach. Nastrój tych spotkań opisał dokładnie Janusz Głowacki w tomiku swoich debiutanckich opowiadań i zebrał dobre recenzje towarzystwa.

Przy bristolowych stolikach zbierała się pierwsza prawdziwa opozycja przeciwko siermiężnemu socjalizmowi ustrojowi przede wszystkim przeraźliwie nudnemu. Tej pierwszej opozycji demokratycznej nie było łatwo, bo bezpieka raz po raz wyluskiwała kogoś z towarzystwa pod byle jakim pretekstem. Mimo wszystko kawiarnia, coraz bardziej pusta, przetrwała jeszcze całą gierkowszczyznę i dopiero zamknięcie na amen „Bristolu” położyło kres codziennym spotkaniom. Nie mam z kawiarni „Bristolu” żadnych wspomnień, bo nie należałem do tego towarzystwa, a tylko kilka razy zostałem do stolika doproszony. Akurat rozmawiano o brydżu, więc też dość nudno, ale może po prostu nie miałem szczęścia.

Miejscem bardziej w „Bristolu” atrakcyjnym od dwu poprzednich był lokal nocny na Karowej, do którego prowadziła imponująca architektonicznie kawkada schodów. Dawniej był tam dancng z orkiestrą, ale za wczesnego Gierka ojciec polskiego rock and rolla, Franek Walicki z Gdyni zorganizował w „Bristolu” pierwszą w Warszawie dyskotekę. Było naprawdę jak na Zachodzie, bo nad parkietem na estradzie tańczyły dziewczyny z „Naya-Naya” Małgosi Potockiej. Franek W. za konsolę przebrany był za amerykańskiego kowboja, a w korytarzu rozstawiono szwedzkie automaty do gry „jednorękich bandytów”.

Znajomości zawierało się w barze, i były to znajomości najróżniejsze, bo do „Bristolu” mógł wejść każdy z ulicy, pod warunkiem, że miał przy sobie trochę pieniędzy. Tak naprawdę to było pierwsze miejsce w Warszawie, gdzie elita kulturalna miasta bratała się z półświatkiem. Do lokali zamkniętych prostytutki nie miały wejścia, za to w „Bristolu” stanowiły najbardziej interesującą - z punktu widzenia personelu - klientelę i nawet wolno było im więcej, niż innym gościom. Dlatego dodatkową atrakcją „Bristolu” były awantury i bójki, w mieszanym płciowo składzie, które jednak kończyły się szybko, bo przed wejściem prawie zawsze czekał dyżurny radiowóz. I tak naprawdę nikt tam nikomu nie wyrządzał krzywdy. Po zamknięciu „Bristolu” parę innych knajp bardzo się starało o przejęcie stałej klienteli, ale nie udało się to nikomu. W nowych dyskotekach nad Wisłą, w „Nimfie” czy w „Rusałce”, zbierali się już tylko alfonsi i kurwy, którzy po dziś dzień tłuką się we własnym towarzystwie.

Razem z „Bristolem” zniknęła z mapy miasta pewna kategoria bankietowiczów-filozofów warszawskiej nocy. W „Bristolu” poznałem, na krótko przed tragiczną śmiercią, Dudusia Pawlikowskiego, muzykologa, aktora filmów Wajdy, kochanka wszystkich interesujących pań warszawskich w latach pięćdziesiątych, i właśnie nocnego, barowego filozofa. Pawlikowski kończył się i to kończył smutno. Nie rozumiał, czy nie chciał zrozumieć, marazmu codziennego życia w Polsce i pewnego dnia wyskoczył przez okno. Jeszcze jeden z tragicznego pokolenia „nieśmiertelnych”.

UNIwersytet Warszawski (ciągle na Krakowskim Przedmieściu)

Studentem wydziału prawa zostałem na rok przed Marcem. Bardzo imponowała mi ta uczelnia. Poza tym Uniwersytet był wspaniale położony, wszystko, co interesujące w Śródmieściu, znajdowało się w zasięgu ręki, chodziło się do „Harendy” i do kościoła Świętego Krzyża, do „Staropolskiej”, jeszcze przed remontem, więc taniej, i do „Europejskiego”, gdzie w barku restauracyjnym można było wówczas zjeść najlepiej w całym mieście. Chodziło się do Kordegardy na wystawy plastyczne i do taniego kina „Kultura”, gdzie zawsze były dobre filmy, do „Hopfera” na piwo i do „Bristolu”. Nie opuszczając Krakowskiego Przedmieścia można było zobaczyć wszystko, spotkać wszystkich i mieć dokładny przegląd sytuacji.



Marzec '68 zaczął się w styczniu, kiedy za psie pieniądze całe wydziały chodziły na przedstawienie mickiewiczowskich „Dziadów” z Holoubkiem i w reżyserii Dejmka. Teatr Narodowy był przecież tuż obok Krakowskiego Przedmieścia. Oczywiście, te wypadki do teatru były przez kogoś inspirowane. Ktoś dbał o to, żeby studenci bez trudu mogli dostać bilety. I bardzo dobrze, bo to było naprawdę fantastyczne przedstawienie.

Niby się nic nie działo, ale właśnie w styczniu, w czasie sesji egzaminacyjnej, po dziedzińcu uniwersyteckim zaczęły łączyć parami jakieś niechlujne dziewczyny i zbierać podpisy na liście do Sejmu, sprzeciwiającym się zdjęciu „Dziadów” z afisza. Bez zastanowienia taki list podpisałem, podobnie zresztą jak prawie wszyscy moi koledzy. Prawie... bo kilku zapisało się do ZMS i musieli chodzić na zebrania.



Młodzież studencka mojego pokolenia przed Marcem mniej interesowała się polityką niż znacznie zdrowszymi kontaktami damsko-męskimi. Nie było problemu antysemityzmu. Nikogo nie dziwiło, że ktoś ma na nazwisko Finkelsztajn, a ktoś inny Rozencwajg. Oczywiście, ktoś mógł powiedzieć w towarzystwie, że nie lubi Żydów, ale nikt tego nie traktował poważnie. Nie lubi, to nie lubi, jego sprawa.

Akcja zbierania podpisów trwała przez jakieś dwa tygodnie i zrobiło się mało przyjemnie, bo nieznane nam siły odpowiedziały kontrakcją wszczynając bójki. Było to o tyle obrzydliwe, że na spacerujące parami niechlujne dziewczyny rzucali się faceci, niby koledzy-studenci, ale jacyś tacy obleśni, najwyraźniej element napływowy. W tym czasie bardzo pomocne w dostaniu się na studia były tzw. punkty za pochodzenie i bardzo dużo kmiotków z takiej szansy skorzystało. No więc, kiedy tacy faceci

szarpali się z dziewczynami i usiłowali im wyrwać te listy z podpisami, w obronie stawali inni studenci, najzupełniej przypadkowi i dochodziło do mordobicia. Po tych wypadkach dziewczyny nadal zbierały podpisy, ale już w towarzystwie paru wyśmienitych młodzieńców w charakterze ochrony. Z kolei zetemesowcy też zaczęli dyżurować na dziedzińcu w małych grupkach i to już wyglądało groźnie.

Mnie zdenerwował niejaki Miłkowski, którego znałem jeszcze ze szkoły, z klasy o rok wyżej, a zapamiętałem, bo stale był w telewizyjnych programach dziecięcych. Na studiach Miłkowski miał nadal dziecięcą buzię i wzrost leżącego psa. Był to naprawdę ostatni człowiek, którego posądzałbym o bojówkarskie ciągoty, ale to właśnie on po koleżeńsku mnie ostrzegł, żebym się nie wtrącał do tych ulicznych kłótni, bo sprawa wygląda poważnie. W odpowiedzi dostał kopa, ale niepokój pozostał. Coś się na uniwerku musiało zdarzyć.

W lutym pojechałem na krótkie wakacje do Zakopanego i spotkałem dużo znajomych z uczelni. Taka była moda, żeby się spotykać w Zakopanem. Właśnie tam dowiedziałem się, że jest grupa ludzi, która aktywnie sprzeciwia się zamordyzmowi politycznemu w Polsce i broni dobrego imienia uniwersytetu. Nie było jeszcze mowy o żadnych nazwiskach, ale niewątpliwie zaczynał się już mecz.

Po sesji wróciliśmy na uniwersytet wyraźnie podzieleni: już nie wypadało kolegować się z zetemesowcami, a oni też wyraźnie się od nas dystansowali.

O tym, że 8 marca odbędzie się wiec studentów przed Pałacem Kazimierzowskim, wiedzieli na uniwerku wszyscy co najmniej tydzień wcześniej i nikt się temu nie dziwił ani nie przewidywał szczególnych emocji. Uniwerk to przecież nie Krakowskie Przedmieście, gdzie 30 stycznia, po ostatnim przedstawieniu „Dziadów”, na ustawioną w kolumnę marszową studenterię rzuciła się milicja. Na uczelni pewni byliśmy swojej bezkarności. Poza tym naprawdę mieliśmy już dość gładzącego godzinami w radiu i telewizji Gomułki. Nie pamiętaliśmy Października '56 ani tym bardziej mrocznego stalinizmu. Nie wiedzieliśmy, że życie w Polsce może być jeszcze większym koszmarem, ale nie wierzyliśmy także w Gomułkę, który w końcu lat sześćdziesiątych był naprawdę już tylko prymitywnym, psychopatycznym starcem, na pierwszy rzut oka - tępym półanalfabetą.

8 marca w 68 padał od rana śnieg, a mężczyźni ustawiali się w kolejkach przed kwaciarniami. Jak co roku. Nie miałem pojęcia, co się święci i na wiec przed rektoratem postanowiłem wybrać się z narzeczoną bardziej z ciekawości, niż dla zaakcentowania jakiejś postawy politycznej. Przyszło nas dużo i o dwunastej w południe stało na placu kilka tysięcy ludzi. Przemawiały głównie dziewczyny, właśnie te niechlujne, które kilka tygodni wcześniej zbierały podpisy pod petycją do Sejmu w sprawie „zaaresztowanych” dejmkowskich „Dziadów”. Bardzo odważnie przemawiały, krytykując partię, rząd i milicję. Robiło się coraz bardziej rewolucyjnie, bo podobnych rzeczy nikt w tym czasie nie odważył się publicznie wygadywać. Dlatego biliśmy brawo i skandowaliśmy jakieś antysocjalistyczne hasła.

Rektorem UW był wówczas matematyk, profesor Turski. Tego dnia był nieobecny. Na żądanie pojawienia się wśród nas uniwersyteckiej władzy odpowiedział prorektor Rybicki, profesor z mojego wydziału prawa. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że to karierowicz i prawdziwa kanalia i że właśnie przy naszej pomocy zaczyna się jego wielka kariera. Rybicki pojawił się na balkonie w samym garniturze, ale za to w rektorskim łańcuchu na szyi.

Prosił o spokój i zaproponował, żeby w naszym imieniu rozmawiała z nim w rektoracie delegacja. Wtedy do Pałacu Kazimierzowskiego weszło parę osób, które po chwili pojawiły się na balkonie na

dowód, że nie zostały przymknięte przez ubecję. Po jakichś dwóch godzinach wiec zaczął zdychać, bo rozmowy w rektoracie ciągle trwały.



Rozchodziliśmy się pojedynczo albo grupkami i właśnie wtedy na teren uniwersytetu wjechały autobusy i zrobiło się czarno od jesionek i beretów „robotniczego” aktywu. To był tłum bez twarzy, jacyś straszni faceci, uzbrojeni w kije i gumowe pałki zaczęli lać przechodniów-studentów na oślep, bez ładu i składu, każdego, kto im się nawinął pod taką pałę. Zrobiło się naprawdę strasznie. Studenci w panice próbowali chować się w budynkach poszczególnych wydziałów, ale niektóre drzwi zostały zamknięte na cztery spusty. To była robota zetemesowców, najwidoczniej wcześniej poinformowanych o wizycie nieproszonych gości. Nieźle znałem zakamarki uniwersyteckie i dlatego udało mi się wyprowadzić dziewczynę przez boczny dziedziniec, za gmachem Geografii, na placyk przed kościołem Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Stamtąd zatłoczoną ulicą usiłowaliśmy iść w kierunku Nowego Świata, ale nie było to możliwe, bo na jezdni trwało już wielkie polowanie. Studenci uciekali w stronę pomnika Kopernika, ale tam czekał już następny ochronny kordon „aktywistów” uzbrojonych w pały. Okrężną drogą, przez ulicę Traugutta, dotarliśmy do domu.

Wieczorem tego samego dnia, w dzienniku telewizyjnym spiker odczytał informację o „chuligańskich zajściach w okolicach Uniwersytetu Warszawskiego”. To był pierwszy mój kontakt z propagandowym kłamstwem!

Marzec '68 nie zaczął się wiecem przed Pałacem Kazimierzowskim i pałowaniem studentów przez aktyw robotniczy. Marzec zaczął się naprawdę po trzech dniach, w poniedziałek, jako skutek bezczelnych kłamstw propagandy. Jeszcze na wszystkich uczelniach w kraju panował spokój, ale w zamkniętym murami kwadracie UW na Krakowskim Przedmieściu już wybuchła rewolucja. Studenci odwołali wszystkie zajęcia, za to w Audytorium Maximum, o dziesiątej, zwołano wiec z udziałem profesorów. Pamiętam naszego dziekana, profesora Leśnodorskiego, który publicznie powiedział, że mamy rację! To był w ogóle pierwszy dorosły, który odważył się zaprotestować przeciwko kłamstwom o burdach chuliganów, w które dali się wciągnąć dziecinni i głupi studenci.

Dużo ludzi przemawiało na tym wiecu, a specjalna komisja redagowała jakieś protesty, entuzjastycznie przyjmowane przez tłum, jaki się zebrał w auli. Oczywiście, nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że wśród nas aż się roi od esbeków i że prawie wszyscy ci, którzy wychodzą na mównicę i przedstawiają z imienia i nazwiska, jeszcze tego samego dnia zostaną aresztowani.

Był piękny słoneczny dzień, na ulicy leżał śnieg, kiedy o drugiej po południu, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, studenci wychodzili z uniwersytetu na obiad, do domów i akademików. Na Krakowskim Przedmieściu było może trochę więcej przechodniów, ale o żadnych demonstracjach ulicznych nie mogło być mowy. Szedłem w kierunku Nowego Świata i nagle zobaczyłem, że wzdłuż jezdni na wysokości pomnika Kopernika, przed budynkiem PAN stoi kordon milicjantów i cywilów. To oni pierwsi zaatakowali studentów, łapiąc, zabierając legitymacje i pałując. Studenci zaczęli uciekać z powrotem na Krakowskie, pałkarze za nimi. Najbezpieczniejszym azylem stał się kościół Świętego Krzyża, bo tam komunistyczni robotnicy nie odważyli się wtargnąć. Ale na schodach kościoła stał już tłum, więc studenci uciekali dalej ulicą, a za nimi uganiał się faceci w berecikach. Wiele lat później oglądałem archiwalne zdjęcia kroniki filmowej, które dobrze oddają grozę sytuacji. Mnie udało się dojść lewym chodnikiem aż do skrzyżowania Krakowskiego z Oboźną. I dopiero tam zobaczyłem, że biegnie w moim kierunku jakiś zbir z kijem. Zacząłem uciekać Oboźną w dół, w kierunku Wisły, a za mną tupało ze trzech aktywistów. Zatrzymałem się dopiero przy elektrowni na Powiślu. Wokół było cicho i pusto, ani przechodniów, ani milicjantów, ani ochotników-pomagierów. Jakbym się znalazł w zupełnie innym mieście. Wolnym krokiem przespacerowałem się wzdłuż Wisły do parku przy moście Poniatowskiego. Powiśle ciągle wyglądało jak wymarłe. Kamiennymi schodami wspiąłem się do Smolnej i do skrzyżowania Alej Jerozolimskich z Nowym Światem. I dopiero tam zobaczyłem obrazek, jak z okupacyjnego filmu.

Chodniki Nowego Świata szczelnie wypełnione były ludźmi. Ten tłum stał i przyglądał się szczególnej defiladzie. Od KC w stronę Uniwersytetu jechało wolno kilkadziesiąt wozów pancernych, niebieskich, z wyraźnymi literami MO na bokach. Nigdy wcześniej nie widziałem takich pojazdów. Dorastałem przecież w latach „małej stabilizacji”. Gomułka zrządził na różnych partyjnych spędach, a normalnych ludzi to zupełnie nie interesowało. Nikt się nie buntował, nikt nie strajkował, a co dopiero mówić o jakichś ulicznych zamieszkach. Polacy w latach sześćdziesiątych zobojętnieli, niezdolni byli do jakiegokolwiek protestu. Dopiero studenci... Tak więc zatrzymałem się w tłumie na Nowym Świecie i oślepiały przyglądałem się wiszącym na stopniach transporterów oficerom milicji w hełmach i goglach.

Skojarzenia były prawidłowe, bo kobiety płakały, zupełnie jak na okupacyjnych filmach. I dopiero w to poniedziałkowe słoneczne popołudnie zrozumiałem, że dzieje się coś strasznego; że to już nie młodzieżowy, romantyczny zryw, ale bardzo groźna rozróbka, w której wszyscy studenci są pionkami w nie znanej sobie grze.

Chyba tego dnia pojawił się w telewizji Kąkol ze swoją pierwszą pogadanką do narodu o syjonistycznej kontrrewolucji. I tego samego wieczoru dziennik tv podał do wiadomości pierwszą listę obco brzmiących nazwisk.

Może nie byłem wówczas najmądrzejszy, ale już nie byłem dzieckiem. Wiedziałem, co to antysemityzm. Wiedziałem o przedwojennych pogromach i gettach ławkowych na uniwersytecie, słyszałem w szkole kąśliwe uwagi pod adresem najlepszej uczennicy: „mądra, bo Żydówka...”. Sam, od kiedy pamiętam, miałem do czynienia z inteligencją żydowską. To była rodzina, a właściwie jej resztki, ze strony Ojca, przyjaciele domu, a dokładniej - dwóch domów, bo przez parę lat mieszkałem u dziadka, w Katowicach. Dziadek był sędzią. Z adwokatami, lekarzami, dyrektorami różnych przedsiębiorstw grał w karty, bywaliśmy w tych domach. U Hirschbergów, Weinlessów, Seelenfreudów, Szacherów, Reissów. Pamiętam, że to byli ogromnie kulturalni ludzie, mówiący piękną, kresową polszczyzną, trochę śmiesznie akcentującą poszczególne słowa, ale odznaczający się niespotykaną na ulicy elegancją. Także elegancją mieszkań, pełnych starych mebli, malarstwa w złożonych ramach, cennych bibelotów. Tego wszystkiego, czego nie było w mieszkaniach moich szkolnych kolegów. Pewnie dlatego, że przyjaciele domu mieszkali w czystych kamienicach, a większość moich rówieśników w nowych, ale architektonicznie obrzydliwych blokach.

Dla mnie ten niespodziewany atak na Żydów był szokiem. Dla mojego Ojca, z czego jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, był zagrożeniem. Dopiero po paru miesiącach zorientowałem się, że w tym pierwszym „marcowym” tygodniu kompletnie osiwił. A miał dopiero 48 lat. Ale on był mądrzejszy i doskonale wiedział, co jest grane, co się naprawdę zaczyna. Przed wojną, na Jagiellonce w Krakowie przeżył hańbę starcia z laskami kolegów-endeaków, a potem zajęty przez Sowietów Lwów i wojenną Rosję, i zsyłkę do Kazachstanu, i już w latach pięćdziesiątych przygotowania do rozprawy z „kosmopolitami”. Na szczęście Stalin umarł w samą porę, ale jego strojny pogrzeb nie był pogrzebem antysemityzmu. W '56 wyjechał do Izraela stryj mojego Ojca, bardzo rozsądny człowiek, który przepowiadał, że symbioza komuny z żydowskim aparatem ucisku państwowego musi się skończyć jatką. Przygotowaniem do niej był szum propagandowy po wojnie „sześciodniowej” w czerwcu '67. Zamknięto wtedy ambasadę Izraela w Warszawie, a komentarze, jakich słuchałem w domu, były całkiem odmienne od tych, które ukazywały się w gazetach.

Tak więc 11 czy 12 marca '68 zaczęło się w PRL wielkie polowanie na Żydów! Na szczęście nie pracowałem w żadnej instytucji, więc nie byłem świadkiem reżyserowanych zebrań i przesłuchań. W zupełności wystarczało to, co pokazywała telewizja.

Na uniwerku niby odbywały się zajęcia, ale częściej wiecowaliśmy. Jednego dnia na mównicy pojawiał się młody człowiek, a następnego dnia już go nie było i przemawiał ktoś nowy. Mijał dzień i tego drugiego też brakowało. To był bardzo naiwny bunt, bo przecież każdemu zebraniu towarzyszyli konfidenci i bezbłędnie wyłuskiwali przywódców studenckiej rewolty. Ale my durni sądziliśmy, że władze, Gomułka i towarzysze zrozumieją własne błędy...

Któregoś popołudnia wybraliśmy się w większym gronie do kina „Skarpa” na słynny wówczas film „Kobieta i mężczyzna” Leloucha. Specjalnie po południu, bo wieczorem telewizja miała transmitować spotkanie aktywu partyjnego w Sali Kongresowej z udziałem towarzysza Wiesława. Kiedy przemówił, nam przed telewizorami ciarki przechodziły po plecach. To dopiero po tej transmisji z sabatu czarownic znaczna część polskich Żydów zdecydowała się pakować walizki.

Najsmutniejsze było to, że obok antysemityzmu, nazwijmy go, oficjalnego pojawił się antysemityzm codzienny. Wpadało się teraz zastanawiać nad brzmieniem nazwiska, kolorem oczu i włosów, kształtem nosa. Najbardziej przykre było to, że tak dużo ludzi dało się w tę moczarowską prowokację wrobić.

Po uczelni latali inkwizytorzy z ZMS i magister Bonawentura Chojnacki, wymoczkowaty logik w źle skrojonym brązowym garniturku i koszuli z kołnierzykiem a la Słowacki. Latali, grozili, ale i tak nie zdołali zapobiec powszechnemu strajkowi, jaki po tygodniu ciszy proklamował studencki komitet protestacyjny. Strajkowały już zresztą także politechnika, SGPiS i SGGW. Dziwne, ale tak naprawdę każdy protestował sobie. Nie było nie tylko żadnej wspólnej struktury koordynującej tę akcję, ale nawet najprostszej łączności. A w ogóle to nie był żaden protest antysocjalistyczny, bo właśnie socjalizmu, zgody wszystkich mas pracujących i ludowej ojczyzny było pełno w studenckich deklaracjach.

Strajk odbył się, trwał trzy dni i dwie noce. Bardzo było wesoło! Non stop słuchaliśmy „Wolnej Europy” i dumni byliśmy z tego, że przez zamkniętą bramę mieszkańcy Warszawy podawali nam wałówkę. Żarcia rzeczywiście było od metra i nawet niektórym wydawało się, że będziemy mogli pociągnąć strajk do Wielkanocy, albo dłużej.

Podczas strajku przeżyłem jedną straszną noc. Miałem wartę w małym podwórzu, od frontu, z widokiem na ulicę Traugutta. I gdzieś tak koło drugiej, właśnie z Traugutta wyjechała na Krakowskie ogromna armata wodna, a właściwie gigantyczny tank, ze zbiornikiem wody zamiast ostrej przeciwpancernej amunicji. Wokół niego na piechotę uwijała się kompania uzbrojonych w hełmy, tarcze i pałki „golędziniaków”, później przemianowanych na ZOMO. Stałem pod murem za zamkniętą na łańcuch bramą, ale taką samą kratą oddzielony od uniwersytetu. Gdyby „golędziniacy” sforsowali łańcuchy (a zajęłoby im to nie więcej niż dziesięć sekund), niechybnie zatłukliby mnie na śmierć. Dlatego zdając sobie sprawę z prawdziwej grozy sytuacji zacząłem się bać, jak nigdy dotąd. Nie pamiętam, by kiedykolwiek przedtem, a i później dopadł mnie taki paraliżujący strach o życie. Ale milicja, na szczęście, nie chciała zdobywać uniwersytetu siłą. Z lufy wystrzeliła pod wielkim ciśnieniem woda, powybiła kilka szyb i dokładnie pozrywała nasze transparenty. Następnie pod osłoną piechurów tank wycofał się na Traugutta. Drugiej nocy w Audytorium Maximum spało już tylko ze dwieście osób, a rankiem niemal wszyscy puciekali do domów. W samo południe w zapelnionej tylko do połowy auli uroczyste strajk zawieszono na miesiąc. To był koniec!

Dwa dni później minister Jabłoński, późniejszy przewodniczący Rady Państwa, rozwiązał parę wydziałów. Studenci mieli indywidualnie wnosić podania o przyjęcie na studia, na których przecież byli. Esbecja przygotowała specjalne listy osób, których z powrotem przyjąć nie należy, a dla trefnych chłopców wojsko przygotowało już karty wcielenia do odległych prowincjonalnych jednostek. Zaczęły się wielkie czystki w świecie dorosłych.

KINO „KULTURA”

(róg Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej)

Z. Marcem '68 kojarzy mi się wiele stołecznych adresów, między innymi właśnie kino „Kultura”, pod którym dostałem pałą przez łeb czwartego czy piątego dnia rozruchów, kiedy odprowadzałem koleżankę na Stare Miasto. Lepiej pamiętam jednak to kino z jego faktycznej działalności, czyli z wyświetlania filmów. Tam właśnie, przez trzy dni z rzędu wchodząc na gapę, oglądałem film Jana Rybkowskiego „Naprawdę wczoraj”. Była jesień roku 63 i szkolną pantoflową pocztą dowiedziałem się, że powstał taki polski film, w którym rozbiera się do naga na ekranie, więc na oczach widzów, Beata Tyszkiewicz. Dla mojego pokolenia Beata Tyszkiewicz była tą kobietą, jaką dla całego otaczającego Polskę świata była Marilyn Monroe. I do dziś nic się nie zmieniło. Nigdy nie widziałem piękniejszej niż Beata Tyszkiewicz i już nie spotkam. Nawet teraz, kiedy ją znam, kiedy odbyliśmy kilka nic nie znaczących rozmów na temat ukochanych piesków, kiedy kłaniam się podczas przypadkowych spotkań, a ona uśmiecha się do mnie, czuję szmer w sercu. Wówczas, mając lat czternaście, byłem po prostu zakochany.



Dobrym zwyczajem bileterek w „Kulturze” było wietrzenie sali po seansie. Przy odrobinie sprytu i odwagi wystarczyło zacząć się za kotarą, od strony podwórka ministerstwa kultury i do środka wejść razem z ludźmi wpuszczanymi na seans.

Najpierw kupiłem sobie bilet, ale film zrobił na mnie tak wielkie wrażenie, że jeszcze trzykrotnie zastosowałem powyższą metodę. „Naprawdę wczoraj” był filmem jak na tamte lata silnie erotycznym, choć - gdyby pokazano go dzisiaj, wydawałby się całkiem niewinny. I prawdopodobnie naiwny. Zmęczony outsider łapicki miał zamiar prysnąć z jakimś dziełem sztuki za granicę, ale w miasteczku, gdzie dzieło wisiało w jakimś kościółku, spotkał dziewczynę i wieczorową porą długo rozmawiali w numerze obscurnego hoteliku, a potem poszli do łóżka. Nie tak zwyczajnie, bo

dziewczyna, grana przez Beatę Tyszkiewicz, z rozbieranki zrobiła całą etiudę. Poza tym film był smutny i - o czym jeszcze nie wiedziałem - szalenie „nowofalowy”. Za każdym razem wychodziłem z kina otumaniony, podobnie jak po „Moderato cantabile”, ale Jeanne Moreau nie rozbierała się tak ładnie jak Beata Tyszkiewicz.

Właściwie nie wiem, dlaczego zwróciłem uwagę na tak nieistotne dla kilkunastoletniego chłopca nazwisko scenarzysty: Leopold Tyrmand. Prawdopodobnie dlatego, że właśnie zaczytywałem się „Złym” i książka Tyrmanda wydawała mi się skończenie wspaniała. Minęło prawie trzydzieści lat, a mój gust literacki niewiele się zmienił. Tyrmand ciągle jest dla mnie jednym z dwóch, trzech najciekawszych polskich pisarzy współczesnych, chociaż od „Złego” wolę „Filipa” i „Życie towarzyskie i uczuciowe”. Ale idol pozostaje idolem. W roku 1981 Mariusz Ziomecki, reporter „Kultury”, wrócił ze stypendium w Ameryce, tam zrobił wywiad z Tyrmandem i dostał od niego świeżutko wydany „Dziennik 1954”. Pożyczył mi tę książkę tylko na jedną noc. Pamiętam odręczną dedykację: „Stare sprawy w młode ręce...”. Otóż nad ranem, kiedy doczytałem do ostatniego, urwanego w połowie zdania, poczułem ogromny żal, że nie mogłem dorośle przeżywać tych dziwnych i beznadziejnych lat pięćdziesiątych, że nie byłem wtedy i tam, gdzie Tyrmand, że nie miałem okazji z nim rozmawiać.

Tak naprawdę to poznałem Tyrmanda, żeby było śmieszniej, właśnie pod kinem „Kultura” na Krakowskim Przedmieściu, rok po premierze „Naprawdę wczoraj”, zdjętego zresztą w popłochu przez cenzurę zaledwie po kilku tygodniach wyświetlania.

Szedłem z Ojcem i pod „Kulturą” przystanęliśmy naprzeciw drobniutkiemu, wypielęgowanemu bruneta. Ojciec przedstawił mnie, a elegancki malutki podał mi delikatnie nie bardzo męską dłoń i powiedział: „Tyrmand”. Ubrany był tak, jak bohaterowie jego książek, osobliwie jak inżynier Albert Wilga w „Złym”. Akurat były bardzo modne granatowe marynarki ze złotymi guzikami i z herbem na górnej kieszonce. Tyrmand miał oczywiście na sobie taką marynarkę, pod nią błękitną koszulę non-iron (też szczyt mody!), do tego szare flanelowe spodnie, cudowne, miękkie i wypastowane do błysku czarne włoskie mokasyny, a klubowy angielski krawat w poprzeczne pasy dopełniał stroju. Poza tym pachniał zagranicznymi kosmetykami, co było rzadkością. Świetny pan w okularach ze złoconymi ramkami. Stałem nie odzywając się, a dorośli rozmawiali. Znali się chyba od dawna, bo byli po imieniu i jak wszyscy Polacy przy takich okazjach narzekali na ustrój i panujące stosunki. Tyrmand skarżył się, że ma kłopoty z książką (nie miałem pojęcia, z jaką i jakie to mogły być kłopoty) i że nie może wyjechać (ten problem już rozumiałem), chociaż ma jakąś fantastyczną okazję w Londynie czy Paryżu, już nie pamiętam. Sprawiał wrażenie obrażonego snoba, chwając się i równocześnie narzekając, że jacyś łachmaniarze przeszkadzają mu w spełnianiu planów. Wydał mi się bardzo dumny i właśnie jakiś taki... pański. W jakiś czas potem rzeczywiście udało mu się wyjechać i już nie wrócił. Wielka szkoda, bo niewielu takich ludzi spotkałem później w dorosłym życiu. Kiedy umarł, chyba w zimie roku 85, zrobiło mi się smutno, jakby odszedł ktoś osobiście mi bliski.

CENTRUM PRASOWE „INTERPRESSU” (Plac Zwycięstwa, dzisiaj: Plac Piłsudskiego)

Eleganckie wnętrze, niedostępne dla przechodniów, bo przeznaczone dla dziennikarzy zagranicznych, akredytowanych w Warszawie. Pierwszy raz wpuścił mnie tam portier na jakąś konferencję prasową przed pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II do Polski. Rok później, najzupełniej niespodziewanie, zostałem etatowym pracownikiem „Interpressu” i mogłem wchodzić do Centrum, kiedy tylko miałem ochotę. Właśnie - dla przyjemności, bo ciągle nie miałem żadnych interesów. Że w środku jest miło, przekonałem się w okolicznościach smutnych, bo na bankiecie-stypie po śmierci kardynała Wyszyńskiego. Przyjechało wtedy do Polski bardzo dużo zagranicznych dziennikarzy i to nawet takich, którzy sami się tego nie spodziewali. Na tym bankiecie poznałem pana Krok-Paszkwoskiego z BBC, a wcześniej pracownika „Wolnej Europy”. Wtedy, wiosną '81, taka znajomość to było coś, bo oficjalnie bardzo tu w kraju nie lubiliśmy „dywersyjnych rozgłośni”. A ja siedziałem naprzeciw „dywersanta”, bardzo pięknego starszego pana i popijałem z nim wódeczkę. Pan Jan zaprosił mnie na „rewanżystowskiego” drinka w Londynie, ale z przyczyn obiektywnych obietnica ta nigdy nie mogła zostać spełniona. Na ten pamiętny bankiet przyprowadził go osobisty przyjaciel - Karol Małcużyński.

Minęło nie tak wiele miesięcy i 13 grudnia roku pamiętnego wybuchła wojna. Pierwszego wojennego wieczoru w dzienniku telewizyjnym obejrzałem pierwszą konferencję prasową Urbana, właśnie w Centrum. Od razu następnego dnia pobiegłem na plac Zwycięstwa, ale w drzwiach stał całkiem inny cieć, zza marynarki wystawała mu okładzina rewolweru i zażądał przepustki, a ja takiej nie miałem, bo z całą firmą zostałem urlopowany, wróciłem więc na plac jako przechodzień.

Dopiero jesienią „Interpress” wznowił działalność i wysłano mnie do Centrum, zarekwirowanego przez rząd Jaruzelskiego na konferencje Urbana. Tłok był niemiłosierny, a pan rzecznik miał wiele do zakomunikowania dziennikarzom. Stojąc na jednej nodze próbowałem zapisywać to, co Urban czytał z przygotowanej kartki, a dokładniej - z wielu kartek, bo przygotował sobie cały referat o niecej działalności elementów wywrotowo-socjalistycznych. Coś jednak wynotowałem i w następnym tygodniu znowu byłem słuchaczem wtorkowego kazania. Cholernie nie lubiłem tych konferencji, bo Urban odczytywał całe epistoły i żadną miarą nie dało się tego notować. Poza wszystkim mówił rzeczy obrzydliwe, kłamał w żywe oczy, ale to też były informacje. Dla czystości sumienia wymyśliłem w podpisie tekstu formułkę „notował”, żeby na zimno podawać do druku te wszystkie inwektywy, jakimi pan rzecznik obrzucał „Solidarność” („byłą” podkreślał), Kuronia, Michnika i ich protektora Reagana.

Ponieważ każda taka impreza trwała najmarniej dwie godziny, zrywałem się jako pierwszy, biegłem do samochodu i jechałem do redakcji, żeby jak najszybciej napisać tekst i mieć obowiązek z głowy. Czasami zagraniczni dziennikarze bezwiednie robili mi przyjemność, wchodząc w polemiki z Urbanem i zadając mu niewygodne pytania, na które nie potrafił znaleźć inteligentnej odpowiedzi. To też odnotowywałem. Następnego dnia, dla ciekawości, zerkałem do stołecznych gazet, żeby ze zdziwieniem skonstatować, że moje koleżanki i koledzy z „naziemnych” środków przekazu te ciekawsze momenty z konferencji pomijali milczeniem. Kombinowałem sobie, że tchórzą i tym samym poprawiałem własne samopoczucie. Do czasu, niestety...

Już zaliczyłem chyba ze dwadzieścia takich konferencji, minęło z pół roku, aż pewnego dnia, właśnie w Centrum, zaczepił mnie kolega Maciek Górski, spełniający rolę konferansjera Urbana, pytając, dlaczego nie przychodzę na odprawy? Jakże znowu odprawy?) Dowiedziałem się wtedy od jeszcze bardziej ode mnie zdziwionego Górskiego, że dziennikarze krajowi po każdej konferencji w specjalnym pokoju spotykają się z Urbanem i że jest to obowiązkowe. Właśnie tydzień wcześniej podczas takiej odprawy koleżanka Drożdż z „Życia Warszawy” poskarżyła się Urbanowi, że wszyscy zachowują się karnie i lojalnie, a Atlas wypisuje, co chce i że jest to niesprawiedliwie. Co niesprawiedliwie?! W najbliższy wtorek zostałem po konferencji. Dziennikarze zagraniczni drwiąco się uśmiechali, kiedy delegacja „krajowców” niczym szkolna wycieczka w Ogrodzie Saskim podreptała za Urbanem do jednego z gabinetów.

Okazało się, że całkiem niepotrzebnie ścigam się z czytającym z kartki Urbanem, bo jego asystenci rozdają krajowym dziennikarzom nie tylko odbite na powielaczu teksty tych przemówień, lecz również kartki z pytaniami i odpowiedziami. Tak poznałem kulisy wielkiej mistyfikacji. Dziennikarze krajowi mogli rzecznikowi zadawać tylko te pytania, które on sam chciał usłyszeć, więc wcześniej wymyślił i przygotował sobie odpowiedzi! Przed każdą konferencją Górski dostawał kilka takich karteluszków i rozdawał wybranym. Potem w czasie po temu stosownym podnosili łapki i recytowali z kartki treść pytań. Rzecznik rozpromieniał się, niekiedy nawet chwalił za potrzebne pytanie, po czym czytał podsunętą mu przez asystenta gotową odpowiedź. Przyrzekłem sobie, że nigdy nie dam się wrobić w taki kabaret i rzeczywiście nigdy nie zadawałem na konferencjach pytań Urbanowi, chociaż nie raz i nie dwa kolega Górski usilnie mnie do tego namawiał.

Cyrk na tym się nie kończył, a dopiero zaczynał! Pojawiała się mianowicie stenotypistka i odczytywała na głos zapis całej konferencji, od początku do końca. Urban raz jeszcze słuchał pytań i rozkazywał: to tak, to nie, tego w żadnym wypadku, to można, to trzeba. Od ręki sam cenzurował swoje wypowiedzi, nie ukrywając niekiedy przed nami, że jakieś pytanie jest mu niewygodne, bo zabełkotał albo palnął głupstwo. Tak wyjaśniła się zagadka, dlaczego przez całe pół roku moje sprawozdania z konferencji tak istotnie różniły się od wypracowań koleżeństwa. Oczywiście dziennikarzy zagranicznych ta cenzura nie obowiązywała. Sprawozdawali całą prawdę. Urbanowi w zupełności wystarczało, że łapkami dziennikarzy polskich doszczętnie ogłupi społeczeństwo, a jeszcze może państwowa cenzura dołoży swoje. I rzeczywiście, parę razy w godzinach popołudniowych redakcyjny teleks wystukiwał notę specjalną urzędu z ulicy Mysiej, że taki to, a taki akapit z występu Urbana należy bezwzględnie wykreślić i wyrzucić do kosza.

Pamiętna z tego właśnie względu była konferencja specjalna, bo z udziałem Siergieja Gierasimowa, niegdyś korespondenta radzieckich mass mediów w Ameryce, a w latach osiemdziesiątych rzecznika prasowego sowieckiego MSZ i faktycznego rzecznika Gorbaczowa. Na samym początku urzędowania Michaiła Siergiejewicza na Kremlu Gierasimow przyjechał do Warszawy i licznie zebranych dziennikarzom plótł z Urbanem na przemian. Ale prezentował się dużo lepiej, bo na pytania zadawane po angielsku, nie czekając na tłumacza, odpowiadał prawie bezbłędną angielszczyzną. Od razu było widać, że przyjechał pan!

Konferencja niemożliwie przeciągnęła się w czasie, ponieważ aktorów było dwóch i dopiero po jakichś czterech godzinach spędzono nas do gabinetu. Pomyślałem sobie, że tym razem Urban nie odważy się odgrywać szopki i skończy na wręczeniu nam odbitek przemówień. Ale nie, wszystko odbyło się zgodnie z utartym zwyczajem, a towarzysz Gierasimow zachowywał się identycznie jak

nasz rzecznik: „Eto nada, a etowo niezia!” Wszyscy komuniści jednakowo manipulują! Należy nawet założyć, że to Urban korzystał z radzieckich wzorów, a nie odwrotnie. W każdym razie towarzysz Gierasimow zapisał się nam wszystkim w pamięci jako majster wielkiego oszustwa.



Z podanego wyżej powodu uczestnictwo w konferencjach Urbana było obowiązkiem przykrym i uwłaczającym godności. Ale obowiązkiem! Zresztą poniekąd dobrowolnym. Nikt nam przecież nie kazał pracować w kłamliwej propagandzie Polski Ludowej, w dodatku w stanie wojennym. Mogliśmy w każdej chwili porzucić posadki w „naziemnych” gazetach, w radiu i telewizji i udzielać się w drugim obiegu. Osobiście traktowałem ten obowiązek jako całkiem zasłużoną karę. Trudno, musiałem się zgodzić na udział w farsie z Urbanem w roli głównej, ale za tę cenę mogłem robić także co innego, pisać na inne tematy i tak, jak chciałem.

To jest w ogóle niełatwy problem. W roku 82 mogłem wybrać albo opozycję i, całkiem niewykluczone, zmianę oficjalnego zawodu (z pisania dla podziemia raczej bym się nie utrzymał, a już na pewno nie na takim poziomie życia, do jakiego byłem przyzwyczajony) albo mogłem robić to, co przez dziesięć wcześniejszych lat, pocieszając się tylko, że nie dam się ześwinić. Od początku nie miałem złudzeń, że będąc oficjalnym dziennikarzem, przespaceruję się przez to dziesięciolecie (nikt

nie miał pojęcia, jak długo to wszystko potrwa) nie brudząc rączek. Do dziś paru dawnych kolegów-dziennikarzy nie wita się ze mną, aby się właśnie nie pobrudzić. To jest kwestia wyboru. Skłamałbym twierdząc, że teraz wstydę się tej dekady. Bo się nie wstydę i niczego nie żałuję. Nie odczyłem się pisać, co niektórym „niezłomnym” niestety się przydarzyło.

Na początku stanu wojennego Passent powiedział w wywiadzie dla „Tu i Teraz”, że wierzy wyłącznie w maszynę do pisania. Miał rację! Pisał „swoje”. Mnie to, co robił, nie w całości odpowiadało, ale podobało się więcej, niż nie podobało. To tylko przykład ilustrujący problem. Było dziennikarstwo „Polityki” i „dziennikarstwo” DTV, „Rzeczywistości” i „Trybuny Ludu”. Pisałem dla „Polityki” i paru próbujących dorównać jej tytułów. Opowieść o konferencjach Urbana jest dobrym pretekstem do takiego wyznania, bo dziennikarstwo nie jest zawodem dla prawiczków i dlatego teraz jest takie słabe, bo gdzie nie spojrzeć - sami cnotliwi.

Pocieszam się, że właściwie rozpoznałem siły Urbana i wiedziałem, że nie ma sensu bić się z czołgiem. Paru kolegów-idealistów próbowało wdać się z nim w bójkę i niekiedy zadawali pytania „nieuzgodnione”, więc kąśliwe. Urban wtedy się wściekał, kpił z pytającego, a cały epizod, oczywiście, ze stenogramu konferencji wykreślał, nie pozostał więc nawet ślad po tych nierównych potyczkach.

Sytuacja zmieniała się dopiero w czasach „okrągłego stołu”, kiedy na konferencje dopuszczeni zostali chłopcy z podziemia, którzy parę miesięcy później założyli „Gazetę Wyborczą”. Ale Urban był już wtedy w defensywie i ja przynajmniej nie odczuwałem potrzeby wykorzystania możliwości dokopania mu żadna satysfakcja. Zresztą bardzo szybko wycofał się do telewizji, gdzie na chwilę Rakowski zrobił go prezesem. Na wtorkowych konferencjach zastąpił go Zbynio Rykowski i temu z czystym sumieniem dawałem szkołę, dodatkowo lekceważąc ciągle obowiązujący zwyczaj cenzurowania stenogramu.

Zbynio był po prostu zabawną karykaturą Urbana, zbiorem jego cech najgorszych, z pominięciem najlepszych, czyli wrodzonej inteligencji i perfidnego poczucia humoru. Rykowski odpowiadał na pytania z miną i tonem dyktatora, no i właśnie on pogrzebał te słynne konferencje. I bardzo dobrze.

Jesienią roku 89, w innym miejscu, zaczęły się cotygodniowe konferencje Małgosi Niezabitowskiej. Nie było już dawnych emocji. Dominowała piekielna nuda, więc przestałem przychodzić. Żaden z moich szefów zresztą ani myślał egzekwować ode mnie tego obowiązku.

„ŚCIEK”

(czyli Klub Filmowca, Trębacka na tyłach kina „Kultura”)

Nazwę wymyślił Janusz Głowacki, czyli „Głowa”, gdy niespodziewanie za wczesnego Gierka Oli Płazowej udało się otworzyć całkiem wyjątkowy lokal rozrywkowy dla pogardzanych programowo przez władzę artystów. „Ściek” zaczynał działalność wieczorem, za to kończył rano, z chwilą wypłynięcia na powierzchnię ostatniego gościa, zupełnie jakbyśmy byli w jakimś Paryżu, w pobliżu Hal.

Płazowa wygospodarowała część korytarza w niewielkim biurze powołanego właśnie do życia Stowarzyszenia Filmowców Polskich i piwnicę, czyli „Ściek” właściwy. Adres od początku był bardzo dobry, bo na placu pod zbudowanym przez ministerstwo kultury blokiem mieszkalnym bardzo niewiele lat wcześniej mieścił się barak legendarnej „Stodoły”, druga jej siedziba po przegonieniu przez magistrat z ulicy Emilii Plater. Za Gomułki „Stodołę” przegnano dalej i dzielni murarze zbudowali całkiem ładny trzypiętrowy dom. Od pierwszego piętra wwyż były normalne mieszkania, ale na parterze, za to poniżej poziomu ulicy Trębackiej, projektant budynku wymyślił pawilon wystawowy.

Zanim cokolwiek zdołano wystawić, wpakowali się tam z trzema szafami i dwoma kanapami filmowcy. Jerzy Kawalerowicz został prezesem nowo powstałego stowarzyszenia, a Janek Wilczek, najbliższy przyjaciel mojego Ojca - dyrektorem generalnym. Wilczek był pierwszym znanym mi komunistą, który nie ukrywał wcale, że cały ustrój szczęśliwości ma w dupie i to - zaznaczał - głęboko. Był to piękny, szczupły i bardzo wysoki mężczyzna o lordowskich manierach i podobnej prezencji. Karierę zrobił niebywałą, bo jako jednego z niewielu piśmiennych w swoim gronie komuniści, jeszcze w latach czterdziestych, mianowali dyrektorem strategicznego Zjednoczenia Przemysłu Ziemiaczanego. Strategicznego z takiej przyczyny, że z kartofli na skalę przemysłową wytrącało się spirytus. I właśnie towarzysz Wilczek był tym dobroczyńcą narodu w pierwszych latach Polski Ludowej, który zabezpieczał dostawy alkoholu do sklepów i lokali restauracyjnych.

O produkcji alkoholi Janek nie miał zielonego pojęcia, za to konsumentem wódeczki był namiętym, więc dbał o powierzone mu gospodarstwo jak o swoje. W wolnym czasie oddawał się ulubionemu hobby, czyli pisaniu powieści. Ponieważ po głowie kołatały mu się bez przerwy zadania Planu Odbudowy, a później Planu Sześcioletniego, o tym właśnie postanowił napisać powieść. Akurat w Moskwie towarzysz Żdanow ogłosił, że realizm socjalistyczny jest jedynym słusznym prądem literackim i Janek Wilczek podporządkował się temu przykazaniu. Ukończonemu dziełu dał tytuł „Numer 16 produkuje” i przeszedł do historii literatury polskiej jako autor wzorcowej powieści socrealistycznej. Spadł nań deszcz nagród, z państwową od Bieruta na czele, co ważniejsze jednak - jako godny następcy Sienkiewicza i Żeromskiego mianowany został wiceministrem kultury pod Sokorskim i tym samym wszedł do nomenklatury. Z dobrodziejstwa tego korzystał do końca życia, bo po pierwsze - zmieniając potem posady mógł być już tylko dyrektorem, a po drugie - zmieniając żony mógł liczyć na kolejne mieszkanie z puli URM.

Żył więc sobie wesoło i beztrąsko, właśnie tuż przed emeryturą został dyrektorem generalnym filmowców. Była to posada zupełnie fantastyczna, bo nie miał nic a nic do roboty, poza paroma wyjazdami w roku na zagraniczne festiwale filmowe. W pozostałe dni siedział w biurze i pędził do

roboty sprzątaczk. Pomysł Płazowej, żeby przy stowarzyszeniu uruchomić niewielki lokalik klubowy, bardzo się Jankowi spodobał, bo zrozumiał, że będzie się mógł napić w miejscu pracy. Uruchomił więc środki finansowe, załatwił w ministerstwie (gdzie go jeszcze wszyscy pamiętali) brygadę remontową i tak powstał „Ściek”.

Zaraz filmowcy zaczęli się schodzić jak pszczoły do miodu i życie kulturalne zakwitło. Lokal był nieduży i ekskluzywny w tym sensie, że Ola Płazowa zakazała wpuszczać ludzi z ulicy. Wstęp wolny mieli artyści i ich znajomi, czyli ładnych parę tysięcy ludzi. Skutkiem tego wieczorem w „Ścieku” panował ścisk jak w autobusie w godzinach szczytu, ale było miło, bo nawet bójki odbywały się we własnym gronie. Nadmiar wódki sprzyja niestety chuligaństwu i już po paru miesiącach prosperowania interesu zaczęli interweniować u wszystkich świętych sąsiedzi z góry. Nie podobało im się, a to, że głośno do rana, a to, że na ulicy pod domem pijacy wyzywają się najgorszymi słowami, a to wreszcie, że sikają i wymiotują na klatce schodowej (wynalazek domofonu do Polski jeszcze nie dotarł). Wszystkie te skargi, niestety, miały pokrycie w faktach i Janek Wilczek postanowił „Ściek” zamknąć, chociaż stowarzyszenie miało z tego procederu forsy jak lodu. I tak 1 lipca '73 odbyła się ostatnia „noc klubowa” w licznej obsadzie personalnej i nawet ze specjalnie zamówionym wieńcem żałobnym, wokół którego paliły się nagrobkowe znicze. Ola przeniosła po wakacjach interes na Foksal, a na Trębackiej życie towarzyskie zamarło na całe cztery lata. Ale kiedy Janek Wilczek przeszedł na zasłużoną emeryturę, nowy zarząd SFP zażądał za forsy i zaczął rozglądać się za agentem. Wtedy pojawił się pan Królak, szef pobliskich „Kamieniołomów” i reaktywował „Ściek” w tradycyjnym wystroju. I znowu było miło, i znowu sąsiedzi z góry zaczęli robić piekło, ale już bezskutecznie.

W „Ścieku” zabawił się po raz ostatni wspaniały aktor Zdzisiek Maklakiewicz. W środku nocy wyszedł do domu, ale nie uszedł daleko, bo mu się zrobiło słabo i przysiadł na parapecie kina „Kultura”. Nikt nie przypuszczał, że cierpi na śpiączkę cukrzycową i kiedy rankiem znaleźli go przechodnie, nie dał się obudzić. Niewykluczone, że Zdziśkowi ktoś pomógł zejść z tego padołu, bo potem różni ludzie opowiadali, że znaleziono go pobitego. Jeśli nawet tak było, sprawców nie znaleziono, a milicja śledztwo umorzyła.

W „Ścieku” miały miejsce różne zdarzenia. Kiedyś zagadnąłem przy barze patriotyczno-narodowego reżysera Porębę, pytając dość obcesowo, dlaczego jest antysemitą?

- Ja? - szczerze zdziwił się Poręba, przyszedł twórca Stowarzyszenia Patriotycznego „Grunwald” - Ja nigdy! Moja matka w Wilnie w czasie okupacji trzech Żydów ukrywała...

Akurat przechodził tuż obok reżyser Tomek Zygałdo i idealnie wszedł Porębie w słowo:

- ...na Gestapo!

Narodowy reżyser bardzo się zdenerwował, groził sądem koleżeńskim i poważnymi konsekwencjami, ale Zygałdo tego już nie słyszał, bo oddał się ulubionemu nałogowi.

Jakiś czas później zachodząc nocną porą do „Ścieku” stałem się świadkiem uroczystości dość upiornej. Ogłoszono właśnie zabawę, bo parę godzin wcześniej telewizja poinformowała o katastrofie samolotu bułgarskich linii lotniczych z polskim wiceministrem kultury Januszem Wilhelmim na pokładzie.

Wilhelmiego nie znałem ani kiedy dowodził „Nową Kulturą”, ani kiedy w „Kulturze” dość obcesowo krzewił wartości socjalizmu, ani z Telewizji, gdzie stał się pierwszym współnikiem od mokrej roboty Macieja Szczepańskiego, ani wreszcie kiedy objął dowództwo nad filmowcami i nie szczędził starań, żeby kinomani znieawidzili Wajdę, a pokochali Porębę. Podobno był to piekielnie inteligentny cynik, mający słabość do młodych zdolnych: Głowy, Mętraka, Osiatyńskiego. Filmowcy nienawidzili go szczerze, więc na wieść o jego tragicznej śmierci zapanowała powszechna radość. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem... Pijani kreatorzy masowej wyobraźni rzucali się sobie w ramiona ze łzami wzruszenia w oczach, strzelali korkami od szampana i śpiewali „Sto lat”. To było doprawdy upierne, a co gorsza, jakoś nie mogłem wykrzesać w sobie uczucia zgorszenia. Odwrotnie - ta spontaniczna radość wielu znanych, utalentowanych i inteligentnych osób udzieliła mi się i bez wyrzutów sumienia świętowaliśmy do rana. Kim rzeczywiście był Wilhelmi i co robił z ludźmi, że z jego śmierci, tragicznej przecież, tak się cieszą?

„Ściek” zawsze rządził się swoimi prawami. Kiedy ktoś niespodziewanie przyprowadził Wałęsę (a był to całkiem młody Wałęsa, w brudnym golfie i jeszcze słabo odróżniający Biuro Polityczne od meldunkowego) cała klientela wstała i odśpiewała na jego cześć hymn narodowy. Wałęsa wrócił do Gdańska organizować Komisję Krajową „Solidarności”, a codziennie przed północą zaczynali się schodzić koledzy z dziennika telewizyjnego, prosto z pracy. Był między nimi Samitowski, który dał się zapamiętać jako autor antysolidarnościowych reportaży i bohater wielkiej awantury w stowarzyszeniu dziennikarzy. Pysk jego znany był od dawna, ale dopiero w tych dniach zaczął się źle kojarzyć. I tak się jakoś działo, że co Samitowski usiadł przy barze, zaraz ktoś skopywał go ze stołka i walił w łeb. Samitowski miał nawet zamiar bronić się przed agresorem, ale natychmiast wtrącali się kibice z boku i dokładali mu od siebie. Wreszcie ktoś litościwy wyprowadzał go na świeże powietrze i wsadzał do taksówki. Nazajutrz Samitowski znowu się pojawiał, jakby celowo przyłaził po należną mu porcję razów i przekleństw. Tak się porobiło, że siedząc tyłem do sali, przy niskim stoliku i słysząc hałas za plecami stały klient „Ścieku” nawet się nie odwracał, tylko pytał towarzystwa, czy to znowu Samitowskiego leją?

Aż przebrała się miarka. Wieczór był sobotni, w „Ścieku” tłoczno, ale przytulnie. Wszedł Samitowski i usiadł przy barze. Wtedy z rykiem, podobnym do dźwięku odrzutowca, poderwał się spod ściany w samym końcu piwnicy reżyser filmowy Filip Bajon, kręcąc prawą ręką jak śmigłem dobiegł do baru i trafił Samitowskiego w szczękę, idealnie na punkt, a ten zamoczony padł na stolik najbliższej siedzących, tłukąc szkło i rozlewając alkohol. Tego kierownikowi Królakowi było za wiele: wyrzucił z lokalu nie Bajona, ale Samitowskiego, zapowiadając surowo szatniarzowi, że jeżeli jeszcze raz wpuści tego typa, to wylecą obaj. W „Ścieku” zapanował ład i porządek. Tak nam mijał rok 1981.

Jesienią zaczęły się poważne problemy z wódką, nawet w knajpach jej brakowało. „Spatif” i „Ściek” w porozumieniu wpadły na bardzo oryginalny pomysł. Oto w Ujazdowskich przyjmowano zamówienia w godzinach 16-18 i 20-22, a na Trębackiej między 18-20 i po 22. Tak więc, żeby się bawić z kielichem, trzeba było zmieniać lokale, co nie było specjalnie uciążliwe, bo obie knajpy usytuowane były na szlaku, w linii prostej, a autobusy kursowały dość często. Po kwadransie przerwy na dojazd można się było znowu napić. Stali bywalcy ze zrozumieniem poddawali się tym ograniczeniom, bo był to czas wielkiego, zbiorowego pijaństwa, jakby na zagładę.

Pierwszym, który zwrócił mi na to uwagę, był Lars Persson, korespondent szwedzkiej popołudniówki „Expressen”. Lubił się też napić, ale przede wszystkim był akuratnym Szwedem i jakoś nie mieściło mu

się w głowie, że kiedy w państwie zaczyna wrzeć jak w kraterze wulkanu, grupa jego co świątlejszych obywateli zamiast troskać się i przeciwdziałać zbliżającej się katastrofie, oddaje się mało skomplikowanym rozrywkom. Persson był tym człowiekiem, który wbiegł kiedyś do „Spatifu” z elektryzującą, jak mu się zdawało, wiadomością o spotkaniu wojskowego, elektryka i plebana, przesądzającym o losach kraju. Tymczasem nikogo ta informacja nie poruszyła. Naprawdę atmosfera była taka, że nawet w cud nikt nie spieszył się uwierzyć. Może gdzieś na „wyższych piętrach”, w rządzie albo w kręgu doradców Wałęsy ktoś przejmował się tym, co będzie. Ludzie, z jakimi ja miałem do czynienia, nie wierzyli w nic, ani w upadek komunistycznego systemu, ani w zbrojną interwencję „zaprzyżnionych wojsk”.

12 grudnia 81, w wolną sobotę, Persson zaprosił mnie przed południem na kawę i zaproponował współpracę w jakimś większym przedsięwzięciu dziennikarskim dla jego gazety. Miało to być obszerne kalendarium wydarzeń, które powinno wstrząsnąć skandynawskimi socjalistami. Szwedzi bali się jak ognia sowieckiej interwencji na swój uporządkowany kraj i udokumentowane informacje z Polski miały poruszyć ich sumienia. Persson usiłował przekonać mnie, że wspólny memoriał dotrze do rządu Palmego, który ostro zaprotestuje przeciw temu, co się w Polsce wyrabia i termin „polskiej egzekucji” zostanie przesunięty.

Całkiem być może - pomyślałem - tylko że mnie to wszystko nic a nic nie obchodzi, nie mam żadnego wpływu na sytuację w kraju i w ogóle nie mam takich ambicji. Jestem obserwatorem z boku. Coś takiego mniej więcej wydukałem Szwedowi, który nie krył swojego rozczarowania. Przysłuchujący się tej rozmowie kolega Zawisza uśmiechał się ironicznie, a kiedy Persson wreszcie sobie poszedł, orzekł, że to zapewne prowokacja międzynarodowego ubectwa. Z Perssonem mieliśmy się spotkać jeszcze tego samego dnia, właśnie w „Ścieku”, i kolega Z. przestrzegał przed szczerością wypowiedzi. W knajpie zebrał się straszny tłum samych zdesperowanych ludzi. Wszyscy mieli po uszy polityki i z utęsknieniem czekali na wyrok. Już niech „coś” się stanie, bo tak dalej być nie może...

Nie potrafię opisać szczególnego nastroju tego wieczoru. Późno, ale grubo przed północą pojawił się Wowo Bielicki i podekscytowany zaczął opowiadać o swoim spotkaniu z czołgiem. Został wyśmiany. Kiedy wyszedłem na ulicę, było zimno, ale ładnie, bo biało od śniegu. Podjechała taksówka i odwiozła mnie do domu. Żadnego czołgu nie widziałem. Tak dobiegł końca pewien okres w historii mojego kraju i kariera pewnego szczególnego nocnego lokalu w Warszawie. Następnego dnia- „Ściek” został zamknięty, po paru miesiącach na nowo otwarty, ale zaczęli tam bywać inni niż do tej pory ludzie. Z czasem stał się ulubionym miejscem spotkań zniewieściałych tancerzy z pobliskiego Teatru Wielkiego i nie było już po co tam przychodzić.

DOM PRASY (Aleje Jerozolimskie 125/127)

To jest dobrze znany warszawski adres, bo od zawsze mieści się tam redakcja najpopularniejszej stołecznej gazety - „Expressu Wieczornego”. Z tym tylko, że długie lata był to budynek przedwojennej drukarni w podwórzu, aż od frontu ulicy wybudowany został nowoczesny gmach i tam przeniosła się redakcja „EW” i „Przegląd Sportowy” też. W obu tych pismach w różnym czasie chciałem pracować i nigdy się mi to nie udało.

Pewnego jesienno dnia roku 1976, na zakończenie surowego przesłuchania w KC przez towarzyszkę Zwolińską usłyszałem, że mam się zgłosić do dyrektora B. właśnie w gmachu „Expressu”, a on skieruje mnie do pracy. Pojechałem tramwajem pod wskazany adres. Dyrektor B. okazał się najnormalniejszym człowiekiem pod słońcem, więc bez robienia zbędnych min powiedział mi, jak sprawy stoją. Nie stały otóż dobrze, bo chociaż kierował wieloma pismami z interesującymi się mną (i mnie interesującymi) „Kulisami” na czele, otrzymał od towarzyszy przykaz niezatrudniania ob. Atlasa w żadnym piśmie dobrym, tylko - właśnie w złym, za karę i w celach wychowawczych. Takich pism dyrektor B. posiadał dwa i dał mi prawo wyboru. Mogłem albo udać się do Płocka, do tygodnika Petrochemii i tam cztery dni w tygodniu nocować w pokoju gościnnym, albo wybrać się do starego gmachu „Expressu”, w podwórzu i podjąć pracę w tygodniku Związku Zawodowego Pracowników Rolnych CRZZ - „Robotniku Rolnym”. Oferty nie były interesujące, ale dyrektor B. życzliwie radził mi, abym ich nie lekceważył, bo „Biały Dom” mnie nie lubi i jeżeli nie wybiorę teraz, w ogóle nie dostanę żadnej pracy i przyszłość czeka mnie trudna.



Wybrałem „Robotnika Rolnego” dla wygody, żeby nie dojeżdżać do Płocka. Naiwnie myślałem sobie, że to nawet lepiej. Redakcja malutka, całkiem na uboczu, nikt tego nie czyta, nie będą się mnie czepiać, a ja zyskam dużo wolnego czasu, żeby „na boku” robić, co tylko zechcę. Byłem już stałym współpracownikiem „Polityki” i sądziłem, że mając zapewniony jako taki byt, stanę przed szansą robienia naprawdę dobrego i potrzebnego dziennikarstwa.

Wyluzowany opuściłem gabinet życzliwego dyrektora B. i przez podwórko pobiegłem do „Robotnika”. Odnalazłem drzwi z wizytówką redaktora naczelnego i przedstawiłem się sekretarce. Miła pani sięgnęła po słuchawkę, zreferowała swojemu szefowi, co to ma za interesanta, po czym słuchawkę odłożyła i poprosiła, żebym poczekał. Powoli zaczęło schodzić ze mnie powietrze, bo nie znany

naczelnym jakby o mnie zapomniał. W sekretariacie dzwonił telefon, wchodził jakiś człowiek, znikali w gabinecie szefa, a wychodząc przyglądali mi się jakoś tak nachalnie. Trwało to ze trzy kwadransy, aż wreszcie wyszedł z gabinetu jakiś kurdupeł i warknął w moim kierunku. Za zamkniętymi drzwiami podał mi rękę, ale jakoś tak dziwnie, z nie ukrywanym obrzydzeniem. Całkiem innego spodziewałem się powitania.

Kurdupeł nazywał się Benedykt Lewandowski, na oko miał jakieś pięćdziesiąt lat, a maniery - właśnie robotnika rolnego.

Obcesowo zapytał, niby dlaczego aż w KC decydują, że ja mam u niego pracować? Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie mam pojęcia i wcale tym pomysłem nie jestem zachwycony, ale skoro tak się stało, to chyba obaj powinniśmy zrobić wszystko, żeby do tej decyzji odnieść się spokojnie. Musiało minąć trochę czasu, zanim zrozumiałem, że moje nagłe i niespodziewane przyjscie do „Robotnika Rolnego” wprawiło redaktora Lewandowskiego w popłoch. Już kilkanaście lat był naczelnym pisemka i rządził nim jak prywatnym folwarkiem. On przyjmował ludzi do pracy i on im wyznaczał zadania. Dobrze ukryty za fasadą gmachu „Expressu” miał święte życie. Aż tu nagle ktoś z towarzyszy sobie o nim przypomniał i rzucił mu jakieś dwudziestoparolatka. Po co? Może to wtyka, może przychodzi, żeby Lewandowskiego rozpracować... Jakoś tak musiał sobie kombinować naczelnym, równie jak ja zaskoczony i dlatego tak gwałtownie naradzał się z podwładnymi, kiedy ja odsiadywałem kwadransy w sekretariacie.

Oczywiście - popełniłem błąd. Powinienem być odgrywać przed Lewandowskim kumpla tych różnych ważniaków z KC. Naczelnym bałby się mnie i musiał szanować. Ale ja byłem głupi i naprawdę zależało mi wyłącznie na tym, żeby móc spokojnie pracować, pisać reportaże i pasjonować się tym, co ciekawe. Lewandowski był peerelowskim cwaniakiem, więc szybko zorientował się, że ma przed sobą outsidera. Zrozumiał, że ja nie jestem groźny, a z KC podesłał mi któregoś z towarzyszy, żeby naczelnemu podłożyć świnię. Prawdopodobnie nie umiem trzymać pióra w ręku (Lewandowski nie czytał gazet), coś palnę w jakimś tekście, wylecę na zbitą mordę, ale naczelnym za mną - za brak czujności. Dlatego od pierwszego dnia Lewandowski traktował mnie jak śmiertelnego wroga.

W „Robotniku Rolnym” w ogromnej większości pracowali ludzie paskudni, jakby na tym jednym pięterku oficyny w Alejach Jerozolimskich przeprowadzano szczególny eksperyment selekcji negatywnej. Byli kompletnie pozbawieni jakichkolwiek dziennikarskich umiejętności, jacyś wcześniejsi korespondenci pegeerowscy, długoletni praktykanci w miesięczniku „Ser-Jaja-Drób”, za wysługę lat skierowani do tygodnika. Każdy numer pisma otwierał wstępniak redaktora naczelnego, czyli komunały przepisane żywcem z kolejnej uchwały Zarządu Głównego związku zawodowego fernali, w którym to zarządzie Lewandowski jako naczelnym miał miejsce z rozdzielnika. Pieniądze zarabiał w redakcji wyłącznie naczelnym, całej reszcie miały wystarczać bardzo przeciętne pensje. Swoją personel Lewandowski traktował niczym chłopów pańszczyźnianych, swoich zastępców wcale nie lepiej. Tylko on reprezentował redakcję na zewnątrz, zdaje się, że trafił nawet do władz stowarzyszenia dziennikarzy. Całą energię poświęcał na utrzymanie stołka i dlatego siedział w redakcji do późnego popołudnia, wyskakując niekiedy na rolnicze narady, ale po powrocie latał po całym piętrze, żeby sprawdzić, czy firma funkcjonuje. Wyznaczył też godziny pracy, od wpół do dziewiątej rano do szesnastej. To było niezgodne z układem zbiorowym, ale trzeba było dopiero mnie, żeby to ludziom w redakcji „Robotnika” uświadomić.

Szybko zrozumiałem, że ta nowa praca będzie mało przyjemna, ale nie miałem zamiaru poddawać się bez walki. Dlatego od pierwszego dnia nie pojawiałem się w redakcji wcześniej niż o jedenastej - dla zasady. Lewandowski udawał, że tego nie widzi, ale za moim przykładem poszli inni, więc każdy dzień pracy zaczynał się od jego histerycznych wrzasków. Co ciekawsze - krzyczał nie na mnie (bo w ogóle starał się mnie nie zauważać), tylko na innych. Ja też go nie zauważałem i na własny użytek wprowadziłem taki zwyczaj, że po zostawieniu torby w pokoju, znikalem. Przechodziłem do głównego gmachu i urzędowałem albo w „Kulisach”, albo w bufecie. Dużo pisałem wtedy w „Kulisach” i ludzie z zewnątrz sądzili, że tam pracuję.

Pewnego dnia Lewandowski postanowił pokazać mi, jaki jest ważny i zabrał ze sobą (jedyne w firmie miał własnego dużego fiata) na spotkanie w pegeerze Baniocha. Po drodze nie zamieniliśmy ani jednego zdania, a na miejscu, odbierając hołdy kłaniającego się w pas dyrektora, powiedział głośno, specjalnie, żebym usłyszał: „bagażnik jest otwarty!”

Odbyło się jakieś zebranie aktywu, Lewandowski referował ustalenia Zarządu Głównego, a następnie zaproszono nas na popijawę w gabinecie dyrektora. On nie pił i ja nie piłem, co go bardzo zdenerwowało. W końcu, już tak pod wieczór, mieliśmy wracać do Warszawy.

Wyszedłem pierwszy na dziedziniec przed pałacyk dyrekcji i zobaczyłem, jak dwóch umyślnych wstawia do bagażnika fiata skrzynki z owocami, jakieś wędliny. Szef pozdrowił odprowadzających gestem ekonoma i ruszyliśmy do Warszawy. Wtedy to zdobył się na wyznanie: wie, że go szpieguję, że nasłali mnie jego wrogowie, ale on nie jest głupi i nie z takimi jak ja sobie radził. O dziwo, od tej eskapady jakby pogodził się z moją obecnością w redakcji i nie czepiał się. Prawdopodobnie czekał, aż któryś z towarzyszy zapyta go o te pegeerowskie łapówki, ale ja naprawdę żadnego z nich nie znałem i nie miałem komu o tym opowiedzieć.

Za tę dyskrekcję zostałem wyróżniony i miałem obsługiwać którąś z kolejnych narad Zarządu Głównego. Wbrew pozorom interesowało mnie to bardzo, gdyż szefem zarządu był niejaki towarzysz Hasiak, wiele lat wcześniej szef ZMS, wyrzucony z funkcji za bezgraniczną głupotę i „rzucony” na związek zawodowy. Jeszcze w „Sztandarze Młodych” starsi koledzy opowiadali mi o wyskokach tego zeteemsowca, więc ciekaw byłem bezpośredniego spotkania. Zobaczyłem klasycznego debila, nie umiejącego powiedzieć ani jednego zdania rozwiniętego w języku polskim i tylko pokrzykującego „weźmy się towarzysze do roboty!”. Polska Ludowa późnego Gierka to był właśnie folwark takich Hasiaków.

W „Robotniku Rolnym” miałem dużo wolnego czasu, więc kiedyś, w godzinach pracy, udałem się do kina, żeby popatrzeć na osobistą narzeczoną, Angielkę zresztą, występującą w bardzo udanych „Barwach ochronnych” Krzysztofa Zanussiego. Przed filmem, jak to było w zwyczaju, wyświetlano kronikę. Zainteresował mnie jeden temat. Byłem blisko spraw rolnictwa, więc podobnie jak reporterzy PKF oburzyłem się wielkim marnotrawstwem w okolicach Gołdapi. Za ciężką forszę zbudowano tam wzorcową oborę, ale błąd budowlanych sprawił, że krowy zamiast dawać mleko, gniły w szambie po szyje.

Akurat przemyślałem, co by nowego napisać dla „Polityki” i postanowiłem zająć się tą oborą. Urban, wówczas kierownik działu krajowego „Polityki”, bez problemów wystawił mi delegację. Pojechałem, żeby zobaczyć prawdziwy koszmar! Na budowę obory przeznaczono wielką forszę, ale towarzysze z Gołdapi wpadli na pomysł, żeby z tej forsy pobudować „na boku” jeszcze parę domków,

kosztem kanalizacji w oborze. W drodze powrotnej zajechałem do Białegostoku i w wojewódzkiej centrali PGR surowo odpytałem na ten temat jakiegoś przewodniczącego, po czym w poczuciu dobrze spełnionego dziennikarskiego obowiązku wróciłem do domu i zabrałem się do pisania.



Skończyłem tak jakoś nad ranem i nagle wpadł mi do głowy pomysł. Mam wielki reportaż dla „Polityki”, a przecież to także temat dla „Robotnika”! Konkurencji pomiędzy pismami nie ma żadnej, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żeby skróconą wersję afery dać do druku w moim zakładzie pracy. Rano zostawiłem duży tekst Urbanowi i dumny z siebie pojechałem w Jerozolimskie. Od razu zastukałem do naczelnego i trochę drwiąco rzuciłem mu cztery kartki na biurko, dodając, że nie zaszkodzi „Robotnikowi” publikacja o prawdziwych problemach PGR. Lewandowski zbladł, zamknął się w pokoju, a po jakichś dwóch godzinach wezwał mnie przez sekretarkę do siebie. Minę miał niezwykle głupią. Zaczął od tego, że piszę niechlujnie, bo popełniam tzw. czeskie błędy niekiedy przedstawiając litery w słowach. Oczywiście, nie powiedziałem mu, że to na skutek zmęczenia, bo pisałem przed świtem. Generalnie - kontynuował - problem jest, ale to co opisane, trzeba sprawdzić. I schował tekst do szuflady.

Tymczasem, zupełnie od Lewandowskiego niezależnie, wybuchła afera. Rozmawiając w Białymstoku z urzędnikiem PGR przedstawiłem się, zgodnie z prawdą, jako wysłannik „Polityki”. Faceta zmroziło i za namową kumpli natychmiast wybrał się do centrali, do Warszawy, żeby w Zarządzie Głównym z Hasiakiem i jego ludźmi naradzić się nad linią obrony: w końcu bezspornym faktem były i domki w Gołdapi dla kadry pegeerowców, i gnijąca obora. Słuchając tego wszystkiego Lewandowski nagle się

ożywił i zwierzył kumplom, że właśnie jego człowiek przyniósł tekst do gazety na ten sam temat i „Robotnik Rolny” skutecznie da odpór wrażemu autorowi „Polityki”. Przypuszczam, że Lewandowski miał jeden z lepszych dni w całej swojej karierze redaktorskiej. Udowadniał przecież towarzyszom z Zarządu Głównego, jak ważną rolę spełnia jego pismo.

Następnego dnia rano obudził mnie telefon, sekretarka wzywała mnie w te pędy do redakcji, już wysłała po mnie redakcyjny samochód, powiedziała, że to wyróżnienie, bo jak sięga pamięcią, nikomu naczelny nie okazywał takich względów.

Kiedy wszedłem do gabinetu, Lewandowski szalenie podniecony mozolnie „pracował” nad moim tekstem. Kreślił całe akapity, dopisywał własne na marginesie. Oświadczył mi, że ten tekst jest potrzebny, tylko inaczej powinienem rozłożyć akcenty: z tą oborą to rzeczywiście skandal, ale nie należy za to winić władz PGR, tylko stróża, który miał obowiązek opieki nad urządzeniami kanalizacyjnymi, a się tym nie zajął i rury się zatkały. Jest winny!

Słyszając te banialuki, odpowiedziałem uprzejmie, że ja tam, w Gołdapi, jednak byłem i sprawdziłem, jak się rzecz ma i kto faktycznie jest winien potwornego marnotrawstwa. Na to Lewandowski, że on wie lepiej, bo się konsultował na wysokim szczeblu władzy. Na to ja, że niech napisze swoją wersję i wydrukujemy obie. Na to on, że stawia mi ultimatum: albo napiszę prawdę, albo tego tekstu nie wydrukuję. Na to ja, że prawdę już napisałem i że nie zmusi mnie do żadnych poprawek, bo to bzdura. No to się kurdupel wściekł, tekst podarł i wrzucił do kosza. Ja też się wściekłem i pochyłając się nad siedzącym za biurkiem Lewandowskim zasyczałem, że i tak opublikuję to, co napisałem. Po czym efektownie trzasnąłem drzwiami.

Z redakcyjnego pokoju zadzwoniłem do Urbana, żeby zapytać, co z tekstem dla „Polityki”. Usłyszałem, że już się drukuje i że za dwa dni tygodnik będzie w kioskach. Z niejaką emocją czekałem na tę bombę z opóźnionym zapłonem. Przecież ani Lewandowskiemu, ani nikomu z tej pegeerowskiej kliki nawet do głowy nie przyszło, że autor z „Polityki” i z „Robotnika Rolnego” to jeden i ten sam człowiek.

Był czwartek, w najbliższym kiosku „Ruchu” kupiłem sobie „Politykę” i w tramwaju przeczytałem z satysfakcją własny reportaż, co prawda odrobinę porżnięty przez cenzurę, ale przecież zachowujący właściwy sens.

W redakcji „Robotnika Rolnego” moi mało ciekawi koledzy omijali mnie bez słowa jak zadżumionego. Sekretarka naczelnego przekazała mi rozkaz natychmiastowego stawienia się na dywanik. Wszedłem do gabinetu i zauważyłem, że Lewandowski jest blady jak ściana i prawdziwie załamany. Od rana urywały się w redakcji telefony i te różne Hasiaki sztorcowały go, ile wlezie: co to za naczelny, który gnidę i kapusia wyhodował na własnej piersi! Został pobity i skompromitowany. I to właśnie ja - co przecież jakoś przeczynał - doprowadziłem do jego klęski. A przecież przez tyle długich lat karmił się i sycił Polską Ludową, i tak doskonale się maskował...

Zapytał tylko, dlaczego mu to zrobiłem? Wtedy dałem wreszcie upust emocjom, które przez całe trzy miesiące musiałem trzymać na wodzy, po czym wyluzowany wyszedłem z gabinetu bardzo mocno trzaskając drzwiami.

Sekretarka wręczyła mi jakiś świstek. To było wymówienie z pracy, ale nie dyscyplinarne, tylko na skutek upływu trzymiesięcznego okresu próbnego. Każdego i za nic po takich trzech miesiącach można było zwolnić z pracy i Lewandowski skorzystał z tego. Wszedłem na podwórko wolny i jednak

zwycięski, tyle że znowu bez pracy. I miałem właśnie zamiar pomartwić się, kiedy spotkałem moją koleżankę Żenię. Zaproponowała mi, żebym coś napisał dla gazety, w której pracowała. Miałem lepszy pomysł. Powiedziałem, żeby dali mi jakiś ryczałt, jakąś stałą forszę.

Jeszcze tego samego dnia zadzwonił nie znany mi redaktor naczelny, żeby poinformować, iż moje warunki mogą być spełnione. W sytuacjach, wydawałoby się, bez wyjścia zawsze znajduje się jakieś rozwiązanie.

PODYPLOMOWE STUDIUM DZIENNIKARSKIE (naprzeciwko pomnika Kopernika)

Tylko raz na własne oczy widziałem prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Z racji pełnionego urzędu jest to, od kiedy pamiętam, człowiek bardzo bliski wszystkim Polakom, bo sto razy słyszałem, że gdyby Ameryka zajęła się Polską, wszystkim nam tutaj byłoby lepiej. Akurat nie miałem wielkiego szczęścia, bo prezydent USA, którego przyszło mi oglądać, nie był człowiekiem specjalnie interesującym i dla zbliżenia polsko-amerykańskiego też nie dołożył należytych starań. Był to mianowicie Richard Nixon, z zawodu adwokat, który najpierw jakoś uchował się przy Eisenhowerze, ale swoje pierwsze wybory prezydenckie przegrał z Kennedy m i dopiero po Johnsonie i kłopotach w Wietnamie mógł zostać gospodarzem Białego Domu. Też zresztą na krótko, bo głupio wpadł na aferze Watergate.

Nixona widziałem z wysokości drugiego piętra budynku naprzeciwko pomnika Kopernika. Prezydent miał przejechać samochodem, dlatego od rana na trasie tej przejażdżki ustawili się tajni funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. Stali więc sobie pod pomnikiem, a ja w gronie paru jeszcze osób siedziałem na parapecie i rzucałem w ich kierunku różne zaczepne teksty. Tajniacy odgrązali się pięściami, ale nie mogli opuścić swoich posterunków i dlatego zabawa była niezła. Po jakiejś godzinie, dobrze po południu, Nixon przejechał, pomachał wiwatującym tłumom i tyle go widzieliśmy.

Tymczasem któryś z ubeków złożył donos i zaczęło się śledztwo. Cała historia rozgrywała się bowiem na wydziale nauk społecznych i dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego.

Już od roku byłem słuchaczem podyplomowego dwuletniego studium dziennikarskiego. Nie chciałem zostać prawnikiem, a studium miało mnie przygotować do nowego zawodu. Nie były to najlepsze lata dla polskiego dziennikarstwa, ale w końcu nikt sobie nie wybiera czasu, w jakim przychodzi mu żyć.

Dziewkanem dziennikarstwa był docent Kazimierz Kąkol, superpropagandzista marcowy. Wszyscy jednak byliśmy o trzy lata starsi i mądrzejsi i skłamałbym teraz, gdybym ogłosił, że Kąkol nauczał nas pisania w mrocznych pałkarskich czasach. Wprost przeciwnie - nastał towarzysz Gierek, Polska Ludowa rosła w siłę i wszyscy razem życzliwie spoglądaliśmy w przyszłość. Tyle tylko, że o uczciwym dziennikarstwie się nie mówiło. Ale generalnie studia przebiegały miło, przedmioty nie nastroczały trudności i było dużo czasu na odwiedzanie gastronomicznych lokali rozrywkowych.

Jeszcze nie było w zwyczaju, żeby się obrażać na władzę, więc zaproszenie do współpracy z fakultetem przyjmowali najlepsi dziennikarze i to był właśnie największy zysk studentów, bo można było nie tylko czytać, ale na własne oczy oglądać Ryśka Kapuścińskiego, a i towarzysz Frelek fatygował się z KC, żeby poprowadzić zajęcia. Mnie jednak najbardziej fascynowała postać Kąkole, którego wyobrażałem sobie jako łobuza z kastetem za pazuchą, a który okazał się jowialnym siwym panem, dowcipnym i lubiącym błyskotliwe kłótnie.

Brakowało mu partnerów do tych kłótni, bo szalenie byliśmy potulni. Opłacało się skończyć wydział, albowiem ten drugi dyplom zapewniał pracę. Po jakichś uzgodnieniach na wysokim szczeblu - gazety, radio i telewizja musiały zatrudniać absolwentów dziennikarstwa. Byliśmy więc w sytuacji komfortowej.

Spośród nawiązanych dzięki studiom dziennikarskim znajomości najbardziej cenilem ludzi z kręgu warszawskiej „Kultury”, bardzo wtedy liczącego się pisma społeczno-literackiego. Najpierw poznałem Mętraka i z nim się zaprzyjaźniłem. To wystarczyło, żeby poznać innych: Głowackiego, Redlińskiego, Osiatyńskiego.



Edek Redliński zaczął być właśnie sławny i to od razu jakby w dwóch wymiarach. Napisał „Konopielkę” - powieść w zupełnie nowej już nawet nie manierze, ale estetyce. Równocześnie ciągle pozostawał ogromnie utalentowanym reporterem i właśnie za słynny reportaż pt. „Jakiś” wyleciał z „Kultury” w wyjątkowo podły sposób. Obrażeni bonzowie białostoccy (bo Edek był z Białegostoku i o tamtejszych układach chętnie pisał) interweniowali w KC i reportera wyrzucono z dnia na dzień, nie wyjaśniając nawet sprawy. Wyrzucono go nie dlatego, że zmyślił w swoim tekście albo oskarżył niewinnych ludzi. Wyrzucony został za to tylko, że ośmielił się napisać przeciw towarzyszom białostockim. To był sygnał, że zmiany na lepsze w Polsce to pusta frazeologia. Tak naprawdę, żelazną ręką rządziła w kraju partyjna mafia.

Rządy te ilustruje prawdziwa anegdota z tych lat... Do redakcji „Kultury” wchodzi koło południa skacowany jak sto nieszczęść zastępca redaktora naczelnego, ale równocześnie bardzo pięknie piszący po polsku literat Bohdan Czeszko. Od drzwi ryczy do sekretarki: „Woody!”. Panienka zrywa się, podbiega do lodówki i wyjmuje dużą butelkę „Mazowszanki”. Twórca „Pokolenia” przechyla głowę i pije z gwinta długo i łapczywie. Z gabinetu wychodzi naczelny Wilhelmi i nie ukrywając obrzydzenia rzecze: „Znowu się schlałeś. I to ty, poseł na Sejm”. Na to Czeszko zaczepnie: „A jak! Jestem posłem i będę...”. Na to Wilhelmi złośliwie dogaduje: „A kto cię ochlapusie wybierze?”. Czeszko: „A choćby i naród!”.

Kiedys, bardzo późno, a właściwie - bardzo wcześnie, bo o czwartej nad ranem odwiedzili mnie w domu niedopici Mętrak z Redlińskim. Odebrałem to jako zaszczyt, ale niestety nie miałem żadnego alkoholu. Redliński przypomniał sobie, że zna blisko metę i oddalił się w noc. Nie było go tak długo, że zasnęliśmy. Koło południa do drzwi zaczął się ktoś dobijać. Zerwałem się półprzytomny, żeby otworzyć. Na klatce schodowej stała sąsiadka i przepraszając za ten raban tłumaczyła, dlaczego zaniepokoiła się, że umarłem. Otóż, od rana, obok drzwi stały dwie butelki wina i estetycznie zapakowane parówki. To Redliński poczekał, aż otworzą pierwsze sklepy o szóstej i kupił co trzeba na śniadanie. Ponieważ nie mógł się dostać do mojego mieszkania, pozostawił dobra pod drzwiami i pojechał sobie do Białegostoku. Był to bowiem nie tylko świetny pisarz, ale i człowiek honoru.

Studia dziennikarskie były kompletnie bez sensu. Doświadczylem tego na własnej skórze, kiedy po pierwszym roku pojawiłem się na egzaminie u docenta Kupisa, a on mi postawił dwóję. Zadał tylko jedno pytanie: ile jest w PRL kiosków „Ruchu”, dzięki którym ludność miast i wsi codziennie rano otrzymuje świeżą prasę? Nie wiedziałem. Na tych przyjemnych studiach od lat już nikt nie dostał oceny niedostatecznej. Wszyscy uczyli się bardzo pilnie, i dopiero ja okazałem się czarną owcą. Po wakacjach poprawiłem tę dwóję, bo już wiedziałem, że kiosków „Ruchu” jest czternaście tysięcy. Ale równocześnie straciłem serce do wydziału dziennikarstwa, nie chciało mi się bywać na zajęciach. Zresztą już po pierwszym roku studium dziennikarskiego miałem etat w „Sztandarze Młodych”. Zostałem reporterem codziennej gazety młodzieżowej. Prawidłowo, bo byłem bardzo młody.

„SZTANDAR MŁODYCH”, (organ Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, Wspólna 61)

Swojej pracy nie traktowałem w kategoriach misji politycznej, aż do chwili, kiedy redaktor naczelny zwołał pospolite ruszenie wszystkich dziennikarzy i obwieścił, że zagraża nam kontrrewolucja! Właśnie odgórnie federowano organizacje młodzieżowe, każdej dodając niby nic nie znaczący przymiotnik: „socjalistyczny”. Chłopi mogli nadal spotykać się w ZMW, a studenci w ZSP, ale już „socjalistycznie”. W tym celu podczas jednego jesiennego weekendu zwołano cztery nadzwyczajne zjazdy organizacji młodzieżowych i - trzymając się historycznych wzorów - wspólny kongres zjednoczeniowy. Wszyscy jako tako piszący „sztandarowcy” wystąpi zostali do obsługi tych imprez, po wspólnym partyjnym przeszkoleniu, żeby dać odpór prowokatorom i wichrzycielom, usiłującym rozbić jedność socjalistycznej młodzieży polskiej. Doszło bowiem do uszu partii, za pośrednictwem esbecji oczywiście, że studenci próbują się zbuntować i wyłamać.

Najzupełniej przypadkowo wysłano mnie jako sprawozdawcę właśnie na zjazd studencki i mogłem nie tylko posłuchać wichrzycielskich wystąpień paru osób, lecz także obejrzeć, jakie metody są najlepsze na zdławienie tego rodzaju buntów. Otóż już wtedy, w 1973 roku, najlepsza była uzbrojona bojówka młodych robotników z huty „Warszawa” i tęgich byczków z AWF. Dla lepszego samopoczucia, z magazynów milicyjnych wydano im gumowe pałki i właśnie tymi pałkami rozgonili pod Filharmonią szykujących się do akcji protestacyjnej studentów matematyki UW. Jak to wyglądało, opowiedział mi osobiście niejaki Ozimek z zarządu stołecznego ZMS, któremu partia przyznała uprawnienia dowódcze w tej prowokatorskiej rozróbie.

Na odprawie z udziałem towarzyszy i milicjantów Ozimek dowiedział się, że ci co protestują przeciwko zjednoczeniu organizacji młodzieżowych pod wspólnym socjalistycznym sztandarem to są Żydzi, komandosi, koledzy Michnika i Kuronia, którzy zamiast wyemigrować do Izraela w dalszym ciągu mącą. To samo powtórzył Ozimek na odprawie samej bojówki, do której silnych chłopców typowały zarządy ZMS w hucie i sportowej uczelni. Oczywiście, wszyscy bez lęku zgodzili się iść na Żydów, bić ich i przepędzać. Po tak udanej próbie sił Ozimek awansował na stanowisko instruktora w wydziale kultury fizycznej ZG ZMS i jeszcze nieraz się przydał jako lider „grup szturmowych”.

Pięć lat później dowodził bandą, która napadła mieszkanie Jacka Kuronia, gdzie miał się odbyć wykład „latającego uniwersytetu” TKN.

Ozimek był idealnym wykonawcą takiej właśnie brudnej roboty. Wymyślali ją więksi od niego intelektualiści. Najwybitniejszym z nich był bez wątpienia sekretarz pionu ideowo-wychowawczego Komitetu Warszawskiego PZPR Krzysztof Kruszewski. Po jednej z akcji - napadzie na mieszkanie Kuronia - dość szybko został profesorem, a później ministrem. Ale to tak na marginesie przygód w młodzieżowej gazecie.

Za moich czasów „Sztandar” był bardziej gazetką ścienną niż poważnym dziennikiem. Wyróżniała go szczególnie marna umysłowo kadra kierownicza. Dość powiedzieć, że kiedy się tam pojawiłem, kierował „SM” niejaki Łysek, którego umiejętności literackie ograniczały się do podpisu. Łysek dość szybko wydorósł, liczył sobie już powyżej czterdziestu wiosen, więc został przeniesiony na najlepszą

chyba posadę w dziennikarstwie PRL, czyli na szefa polskiej redakcji „Nowych Czasów”. Przez całe dziesięciolecie była to NKWD-owska agitka, pomieszczająca wojownicze teksty moskiewskich ideologów. W całym świecie komunistycznym ukazywało się za ciężką forszę kilkanaście jej mutacji językowych, a każdy taki satelicki redaktor miał święte życie. Nic nie robił przez cały prawie miesiąc, tylko przed samym drukiem zaczytywał z kolumn tłumaczenia radzieckich oryginałów i znowu na wiele tygodni miał spokój. Punktualnie natomiast pobierał wysoką pensję i premie wprost z kasy KC. I jeszcze co jakiś czas musiał się służbowo przelecieć do Moskwy na kolegium wszystkich redaktorów, czyli na parodniowy ochłaj. No, wprost żyć, nie umierać i jeżeli mnie pamięć nie myli, w tych „Nowych Czasach” Łysek doczekał naprawdę nowych czasów, czyli stanu wojennego i jeszcze paru lat.

Jego miejsce w gabinecie naczelnego „SM” zajął trzydziestoletni aktywista partyjny Rafał Łąkowski. To był najzabawniejszy szef, jakiego miałem w życiu. Może dlatego, że właściwie nigdy nie trzeźwiał. Był to chłopina nieduży, drobnokościsty, ale z wprost niebywałą predylekcją do gorzały. Już tak koło trzynastej nie sposób było się z nim dogadać na jakikolwiek temat, bo o tej porze odwiedzał go w gabinecie na Wspólnej osobisty przyjaciel, docent Grabski. Ten również uwielbiał się nachlać i tym się obaj panowie zajmowali za zamkniętymi drzwiami do późnego popołudnia, kiedy kierowca ładował ich do redakcyjnej „Wołgi” i woził wedle życzenia, po domach albo do knajpy.

Czasami Rafał upijał się już wcześniej rano i to było prawdziwe nieszczęście, bo na codzienne zebranie w samo południe szedł przez korytarz trzymając się ściany. Następnie siadał w usłudze podstawionym mu fotelu i nieprzytomnym wzrokiem wodził po zebranych. I jak mu się czyjś wyraz twarzy nie spodobał, to go zaczynał z pijackim uporem przedrzeźniać, pokazywać język, zezować. I nie wypadało mu przerwać tej zabawy, bo jak każdy pijak po zwróceniu uwagi rozsierzdzał się i awanturował. Uczciwie trzeba jednak oddać Łąkowskiemu, że nie był świnią, nie gnoił ludzi i nie wyrzucał z pracy pod byle pretekstem. Partii bał się panicznie i bez szemrania wykonywał wszelkie polecenia KC, ale swoich ludzi starał się bronić i to mu się nawet udawało. Kiedy zdarzyło mi się wejść w konflikt z niejakim Kołtkiem, który szybkimi krokami zmierzał do krzesła w Biurze Politycznym (ale mu się to na szczęście nie udało, choć był już bardzo blisko!), Łąkowski mnie skłął, wlepił nagane, ale wyrzucić z redakcji nie pozwolił. Tłumaczyłem mu, że spór nie ma nic wspólnego z moją pracą, tylko ze złodziejskimi numerami Kołtka, społecznie wtrynionego do Polskiego Związku Piłki Nożnej na wiceprezesa (żeby mógł sobie za darmo pojeździć po świecie), na co mój dobrze już napity naczelny tylko pogroził mi palcem. On, w przeciwieństwie do mnie, doskonale nawet po pijaku znał swoje miejsce w szyku i wiedział, co komu wolno w zależności od stopnia nomenklaturowej drabiny, na jaki się wspiął.

O gazetę Rafałek nie dbał zupełnie i tak naprawdę to odpowiadali za nią otaczający go karierowicze, nie zasługujący nawet na wspomnienie. Dlatego „Sztandar”, choć w swej historii miał piękny epizod październikowy z 56 r., w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych był jedynie propagandową szmatą, a równocześnie niezłą synekurą dla paru młodzieżowców, którzy poprzebierali się za dziennikarzy i szybko załatwiali sobie placówki zagraniczne. I właśnie oni wykończyli Łąkowskiego, chociaż on nigdzie nie chciał wyjeżdżać, rezygnował z osobistych synekurek na rzecz swoich zastępców, sam zadowolając się bankietami z docentem Grabskim.

W „Sztandarze” osobiście angażowaliśmy się w budowę Huty Katowice, a tym samym Drugiej Polski. Punktem kulminacyjnym sukcesu były uroczystości 30-lecia PRL w lipcu 1974 roku. Pierwszym prezentem z tej okazji był fantastyczny występ piłkarzy trenera Kazimierza Górskiego podczas

mistrzostw świata w RFN. To było wielkie wydarzenie polityczne i wszystkim redakcjom nakazano przeprowadzenie specjalnych zebrań poświęconych nie tyle temu wydarzeniu, ile implikacjom dokopania przez naszych piłkarzy futbolistom innych nacji.



W Beniaminowie, na zlocie młodzieży socjalistycznej (1974)

Co prawda, gospodarze mistrzostw naszym też dokopali, ale fakt ten przemawiał za socjalizmem właśnie, a nie przeciwko niemu. Okazywało się wtedy, że Boga nie ma! Przed meczem we Frankfurcie, który miał zadecydować, która drużyna zagra w finale, lunął wielki deszcz i boisko zamienił w bajoro. Nasza finezyjnie grająca drużyna w tak anormalnych warunkach nie potrafiła strzelić gola Niemcom, choć miała wiele po temu okazji. Niemcom się to udało. Przez chwilę w kraju zapanowała rozpacz, bo wszyscy normalni kibice od wielu dni modlili się o to najważniejsze zwycięstwo. Czynniki oficjalne nie mogły się oczywiście przyznać do modłów, ale też musiały znaleźć jakieś wytłumaczenie dla tej porażki. I znalazły: „piłka jest okrągła, a bramki są dwie...”. Nasi przegrali, bo nie sprzyjały im siły

nadprzyrodzone, gdyż ich nie ma, ale też nasi nie przegrali, bo w anormalnych warunkach mecz mógł się zakończyć dowolnym rezultatem. Nie ma zatem przegranego!

Cały kraj powitał drużynę Górskiego jako bohaterską i zwycięską. Tytułem obowiązującym dla gazet był: „Srebrna jedenastka!”. Dlaczego „srebrna”, skoro polscy piłkarze zajęli trzecie miejsce, czyli zdobyli medal brązowy? Ano właśnie na tym polegała subtelna manipulacja. W Niemczech organizatorzy mistrzostw piłkarskich obdarowali zwycięzców medalami złotymi, przegranych w finale Holendrów połączonymi, a Polaków - srebrnymi. I właśnie „wybiciem” w tytułach kruszcu, a nie lokaty, poświęcone były te redakcyjne zebrania.

Generalnie było miło. W „Białym Domu” postanowiono, nie licząc się z kosztami, ściągnąć do Warszawy na 22 lipca kilkadziesiąt tysięcy dziewcząt i chłopców na zlot. Działaczy zakwaterowano w najlepszych hotelach, a dla prostych członków ustrojono miasteczko namiotowe w Beniaminowie koło Zegrza, bynajmniej nieprzypadkowo. Od tej pory nazwa „Beniaminowo” miała się kojarzyć nie z Piłsudskim, tylko z młodzieżą socjalistyczną.

Byłem w tym Beniaminowie, gdzie najlepsza młodzież zachowywała się jak w każdym miasteczku namiotowym: cały las cuchnął od ekskrementów, a pod plandekami chłopcy i dziewczęta bawili się w „tatę z mamą”, tęgo przy tym zaprawiając się wódeczką. Niestety, już po raz drugi w krótkim czasie okazało się, że Boga nie ma, bo zlot odbywał się w strugach deszczu i stało się jasne, że wielki wiec - spotkanie młodego pokolenia Polaków z Edwardem Gierkiem i jego Biurem na świeżym powietrzu zakończy się totalną klęską, bo młodzież najzwyczajniej ucieknie.



Wtedy otrzymaliśmy w redakcji zaszyfrowaną wiadomość, że trzeba wprowadzić w życie „wariant B”.

Całe trzy doby trwało ustrajanie Sali Kongresowej na przemian z poszukiwaniami przez Biuro Ochrony Rządu ewentualnych ukrytych bomb, bo chociaż naród kochał swego przywódcę, nie można było wykluczyć kłosań elementó wrogich.

22 lipca po południu nieprzeliczony tłum wdarł się do Kongresowej, wyrządzając ogromne straty materialne. Ale rozpacz gospodarzy skutecznie przytłumiła okrzyki: „Młodzież z Partią!” i „Towarzysz Gierek niech żyje nam!”, a odpowiedzialny za ten spęd działacz z Krakowa Kazio Długosz za kulisami dostał spazmów. Wezwano lekarza, lecz Długosz nie pozwolił się zbadać i tylko powtarzał cały zapłakany: „Koledzy, towarzysze, to ze szczęścia, to ze szczęścia, to najpiękniejszy dzień w moim życiu...”.



Nastrój chwili, podniosłej przecież, mąciły we wszystkich redakcjach telefony oburzonych, wręcz wściekłych mieszkańców stolicy, których nie tylko nikt nie uprzedził o tym, że młodzież wejdzie do śródmieścia, ale którzy mieli za sobą także nieprzespaną noc, bo już od czwartej po wszystkich głównych ulicach sunęły z potwornym rykiem czołgi i transportery opancerzone na defiladę pod

Pałacem Kultury. Jeżeli jednak sięgniemy do archiwum i przejrzymy prasę z tamtych dni, udzieli się nam optymizm ówczesnych sprawozdań. I tak właśnie pracowało się w „Sztandarze Młodych”, gazetce zakłamej od pierwszej do ostatniej strony.



W tej redakcji miałem przyjaciela Piotrusia Trusa, najdowcipniejszego człowieka pod słońcem. Dowcip Piotrusia polegał na tym, że najbardziej absurdalne zdarzenia miał on zwyczaj komentować najzupełniej serio, multiplikując efekt komiczny. Oto z okazji powodzi wysłany został w teren, ale nie po to, by opisać niełatwą dolę ofiar żywiołu, lecz z wyraźnym przykazaniem ukazania w druku heroicznej postawy wojska i milicji. Przykazano mu ponadto, by ten opis nie potęgował paniki ludzi, pod których domostwa fala powodziowa dopiero podchodziła. Piotruś wywiązał się z postawionego zadania wręcz genialnie. Opisał więc herbatkę w salonie pewnego wolno stojącego domu. Właścicielka przeproszała reportera za bałagan, ale przecież powinien zrozumieć, że jest jej dość trudno. Siedzą przecież przy stole po kostki w wodzie...

Piotruś byłby wielkim polskim dziennikarzem, ale mu się w pewnym momencie odechciało. Mnie ze „Sztandaru” wyrzucił Łukasiewicz, który wygryzł pijanego Łąkowskiego, a Piotruś wybrał się na saksy do Szwecji, potem posiedział przez chwilę w obozie dla uciekinierów w Austrii, aż wreszcie wylądował

w Nowym Jorku i zamieszkał w Queens, a potem w Kalifornii, aby sącząc od rana tequille opowiadać Portorykańczykom o dziwnym świecie realnego socjalizmu.

WRAK SCENY NARODOWEJ (Plac Teatralny)

Do teatrów chodziło się w Warszawie w latach pięćdziesiątych, bo tak wypadało i nie było jeszcze telewizji. Następnie teatry znacznie straciły na znaczeniu i chodziło się albo na „spektakle”, albo „na reżysera”. Do Teatru Narodowego najpierw chodziło się „na Dejmka” („Historija o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”), potem na „Dziady” (czyli znowu na Dejmka, ale już z Holoubkiem), a potem na „Hanuszkiewicza”. Ten ostatni okres pamiętam najlepiej, bo zaczął się od „Hamleta” z Danielem Olbrychskim.



Daniel już jako nieletni młodzian zrobił niebywałą karierę i z tego powodu wzbudzał zazdrość. Na dokładkę był nieznośny, bo wszystko mu się udawało i prawdopodobnie sądził, że tak będzie zawsze. Poza tym szybciej dorastał niż całe jego pokolenie, więc nawet trudno mu się dziwić, że obdarowany przyjaźnią Wajdy, Dygata czy Hanuszkiewicza (że o paru sławnych paniach nie wspomnę) traktował nas jak pętałów. Dlatego nie lubić Olbrychskiego to było nawet w dobrym tonie. Niestety, „Hamlet” był prawdziwym wydarzeniem kulturalnym i pomimo niechęci do głównego artysty wypadało pokazać się w „Narodowym”.

Jeszcze większą sensacją było wystawienie przez Hanuszkiewicza „Balladyny”, spektaklu tak nowoczesnego, że Goplana-Dykiel jeździła po scenie mini-skuterem marki „Honda”. Zawodowi krytycy wyrwali sobie włosy z głów i rozpaczali, że Hanuszkiewicz pohańbił Scenę Narodową. Za to władze kulturalne PRL, ministerstwo i wydział kultury KC najwyraźniej były zachwycone, bo na tę „Balladynę na motorze” ustawiały się do kas długie kolejki i w tych kolejkach stała przede wszystkim młodzież. Co by nie mówić, „Narodowy” Hanuszkiewicza był teatrem głośnym, a aktorom, zwłaszcza młodym, bardzo zależało, żeby znaleźć się w tym zespole.

Do „Narodowego” przychodziliśmy z doktorem Chacińskim, bo mieliśmy w gronie najbliższych znajomych parę takich właśnie początkujących aktoreczek i zdarzyło się nawet, że załapaliśmy się na bankiet popremierowy „Troilusa i Kresydy”, sto razy lepszy od samego spektaklu.

Potem był Sierpień i prawie natychmiast aktorzy polscy uznali za stosowne słać adresy hołdownicze do Wałęsy do Gdańska. Tak było aż do Grudnia. Wiele lat później Adam Hanuszkiewicz opowiadał mi o swoim nowym autorskim spektaklu, którego już nie widziałem, ale który bardzo się nie spodobał WRON-ie i dlatego wyrzuciła na bruk dyrektora Sceny Narodowej.

Aktorzy Hanuszkiewicza wyrzucili się sami, za to w „Narodowym” zesłi się artyści nawet znani i dawniej lubiani, ale bez charakteru, więc twarzami swoimi firmujący stan wojenny. I „Narodowy” stał się najzwyczajniej teatrem podłym i już nikogo nie interesował, osobliwie - publiczności.

Pewnego marcowego dnia jechałem sobie samochodem na obiad do „Spatifu” i radiowóz MO nie pozwolił mi skręcić w ulicę Senatorską. Dowiedziałem się wtedy, że Teatr Narodowy płonie. Dopowiedziałem sobie w duchu, że płonie ze wstydu. I tak właśnie było. Minęło już sporo lat, a budynek ciągle jakoś nie może zostać odbudowany. Jakieś fatum wisi nad tym gmachem. Słusznie, bo za karę.

HOTELE

(Plac Piłsudskiego, dawniej Plac Zwycięstwa)

W czasie studiów byłem w tej mniejszości młodzieży akademickiej UW, która urywała się na kawę nie do „Harendy”, tylko do o wiele bardziej eleganckiego i droższego hotelu „Europejskiego”. Całymi dniami przesiadywaliśmy w kawiarni, prawdę mówiąc -nie bardzo wiadomo po co, bo „Europejski” był lokalem śmiertelnie nudnym na wszystkich swoich poziomach, od „Kamieniołomów” w piwnicy poczynając. Ale tam po raz pierwszy zetknąłem się z półświatkiem Warszawy, różnymi „królowymi nocy”, wśród których najślawniejsza była „Iza Drabina”.

Dziś, z towarzyskiego punktu widzenia, „Europejski” nie prezentuje się szczególnie atrakcyjnie. Umawiać się wypada wyłącznie w wewnętrznym barku, w hotelowym hallu, gdzie jednak najczęstszymi gośćmi są organizatorzy masowej rozrywki, różni menago trup koncertowych. Przez parę ładnych lat kręciłem się w tym gangsterskim interesie i właśnie wtedy nawiązałem odpowiednie znajomości.

Oto pojawił się pan W., proponując udział w wielkim show po ziemi kielecko-lubelskiej. Tournee odbyło się, a jakże, lecz kiedy nadeszła pora wypłaty honorariów, pan W. bezradnie rozłożył ręce. Dopiero groźba użycia siły fizycznej poskutkowała i jakąś forszę, ale nie całą należność, pan W. wypłacił. Resztę długu miał oddać w ciągu tygodnia. Mniej więcej po dwu spotkałem go najzupełniej przypadkowo w większym gronie. Widząc nadarzącą się niepowtarzalną okazję skompromitowania faceta śmiało podszedłem do towarzystwa. Pan W. zerwał się i ustalił nieprzekraczalny termin. I nawet punktualnie się zjawił, i nawet z forszą. Ale już mu świtał nowy pomysł wspólnego przedsięwzięcia, mianowicie - kabaret literacki. Wtedy, kołowany do tej pory przez pana W., postanowiłem odwrócić role i pana W. wykołować

Zapowiedziałem więc, że od dawna myślałem o kabarecie, ale potrzebne są środki na rozruch: na skaptowanie autorów, zaangażowanie muzyka, zakup tekstów. Tę przynętę W. łyknął i wybraliśmy datę kolejnego spotkania. Zabrałem ze sobą przyjaciela, dość często pokazującego się w telewizji, na dokładkę w samym „Dzienniku tv”. Człowiek ten, za z góry ustalone pieniądze, zgodził się grać rolę „małpy”. Pan W. był zachwycony towarzystwem, podobnie jak spisany na jednej kartce maszynopisu założeniami programowymi przyszłego artystycznego przedsięwzięcia i wypłacił 200 dolarów na poczet niezbędnych prac organizacyjnych. Z forszą w kieszeni udaliśmy się z przyjacielem do samochodu, gdzie dokonaliśmy podziału łupu. Kabaret nigdy nie powstał, nawet w tej sprawie nie kiwnąłem palcem. Pan W. też mnie nie niepokoił, co nawet trochę dziwiło. Okazało się, że trafił do więzienia za wielkie „artystyczne” machlojki. Na poczet zasłużonej kary organy ścigania zabrały mu wszystko, co posiadał. Gdybym nie wykołował go na 200 dolarów i tak by ta forsa przepadła, więc właściwie mu pomogłem. Przy okazji przekonałem się, że z rodzimymi impresariami nie należy się zadawać pod żadnym pozorem, bo to ludzie z gruntu nieuczciwi. I dlatego nic już nie robię w „szołbiznesie”.

Zawadzając o wewnętrzny baryk w „Europejskim”, nie wypada pominąć nieodległego hotelu „Victoria”. Kiedyś w tym miejscu, u zbiegu placu z ulicą Królewską, był stary Teatr Żydowski, z którym łączą mnie wspomnienia dziecięce, więc sentymentalne. Teraz stoi tu „Victoria”, hotel, który lubię, choć przeżyłem tam parę kompromitujących przygód, nigdy z własnej winy. A to odwiedziłem w

numerze znajomego prywaciarza, który właśnie dla fantazji wyrzucał meble przez okno i, oczywiście, musiała interweniować policja, a to znowu na finiszu balu sylwestrowego, gdy znalazłem się w sali bankietowej najzupełniej przypadkowo i kompletnie trzeźwy, aby porozwozić po domach uchłanych przyjaciół, rzucił się na mnie jakiś pijak i była to, okazało się, jedyna bójka tej najdłuższej nocy.



Wspomnienie o „srebrnej jedenastce” Kazimierza Górskiego: z Grzegorzem Lato i Janem Tomaszewskim (1987)

W „Victorii” bywam też towarzysko, żeby w „Zielonym” barku spotkać się z panem Kazimierzem Górskim, słynnym trenerem piłki nożnej. Otóż, prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem Górskiego w pracy, kiedy biegał z zawodnikami za piłką. Nawet w szczytowym okresie swej działalności pan Kazimierz zawsze paradował w garniturze, zaś jego elegancja polegała na tym, że od kiedy pamiętam nosił garnitury niemodne, sprzed dziesięciu czy piętnastu lat.

Górski to jest Postać, bo poza życiową mądrością cechuje go bardzo oryginalne poczucie humoru, właściwie nie do opisanego. Trzeba słuchać jego lwowskiego akcentu i oglądać jego miny, kiedy z przejęciem opowiada o dziwaczności tego świata. Kiedy myślę o „Victorii”, to właśnie o Kaziu Górskim, a nie o wypomadowanych geszefciarzach, podstarzałych paniach, przegrywających w kasynie na piętrze fortuny byłych mężów ani o obcokrajowcach, którzy z „Zielonego” kierują rozlicznymi interesami. Poza wszystkim Górski to najpiękniejsze lata naszego życia, kiedy reprezentacja Polski wygrywała mecze na olimpiadzie w Monachium, a potem przez Wembley wróciła do Monachium na mistrzostwa świata i cała Polska zastygała przed telewizorami. To także wspomnienie bankietów organizowanych z tej okazji w gronie ludzi, z którymi później już nic mnie nie łączyło i przy innej okazji nawet nie chciałbym siedzieć z nimi przy jednym stole.

PAŁAC MOSTOWSKICH (Plac Dzierżyńskiego, dzisiaj Plac Bankowy)

Wychowałem się w kraju, którego porządku miała strzec ofiarna Milicja Obywatelska. I tej milicji wszyscy się bali, i milicjanta nikt nie lubił. Przez wiele lat ten brak sympatii był całkowicie irracjonalny, bo z milicją nie miałem żadnej styczności. Dopiero przy końcu studiów wyższych pod domowy adres nadeszło tajemnicze pismo, że w sprawie urzędowej mam się zgłosić w Pałacu Mostowskich w dniu takim to a takim.



Poszedłem, trochę ze strachu, a trochę z ciekawości, bo po Marcu już nieźle orientowałem się, co to za instytucja. Poza tym znałem już różnicę pomiędzy milicjantami mundurowymi, czyli głupkami rozpoznawalnymi na ulicy, a tajniakami - rzeczywistymi gnębicielami społeczeństwa. Wzywała mnie właśnie esbecja dla niepoznaki ukrywająca się w tym samym gmachu, co stójkowi. Trzej cywile nie mieli do mnie żadnej wielkiej sprawy poza pytaniem, czy po zakończeniu studiów na wydziale prawa nie reflektowałbym na posadę u nich właśnie. Nie reflektowałem i to nawet nie z powodów ideologicznych, tylko czysto estetycznych. Z rozrób marcowych wyniosłem wrażenie, że gdzieś za plecami wszystkich kryją się mroczni gangsterzy, którzy nami faktycznie rządzą. Miałem wówczas słabe pojęcie o stalinowskim UB, o koszmarach śledztw, fingowanych procesach, prowokacjach, o Światle, Różańskim i Radkiewiczu, ale podskórnie czułem, że są to obrzydliwcy. No i wiedziałem, że całą tą hałastrą komenderuje Moczar. Już samo nazwisko przekonywało, że to bandzior. Opisuję to wszystko prawdopodobnie zbyt naiwnie, ale tak wówczas myślałem. To była kwestia instynktu, a nie jakiejś udokumentowanej wiedzy.

Posiedziałem z godzinę, uprzejmie odmówiłem zatrudnienia, więc mi któryś z cywilów podstemplował przepustkę i wyszedłem na wolność. Cały epizod był tak nieistotny, że szybko o nim zapomniałem.

Trzy lata później, kiedy byłem już dziennikarzem i mieszałem samodzielnie, któregoś ranka zadzwonił telefon. Nieznany głos poinformował mnie: „Mówi kapitan Bąk, proszę się zgłosić do Pałacu Mostowskich, jutro o dziewiątej”. Odebrałem ten głos, jak z zaświatów, więc niekompletnie rozbudzony skląłem faceta od najgorszych, a znałem już parę podstawowych obraźliwych słów. Po tygodniu w skrzynce pocztowej czekało na mnie oficjalne, urzędowe wezwanie. Myślałem, że to głupi kawał, a to był kawał poważny.



Poszedłem i znowu skierowano mnie do jakiegoś pokoju, gdzie siedzieli trzech cywilów. I już bez żartów zaproponowali mi współpracę. Kiedy zapytałem dlaczego, odpowiedzieli mało uprzejmie, że

właśnie tak im się podoba, bo dawno mają mnie na oku i jeżeli się nie zgodzę, bardzo szybko mnie skończą, a szkoda byłoby tak ładnie rozpoczynającej się kariery. W ogóle - cynicznie przemawiał jeden z nich - w każdej chwili mogą mnie zgnoić, bo mają swoje metody i nawet teraz zamiast na ulicy, mogą wylądować w celi. „Niby za co?” - próbowałem kpić. Okazało się, że za wszystko: za chuligaństwo, bo zaczepiałem ludzi na ulicy albo za kradzież, bo ukradłem komuś portfel w tramwaju. Bez problemu znajdą się i pokrzywdzeni, i świadkowie, i dowody rzeczowe. Więc, dla własnego dobra powinienem się zastanowić.



Rozmowa stawała się monotematyczna, ale trwała, bo tajniacy się zmieniali, jedni wychodzili, inni wchodzili i zagadywali ciągle o tym samym. Po czterech godzinach, co prawdopodobnie wcześniej zostało wyreżyserowane, postanowili wreszcie mnie puścić, ale ustalili już miejsce i termin następnego spotkania, do którego powinienem się zdecydować. Oczywiście, na „tak”. Nie prosili, ale wręcz zażądali dyskrecji, niemniej poradziłem się przyjaciela, a on powiedział, że wcale nie jestem wyjątkiem. Jego też zaczepiali i też próbowali straszyć. Nie ma się czym przejmować, ale należy zachowywać się konsekwentnie. Iść na spotkanie, bardzo dobrze, że do kawiarni i po prostu skłąć faceta.

Posunąłem się jeszcze dalej. Kiedy tajniak z uśmiechem chciał mi podać rękę, udałem, że tego nie widzę. On już stał i zaproponował kieliszek koniaku, ale nie tu, tylko w „naszym” - jak się wyraził - lokalu. „Mamy takie niekrępujące mieszkanko niedaleko” - dodał.

Zaproponowałem, żeby jednak usiadł i najspokojniej jak tylko umiałem, cichutkim głosem zacząłem mu potwornie ubliżać, zapowiadając, że zaraz wrzasnę, kto jest ubekiem i ludzie siedzący w kawiarni całkiem bezinteresownie spuszcza mu łomot.

Okazało się, że to naprawdę była najlepsza metoda. Facet zmył się natychmiast i już nikt mnie nie niepokoił ani telefonami, ani urzędowymi wezwaniami. Prawdopodobnie ubek nie sporządził z tego nieudanego spotkania nawet notatki, bo później - kiedy znalazłem się w prawdziwych tarapatach, nikt mi nie stawiał zarzutu obrazy funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. Przypuszczam, że ci ubecy w „zakresie obowiązków” mieli werbunek donosicieli i według dowolnego klucza usiłowali takie zadanie spełniać, nie mając w rzeczywistości żadnych instrumentów nacisku. Albo się im udawało ludzi zastraszyć i dostawali premie, albo po wysłuchaniu paru przykrych słów wycofywali się, próbując zwerbować innego agenta.

Tak nie nagabywany więcej przez tajne służby doczekałem stanu wojennego, ale już w poniedziałek, 14 grudnia, przed południem, ktoś zastukał do drzwi mojego mieszkania. W progu stało dwóch cywilów i ten jakby ważniejszy od razu poinformował, że są ze Służby Bezpieczeństwa. Poprosiłem o legitymację, więc on wyjął jakiś kartonik i mignął mi przed oczyma, zasłaniając jednak nazwisko.

Sprawa wygląda tak, poinformował, że przyszli we dwóch, aby mnie internować. Bardzo się zdziwiłem, bo niby za co? Nie byłem nawet członkiem „Solidarności”, a co dopiero opozycjonistą. Cały czas pracowałem w państwowym, a więc podległym PZPR wydawnictwie, a moje teksty były mocno cenzurowane. Ubek na to, że jego to nic a nic nie obchodzi, ale jestem na liście i on według tej listy zamyka ludzi. Widząc moje kompletne zaskoczenie, nagle złagodniał i powiedział, że jest jedno lepsze wyjście. Takie mianowicie, że podpiszę mu stosowny papierek i położył mi na stole świstek maszynopisu, ozdobiony okrągłą pieczętką. Przeczytałem, że obywatel taki to a taki zobowiązuje się, że nie będzie podejmował działalności przeciwko Polsce Ludowej. Ależ ja takiej działalności nigdy nie podejmowałem! No właśnie - ucieszył się ubek - nic więc nie stoi na przeszkodzie, żebym podpisał.

Ale mnie się wydawało, że stoi! Panowie przyszli do mojego mieszkania nieoficjalnie, tajemniczo i incognito. To nie jest żadne formalne przesłuchanie i ja nawet nie mogę być pewien, że naprawdę są z SB. Jak mają do mnie urzędową sprawę, to niech ją ze mną załatwiają w Pałacu Mostowskich.

O dziwo, ubek zmiękł. W porządku, wezwą mnie oficjalnie, tylko niech nie próbuję uciekać albo schodzić do podziemia, bo dostanę wyrok. I poszli sobie.

Nawet zrobiło mi się przyjemnie, że taki jestem ważny dla esbecji, ale niby gdzie miałem zejść, skoro z żadnym podziemiem nie miałem żadnego kontaktu. Po tym najściu pojechałem do firmy, czyli „Interpressu”. Tam sensacja, bo już rano pytali o mnie dwaj ubecy. Tylko o mnie, chociaż w gmachu pracowało naonczas dwustu pięćdziesięciu - trzystu dziennikarzy. Poczułem się jeszcze ważniejszy, ale nie bez obaw. Na wszelki wypadek najbliższą noc spędziłem w mieszkaniu Ojca, co było oczywistym przejawem głupoty, bo gdyby mnie chcieli szukać, tutaj bardzo szybko by mnie odnaleźli. Nie szukali, więc wróciłem do domu. I nic. Telefony nie działały, benzyny nie było. Siedziałem w pokoju, czytałem książki i oglądałem żołnierską telewizję. Nagle, w środę 16 grudnia, o szóstej wieczorem, stuk-puk do

drzwi. Stoi znajomy ubek z mundurowym milicjantem i zapraszają mnie na dół, do samochodu. Pojechaliśmy dwie ulice dalej, do Mostowskich. Zaprowadzili mnie nie do pokoju przesłuchań (pewnie mieli ważniejszych klientów), tylko do jakiegoś ambulatorium czy pokoju lekarskiego, bo za parawanem stała leżanka. Przy biurku siedział jakiś „pan kapitan” w cywilu i gapił się w telewizor. Pamiętam nawet program. To była powtórka węgierskiej „agitki” o kontrrewolucji 1956 roku. Parę tygodni wcześniej pokazano nam już to w programie ogólnopolskim, prawdopodobnie ku przestrodze.

Pan kapitan poczęstował mnie papierosem, zrobił w elektrycznym czajniku herbatkę i zaczął luźną, nie protokołowaną rozmowę. No więc, byłem - prawda, że nie najbardziej groźnym - ale jednak wrogiem przewidzianym do internowania. Może wystarczy jednak szczerza skrucha. Pan kapitan zorientuje się w moich zamiarach po rozmowie. I zaczęliśmy pogawędkę: o agenturalnej działalności „Solidarności”, o próbie zamachu stanu, o dziennikarzach, którzy jątrzą i celowo wprowadzają społeczeństwo w błąd. Właściwie nie rozmawialiśmy, tylko mówił pan kapitan, a ja wtrącałem się polemicznie. Nade wszystko zaś starałem się go przekonać, że o tym, o czym on wie tak dobrze, ja nie mam pojęcia, bo nigdy nic byłem w „Solidarności” i nikt mnie nie mógł wtajemniczać w jakieś antysocjalistyczne plany zamachów i kontrrewolucji.

Od czasu do czasu pan kapitan rzucał znane nazwiska dziennikarzy, artystów, polityków: „Czy znam?” Znałem. „Co o nich sądzę?” Nic nie sądziłem, bo nasze znajomości były zaledwie przelotne. „Czy czytałem tajne dokumenty?” „Nie czytałem, bo nikt mi ich nie dał do czytania”. I tak nam mijały godziny, aż pan kapitan zaproponował, żebym się przespał za parawanem. Miałem lepszą propozycję: może bym sobie po prostu poszedł do domu... Tak, to możliwe, zgodził się kapitan, ale nie teraz. Czyżbym zapomniał, że na terenie całego kraju obowiązuje godzina policyjna? Pan kapitan wyszedł, a ja istotnie podrzemałem sobie na leżance.

Obudziło mnie lekkie puknięcie w ramię. Była czwarta rano. Pan kapitan wyglądał, jakby dopiero co wyszedł spod prysznic i zaproponował formalne przesłuchanie. Zadawał mi pytania i na jakimś formularzu notował odpowiedzi. Pytania były prowokujące, ale przy tym naiwne. Na początek znowu o ludziach, których wredne życiorysy od poniedziałku drukował „Żołnierz Wolności” i które dukali telewizyjni lektorzy w zielonych mundurkach. Pytania były utrzymane w takim tonie, jakbym był współnikiem i towarzyszem wieloletniej wrażej, antysocjalistycznej roboty, a ja tych ludzi nigdy nie widziałem na żywo. Może i nie widziałem, zgodził się pan kapitan, ale przynależności do organizacji chyba się nie wyprę. Do jakiej znowu organizacji? Tu zostałem poinformowany, że liderzy „Solidarności” utworzyli tajną organizację, angażując do niej przedstawicieli wielu profesji, grup społecznych, a nawet członków PZPR, żeby drogą ewolucji rozłożyć system.

To był oczywiście czysty absurd, ale pan kapitan traktował całą sprawę śmiertelnie poważnie, nie udawał, nie grał. Zorientowałem się, że szeregowi esbecy musieli zostać przeszkoleni. I nie stało się to nagle, z dnia na dzień. Tu musiał obowiązywać skomplikowany scenariusz, rozłożony w czasie.

Pan kapitan nie ukrywał rozczarowania. Mogłem przypuszczać, że do internowania mnie potrzebny był jakiś pretekst, ślad dowodu, cień winy. I gdyby to odpowiadało prawdzie, nawet byłbym dumny. Ale ja byłem poza wielką, a nawet małą polityką. Byłem ofiarą najzwyczajszej pomyłki. W jaki sposób moje nazwisko mogło się znaleźć na takiej liście? Przecież w przeszłości esbecja interesowała się mną nie jako potencjalnym wrogiem, ale - odwrotnie, jako sojusznikiem, przecież chcieli zrobić ze mnie agenta. Więc skąd to wszystko?

Prawdopodobnie trafiłem do notesu jakiegoś tajniaka jako jeden z inicjatorów odnowy stowarzyszenia dziennikarzy. To, że później cała zabawa przestała mnie interesować, musiało umknąć uwadze esbeków. Ale już mieli mnie gdzieś odnotowanego, już byłem „na muszce”. Przypomniałem sobie niby nic nie znaczący epizod sprzed dwóch miesięcy. Na Nowym Świecie, z balkonu biura Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald” któregoś dnia rozrzucono ulotki. Maszynistka z „Kulis” podniosła jedną i dała mi do przeczytania. To była „falszywka”, jakiś niby list protestacyjny Żydów polskich, żyjących w diasporze, którzy urbi et orbi domagali się rozprawy z komunistami i sami siebie widzieli na czele władz Polski Ludowej. Pod tym idiotycznym tekstem widniało kilkadziesiąt podpisów. Niektóre pamiętam: Bratkowski, Geremek, Gieysztor, Holoubek, Komorowska, Michnik, Skalski. Także - moje! No, bzdura to była totalna! Coś takiego mogliby wymyślić i podpisać jedynie lokatorzy zakładu w Tworkach, ci najbardziej upośledzeni, ale o to „grunwaldczycy” nie dbali. Sądziли, może nie bez słuszności, że kiedy te „falszywki” trafią w ręce „wielkoprzemysłowej klasy robotniczej”, ona tradycyjnie stanie w obronie ojczyzny i ruszy do śródmieścia z ciągle żywym hasłem: „Bij Żyda!”.

To była bzdura, ale jakiś skutek odniosła, bo się zdenerwowałem. Schowałem ulotkę do kieszeni i pojechałem na ulicę Batorego do redakcji „Tygodnika Solidarność”. Pracował tam Ernest Skalski i tej jesieni było to jedyne pismo w Polsce, w którym można było podjąć jakąkolwiek polemikę z władzą. Pokazałem „falszywkę” Ernestowi i Duriaszowi. Uśmiechnęli się i machnęli ręką. To gównu, śmieć, powiedzieli, naprawdę nie wypada zawracać sobie tym głowy... Nie mieli racji...

W marcu '82, czyli w najpaskudniejszym okresie stanu wojennego, gdański „Dziennik Bałtycki” publikował cykl kłamliwych i oczywiście anonimowych tekstów antysolidarnościowych. Nazywało się to „Tajemnice Hotelu Morskiego” (pierwsza siedziba NSZZ „S”). W codziennych odcinkach drukowano raporty tajnej milicji i najróżniejsze zmyślenia, byle tylko obrzucić błotem więzionych i bezbronnych. I właśnie w którymś odcinku przytoczono tekst „grunwaldzkiej” ulotki z poważnym komentarzem, że PRL groziła syjonistyczny inwazja „od środka”.

Dzięki takim to kanałom informacyjnym trafiłem do Pałacu Mostowskich i odsiadywałem tam (prawda, że w warunkach komfortowych) noc z 16 na 17 grudnia '81.

Pan kapitan w końcu skapitulował. Skoro do niczego złego się nie przyznaję, a on nie znajduje sposobu, żeby mnie nakłonić do mówienia prawdy, odzyskam wolność. Już chciałem manifestować swoją radość, ale pan kapitan oświadczył, że „coś za coś”. I podsunął mi kawałek papieru. Sądziłem, że wiem, co to jest - oświadczenie, że nie będę ani zbrojnie, ani czynnie występował przeciwko porządkowi państwowemu Polski Ludowej. I z powodów czysto obywatelskich byłem to, oczywiście, gotów podpisać. Naprawdę! Nie znałem jeszcze pojęcia „lojalki”, nie miałem żadnego aresztanckiego doświadczenia, „esbecja” była dla mnie zupełnie pustym dźwiękiem. A poza wszystkim chciałem już wyjść z Mostowskich, pojechać do domu, skontaktować się z rodziną, spędzić święta z moim malutkim synem. Dobra! podpiszę, zresztą w całkowitej zgodzie z własnym sumieniem, ale... Z zawodowego przyzwyczajenia przeleciałem oczyma po tych paru liniijkach tekstu i coś zaczęło mi się nie zgadzać. Otóż miałem podpisać oświadczenie, że zaprzestaną wrogiej działalności przeciwko Polsce Ludowej, czyli miałem przyznać się do winy, że wcześniej taką działalność prowadziłem. A, jeśli tak, to bawmy się dalej...

Pan kapitan był złym aktorem. Przeprosił. Ot, zwykle zmęczenie, pomylił kartki. Z drugiej kupki na stole podał mi kartkę z tekstem, identycznym, jak ten, który wciskali mi w domu dwaj anonimowi

ubecy. Podpisałem i pan kapitan odprowadził mnie osobiście na parter do wyjściowej bramy. Swoją obecnością zaświadczał, że jestem „czysty”...



Po południu pojawiłem się w „Spatifie” i opowiedziałem całą przygodę w liczonym gronie. I nagle zobaczyłem, że dobrze znani ludzie jakoś dziwnie mi się przyglądają. Ktoś zapytał, czy nie słucham radia. Nie słuchałem, bo na antenie od rana do wieczora królował niejaki major Matysek z raportami

sprzed koksowników. Nie, nie tego radia! Prawdziwego: BBC, „Wolnej Europy”. Niestety, też nie słuchałem, bo cholernie zagłuszali, a ja miałem słaby radziecki odbiornik. No, to teraz usłyszę, że nie wolno niczego podpisywać! Żadnej kolaboracji z WRON-ą, bo to jest zdrada Polski.

Zrobiło mi się strasznie głupio, bo mój oburzony znajomy miał chyba rację! Na zdrowy rozum co też ci esbecy z panem kapitanem mogli mi zrobić, skoro nie miałem nic na sumieniu? A ja mimo to zrobiłem, co chcieli i nie po torturach, tylko całkiem dobrowolnie, popalając nieobecne na rynku papieroski „Caro”, którymi hojnie częstował mnie pan kapitan. Chciałem być wolny, a nie miałem złudzeń, że bez podpisu też zostałbym wypuszczony za bramę. To wiedziałem wtedy i wiem teraz.

Tej mojej publicznej spowiedzi przysłuchiwał się najbliższy przyjaciel, redaktor Zawisza. Tak się złożyło, że już nazajutrz w szczelinie zamkniętych drzwi swojego kawalerskiego mieszkania znalazł wezwanie do Pałacu Mostowskich. Pożegnałem go czule, jak wypada żegnać zesańca, ale już po dwóch godzinach kolega Zawisza powrócił wesolutki jak szczygiełek. Nie popełnił mojego błędu, gdyż jest człowiekiem niepospolitej inteligencji. Niczego nie podpisał! Rozmowa była męska, brutalna, ale za to krótka. Jego pan kapitan, widząc niezłomną wolę przyjaciela, pękł, rozkleił się jak baba i upokorzony puścił wolno. Po dziś dzień jest to kość niezgody w naszej dozgonnej przyjaźni. Ja wiem, że kolega Zawisza podpisał, on mówi, że za żadne skarby.

Jak było naprawdę, wiedzieć mogą wyłącznie archiwiści obecnego stołecznego Urzędu Ochrony Państwa, a i to nie jest pewne do końca, bo niewykluczone, że dwaj nasi kapitanowie paląc kompromitujące ich akta, spalili także te świstki, kompromitujące nas dwóch. Dla historii jednak, uważam, ta opowiastka nie jest bez znaczenia.

Ów surowy w ocenach znajomy, który słuchał „Wolnej Europy” i od samego początku wiedział, że niczego podpisywać nie wolno, to reporter Kopeć, po którego też w tych grudniowych dniach przyszli. Opowieść Kopia o tym, jak pogonił we własnym mieszkaniu na Klaudyny kota usiłującym zwinąć go esbekom jest bardziej malownicza od mojej. Reporter Kopeć poczęstował nieproszonych gości koniakiem i tak ich rozluźnił, że zgodzili się z jego poglądem, iż wprowadzenie stanu wojennego było nie tylko błędem, ale zdradą Polski. Przepraszając za nietakt Jaruzelskiego i Kiszczaka wyszli z mieszkania w ukłonach, nie zapominając wszakże o ucałowaniu rączek reporterowej Kopicowej. Tak więc, ze wszystkich chodzących wolno po Warszawie w pierwszych dniach stanu wojennego ludzi ja jeden byłem „lojalistą”, a ci tak liczni inni tworzyli prawdziwą, żywą i widoczną opozycję w totalitarnym państwie.

Nie mogę jednak nie myśleć, co byłoby, gdyby wypadki potoczyły się inaczej, gdybym tego 16 grudnia dał się zamknąć? Wylądowałbym w jakimś areszcie przejściowym, po paru tygodniach przenieśliby mnie na prowincję, do jakiegoś ośrodka wypoczynkowego i tam czekałbym, co będzie się dziać dalej.

Jako osobnika mało ciekawego dla umacniającej się władzy, prawdopodobnie jeszcze wiosną by mnie wypuścili. Ale ja byłbym już zupełnie innym człowiekiem: znajomym, może nawet bliskim prawdziwych opozycjonistów, a z drugiej strony bardzo nieszczęśliwym, bo rzecz jasna, wszystkie wcześniejsze plany wziętyby w łeb. Z „internatem” w życiorysie miałbym jednak parę nowych możliwości na przyszłość. Z pracy najprawdopodobniej by mnie wyrzucili, lecz przez więzienne znajomości trafiłbym wreszcie do podziemia. Niewykluczone także, że zdecydowałbym się na emigrację, wylądował na przykład w „Wolnej Europie” i dzisiaj bawił się całkiem inaczej.

Incydent w Pałacu Mostowskich sprawił, że chodziłem po Warszawie wściekły, bo tak głupio dałem się przestraszyć i nabrać. Już się nie bałem, dziwnie spokojny, że esbecja, zajęta swoimi prawdziwymi wrogami, przestała się mną interesować.



Tymczasem, kiedy wreszcie Kiszczak pozwolił Polakom komunikować się i włączono nam telefony, jako jeden z pierwszych zadzwonił dziwny nieznajomy. Usłyszałem, że nazywa się Brzeziński i że właściwie to my się znamy. Skąd? Dowiem się we właściwym czasie. W każdym razie lepiej będzie dla mnie, jeżeli za dwa dni o godzinie dwunastej w południe przyjdę na spotkanie w małej kawiarence na placu Teatralnym. Naprawdę bez strachu, ale goniony ciekawością byłem punktualny. I oto przy stoliku siedział „mój” ubek, ten, który szukał mnie w pracy, odwiedził w domu, a w końcu „zdjął” i powiózł na spotkanie z panem kapitanem.

Teraz uśmiechał się życzliwie, powtórzył nazwisko „Brzeziński”, ale zaraz dodał, że wygodniej będzie, jak będę się zwracał do niego po imieniu, ot po prostu, Alek.

Niestety, Alek miał do mnie sprawę. Sprawa zaś polegała na tym, że powinienem czuć się dłużnikiem Służby Bezpieczeństwa, bo nie zdaję sobie sprawy z tego, że cały czas jestem pod obserwacją, więc mają aż nadto dowodów, żeby mnie wsadzić, a nawet wytoczyć sprawę z dekretu o stanie wojennym, skoro podpisałem „lojalkę”, a nadal prowadzę działalność wywrotową. W tym momencie wiedziałem już, że mam przed sobą takiego samego łapsa, jak ten, którego skłamałem w „Metropolu”, prawie dziesięć lat wcześniej. Ale czasy się zmieniły. Wtedy była Polska Ludowa z jakąś namiastką demokracji, a teraz jestem obywatelem pośledniej kategorii w kraju dyktatora. Trzeba było grać. Udawałem, że bardzo się boję tak naturalnie, że Alek zaczął mnie uspokajać: nie jest tak źle, jak myślę, oni wiedzą, że spiskuję z głupoty, a nie z nienawiści do ojczyzny i dlatego do tej pory mnie nie zdjęli, a wprost przeciwnie - wyciągają pomocną dłoń. Mogę się bardzo przydać krajowi i Alek mi w tym pomoże. Wystarczy, że co jakiś czas będę się z nim spotykać i udzielać mu informacji o tych wszystkich szaleńcach, którym się zdaje, że są pod okupacją i bawią się w konspirację. Naprawdę nic wielkiego SB ode mnie nie wymaga, poza konsultacją. Alek chce się po prostu poradzić, czy wsadzać tego lub owego. Ja znam wielu ludzi i mam lepsze rozeznanie. Czyli de facto mogę pomóc wielu tym, którzy zbłądzili. To przecież bardzo szlachetna misja. Jeden z drugim się wygłupia, SB już ma go przyskrzynić, a tymczasem ja mówię Alkowi „stop” i „szkoda człowieka”.

Milczałem i wpatrywałem się w jeden punkt, myśląc tylko o jednym: jak mu się urwać? Alek wyczuł chyba stan mojego ducha, bo bardzo łagodnie, żeby mnie nie urazić, rzekł, że rozumie moje rozterki, więc daje mi czas do namysłu. Na serwetce zapisał numer telefonu domowego - zastrzegł się - i prosił o wiadomość, kiedy podejmę decyzję najszybszą z możliwych. Bo też otworzy ona przede mną szerokie perspektywy: przy pomocy Alka będę mógł sobie wybrać nową pracę w moim zawodzie, w każdym tytule, w jakim zechcę, ponadto Alek od razu może podreperować mnie finansowo, bo przecież wie, że jestem bez grosza...

W domu numer telefonu Alka wpisałem sobie do notesu, tylko po to, żeby kiedyś w przyszłości móc tę historię opisać. Wielka szkoda, że ten notes w końcu mi zaginął.

Alek zadzwonił po miesiącu. Umówiłem się z nim w niedzielę w południe przed stadionem „Legii”, zapraszając na mecz.

Miejsce spotkania wybrałem nieprzypadkowo. Ubeci panicznie boją się tłumu! Ubek najlepiej czuje się w pokoju przesłuchań, pilnowany przez armię uzbrojonych funkcjonariuszy, albo na melinie, u siebie, za szczelnie zamkniętymi drzwiami. Umawiając się z Brzezińskim, doskonale pamiętałem przerażenie w oczach tajniaka sprzed dziesięciu lat, kiedy wyrzuciłem go z kawiarni pełnej zwyczajnych ludzi. Ale to były inne czasy. W trzecim miesiącu stanu wojennego sojusznikiem łapsa był każdy milicjant i każdy żołnierz. Dlatego zwaбіłem Brzezińskiego na szczelnie wypełnioną trybunę stadionu przy Łazienkowskiej. Tam już dyktowałem warunki. Były one zresztą dość łagodne. Obiecywałem Brzezińskiemu uratowanie głowy za to tylko, że raz na zawsze się ode mnie odczepi. Już wiedziałem, byłem pewien, że nie może spowodować mojego aresztowania, że nie ma na mnie żadnego haka. Powiedziałem mu, że jeżeli nadal będzie usiłował mnie niepokoić, dostanie łomot. I jeszcze, nie bez satysfakcji, dałem mu minutę na opuszczenie „Legii”, zanim poinformowani w czym rzecz kibice odbiorą mu zdrowie. Brzeziński zrozumiał i zniknął z mojego życia na zawsze. Ale nie dałbym głowy, czy i dzisiaj nie służy jako posłuszny łaps w policji, albo w nowej bezpiece, noszącej piękną nazwę Urzędu Ochrony Państwa.

REDAKCJA „SZPILEK” (Plac Trzech Krzyży 16a)

Przez ładny kawał czasu dręczyła mnie tęsknota za przynależnością do elit. Wiedziałem mniej więcej z kim chciałbym się kolegować i kto mi imponuje, a nie mam do niego dostępu, bo nie znam i nie uczyniłem czegokolwiek, żeby zostać zapoznanym.



Na początku lat siedemdziesiątych taka interesująca mnie elita intelektualna przytułiła się do redakcji tygodnika satyrycznego „Szpilki”. Była to oczywista zasługa nowo mianowanego redaktora naczelnego Krzysztofa Teodora Toeplitza, który z pisemka wiecznych humorystów uczynił „Szpilki”

pismem mądrym i właśnie - intelektualnym. Mały duży redaktor miał wiele fantastycznych pomysłów na ożywienie tego od niepamiętnych czasów prasowego trupa. A to wypchnął na Nowy Świat studentów szkoły teatralnej przebranych za żebraków, stawiając na nogi całą ubecję, bo towarzysze z KC przerazili się tą demonstracją nędzy w państwie obiecwanego dobrobytu; a to znowu wydrukował na okładce „Szpilek” kolorową reprodukcję tysiącłotowego banknotu (to było dużo pieniędzy), niby żartem namawiając czytelników do dokonania oszustwa i wylądował kratkami. Żart odniósł skutek absolutnie nieprzewidziany: faktycznie kilku wesołków skleiło sobie dwie reprodukcje w jedną całość, po czym wybrało się na zakupy. I w paru sklepach takie lewe banknoty kasjerki przyjęły. Zrobiła się straszna awantura, oszuści wylądowali w mamrze, KTT miał spore nieprzyjemności, a cenzura raz na zawsze wydała przepis, że nie wolno nigdy więcej reprodukować w prasie banknotów w naturalnym formacie i kolorze.



Tak, „Szpilki” były naprawdę znakomitym pismem, więc zamarzyłem sobie, żeby zostać jego autorem. Z ulicy przyniosłem pierwszy tekst, przyjęto go z podziękowaniem, ale po redakcyjnej lekturze wylądował w koszu. Bardzo mnie to zawstydziło, aż nagle zadzwonił pan Piotrowski, zastępca

naczelnego, prosząc mnie na rozmowę. Zrozumiałem, że złapałem szczęście za nogi. Ale, jak zwykle, odrobinę byłem spóźniony. Napisałem jakiś nowy tekst, już skierowany został do druku, gdy trzask-prask, na pana Toeplitza obrazili się towarzysze z „Białego Domu”, uznali, że zawiódł ich zaufanie i zrzucili ze stołka. Kiedy mój felietonik ukazał się w „Szpilkach”, redakcją rządził już nowy naczelny - Witold Filler. Niby się nic nie zmieniło, niby ciągle „Szpilki” były rozumne i dowcipne, ale z łamów począł zalatywać jakiś zapaszek, gazetka zaczęła się kłaniać. Już bywałem w redakcji, już bez większej emocji otwierałem drzwi szklanego boksu redaktora Piotrowskiego, ale zauważyłem, że im więcej moich tekstów w numerze, tym mniej Głowackiego, Michała Komara, Górzeńskiego. Piotrowski, uroczy gawędziarz, nie ukrywał, że nowy naczelny nie jest ulubioną postacią literacką ani jego, ani wielu dotychczasowych współpracowników, i że trzeba będzie się ewakuować. Zanim to się stało, miałem wyjątkową okazję uczestniczenia w niezapomnianej uroczystości.

Oto „Szpilkom” stuknęło czterdzieści lat i w redakcji urządzono składkowy wielki bankiet. Głównym pomysłodawcą i organizatorem był Janek Pietrzak, któremu chyba wówczas po raz pierwszy przytknięto „Egidę”, więc KTT przytulił go jako sekretarza redakcji. Za chwilę „Egida” miała zostać odwieszona i Pietrzak też już nie chciał kolegować się z Fillerem, ale bał urządzić. Stoły uginały się od żarcia, a każdy z zaproszonych sam sobie przyniósł wódkę. Było bardzo zabawnie. Zapamiętałem jednak ten bankiet jako pierwszą, wcale niezabawną demonstrację polityczną. Albowiem, gdy na parterze Filler tańczył z zaproszonymi przez siebie sekretarzami KC, w jego gabinecie na pierwszym piętrze siedział Pietrzak i coraz to nowymi nazwiskami wypełniał listę. Obok usadowił się rysownik z Katowic Andrzej Czeczot, sprawca całego zamieszania. Zdarzyło się tedy, że Czeczot, rysując co tydzień obrazek na ostatnią stronę „Literatury” narysował bandziora w masce z czasów inkwizycji, bawiącego się dyscypliną i puszką „Zyklonu B”. Pod obrazkiem w zdobnej ramce Czeczot umieścił podpis: „Teatr Ludowy w Nowej Hucie”. To nie była ilustracja dla każdego czytelnika „Literatury”, tylko dla grona wtajemniczonych. To był zamach na osobę Ryszarda Filipskiego. A kim był Filipski?

Przedziwna postać. Wówczas czterdziestoletni aktor teatrów krakowskich, bardzo dobry aktor. Trafem losu nierozpoznany w młodości jako talent popadł w nałóg i jako alkoholik dogorywał w barku naprzeciwko Teatru Starego. Aż któregoś roku Filipski wziął się za siebie, otrząsnął i z wódeczki zrezygnował. Udało mu się nadzwyczajnie, bo okazało się, że na trzeźwo jest bardzo interesujący w swojej profesji. Przy okazji, jak to bywa, Filipski oszalał. Nie mając wódki musiał sobie znaleźć nowe hobby i doszedł był do wniosku, że ojczyzna w niebezpieczeństwie, a on ją musi ratować. A przed kim? A przed Żydami! Dlatego, nie znajdując zadowolenia w rolach szekspirowskich, założył na boku własny teatrzyk „Eref” i dobrał sobie towarzyszy. Głównym pisarzem tekstów nacjonalistycznych został znany z marca'68 dziennikarz-pałkarz Ryszard Gontarz, dołączyło też paru nie spełnionych w ambicjach aktorów, wcale niezłych, i w tej trupie Filipski zaczął jeździć po Polsce, głosząc faszystowską ideologię. Z działalnością artystyczną nie miało to wiele wspólnego, za to partia, już gierkowska, popierała inicjatywę „Erefu” całym sercem. Do skandalu doszło na gościnnych występach w Warszawie, w Domu Nauczyciela na Starym Mieście, kiedy podczas spektaklu na małej scenie podniósł się z krzesła widz, ale nie byle jaki, tylko Antoni Słonimski i najzwyczajniej Filipskiego opluł!

Od tej chwili nikt z ludzi porządnych nie kolegował się z Filipskim, co mu wcale nie przeszkadzało, a raczej utwierdzało w go przekonaniu, że całym życiem umysłowym kraju rządzą syjoniści od Dajana i trzeba ich tępić.

Z Filipskim szybko skumał się reżyser filmowy Poręba, także od wielu lat cierpiący na uwiad twórczy i ten duet wyprodukował o dziwo zgrabny, ale obrzydliwie nacjonalistyczny film „Hubal”. Partia triumfowała, bo ludzie rzeczywiście tłumnie chodzili do kina, a Poręba tym się różnił od takiego np. Wajdy, że latał do komitetu po instrukcje, dotyczące wymowy ideologicznej kolejnych swoich dzieł. Prawdziwym jednak przywódcą tego artystycznego faszyzmu w peerelowskim wydaniu był Filipski i stał się postacią groźną. W końcu dostał teatr w Nowej Hucie i stamtąd straszył upiorami spiskującego światowego żydostwa, a Czeczot nieostrożnie pozwolił sobie na rysunkowy żart.

Reakcja towarzyszy była ostra. W „Literaturze” przeprowadzono czystkę, a Filipski wytoczył Czeczotowi proces, który oczywiście wygrał. I właśnie na bankiecie w „Szpilekach” Pietrzak z podsądnym zbierali dobrowolne datki na wysoką grzywnę. Uzbierało się tego chyba z kilkadziesiąt tysięcy. Filler dowiedział się o kweście i powyrzucał z pracy animatorów tej zbiórki.

Ja też nie ostałem się w „Szpilekach”, bo kiedy zaczęły się moje poważne kłopoty w KC, Filler przez osoby trzecie poinformował mnie, że dalsza współpraca go nie interesuje. Na puentę tej historyjki czekałem, choć bez emocji, drobne dziesięć lat. Jakoś zajrzałem do „Szpilek” przed Gwiazdką '85. Przetrzebiona redakcja zebrała się akurat na świątecznej wódce. Zaprosili, to się dosiadłem. I wtedy Filler, jakby nic wcześniej nie zaszło, zaproponował mi stały felieton o telewizji. Pomyślałem, że taki powrót po upływie dekady może być zabawny. I tak znalazłem się w miejscu zupełnie nieodpowiednim. „Szpilki” Fillera, zwłaszcza te po stanie wojennym, już niczym, nawet formatem nie przypominały znakomitego pisma, wypieszczonego przez KTT. Mnie pozostała przyjemność asystowania w cierpieniach konania, aż do pogrzebu. Ale pomimo wydrukowania kilkuset kawałków, z których kilka nawet lubię, najbardziej pamiętam tę zbiórkę na grzywnę dla Czeczota. To nie tylko było tak bardzo dawno temu. To było w całkiem innym świecie. Dziś Czeczot mieszka w Ameryce, a Filipski gdzieś pod Zamościem hoduje konie. No to po co nam to było?

„LEGIA” (ul. Łazienkowska, prawie nad Wisłą)

„Legia” to nazwa klubu sportowego, od zawsze pozostającego we władaniu armii, przed wojną - sanacyjnej, po wojnie - ludowej. Ale „Legia” to także symbol życia towarzyskiego. Zanim zacząłem interesować się piłką nożną, grać w „Legii” (krótko, w drużynie juniorów) i chodzić na mecze I ligi, bywałem na „Legii” za stadionem, na pierwszym w Warszawie basenie z zieloną wodą, zupełnie taką samą, jak na pocztówkach przysyłanych z Ameryki. To były lata pięćdziesiąte, telewizja była jeszcze czarno-biała i basen „Legii” to było doprawdy jedyne miejsce, kojarzące się od pierwszego wejrzenia ze zgniłym Zachodem. Wtedy wchodziłem na „Legię” przez płot, od strony Kanału Czerniakowskiego i jeżeli nie złapał mnie stróż, rozkładałem się na kocu na trawie. Natomiast jeżeli spadając z parkanu natykałem się na ciecia, to też mogłem korzystać z basenu, ale za to o zmierzchu musiałem łaską z nabitym gwoździem sprzątać śmieci pozostawione wokół basenu przez legalnych plażowiczów. Po takiej pracowitej godzinie stróż oddawał takim jak ja małym gapowiczom ciuchy i można było trolejbusem wrócić do domu. To były uczciwe reguły gry i wchodzenie na gapę na basen nie wywoływało żadnego strachu, pobudzało za to ambicje hazardzisty.

Basen „Legii” był tym miejscem, w którym wypadało bywać, więc w latach sześćdziesiątych, już na wykupionym leżaczku, zwykłem tam właśnie uczyć się do egzaminów uniwersyteckich. A na progu dorosłości dostąpiłem zaszczytu leżakowania „na betonie”, w najlepszym punkcie obiektu. Stąd do woli można się było przyglądać rozneglizowanym panienkom (bo idąc do wody musiały tędy przejść). Tu nawiązywało się bardzo atrakcyjne znajomości. No, po prostu na „Legii” świetnie rwało się dziewczyny. One zresztą po to właśnie przychodziły na basen.

Byłem młody, początkujący i, oczywiście, nie mogłem stawać w szranki z takim np. Głową, albo Olkiem Naleśnikiem, którzy tak wiele na „Legii” znaczyli, że przyjmowali panienki tylko z odpowiednimi referencjami, zupełnie tak samo, jak przyjmuje się gosposie w eleganckich domach. Ale nawet rola kibica była bardzo przyjemna. Towarzystwo na betonie zmieniało się zresztą, bo tak się porobiło, że stałych bywalców - ząbkujących dopiero rekinów rodzimej finansjery prokuratorzy pospół z milicjantami zaczęli wsadzać do mamra za interesy, stojące w sprzeczności z interesem Polski Ludowej. Zwyczajowe sprawdzanie listy obecności bywało emocją samą w sobie. Nie ma w warszawskim świątku chyba nikogo, nawet wśród emerytów (myślę o panach), kto na jakimś etapie swojego życia nie zaliczył betonu na „Legii”. Jeśli nie zaliczył, to się nie liczył.

Za moich czasów basenem rządził Kazio Mazurkiewicz, monstrualny grubas o obliczu tak szpetnym, że aż na swój sposób pięknym. Kazio był postacią jak z filmu, idealnym przeciwieństwem Janka Himilsbacha i nic dziwnego, że angażowali go wszyscy chyba liczący się reżyserzy. Kazio trzymał w ajencji leżaki, a także pokątnie handlował wódką, więc był osobą jak najbardziej z towarzystwa. Po zakończeniu sezonu przemieszczał się na Pragę, czyli do swojej dzielnicy i na Bazarze Różyckiego, zamiast leżaków, trzymał w ajencji kiszony ogórek. No i wódkę też.

Jak wszystkie istoty śmiertelne Mazurkiewicz w końcu umarł, z nadmiaru alkoholu w organizmie zresztą. I „Legia” od razu straciła na atrakcyjności. W mieście pobudowano nowe baseny, na „Warszawiance” nawet podgrzewano wodę i powoli, powoli beton na Łazienkowskiej pustoszał. Niby po dawnemu na leżakach rozkładali się ludzie, ale to już było nowe pokolenie niewiadomego

pochodzenia i zainteresowań. Zresztą, basen był coraz brudniejszy, coraz rzadziej wymieniano w nim wodę i z przyczyn choćby higienicznych plażowanie na „Legii” stało się niewskazane.

Z upływem lat częściej bywałem na stadionie piłkarskim, już w zupełnie innym, głównie męskim towarzystwie. Miałem to szczęście, że kibicowałem drużynie Kazimierza Deyny - prawdziwego artysty futbolu. Na czym polegał ten artyzm, nie sposób zdefiniować. Oglądałem dziesiątki spotkań, kiedy nawet Deyna nie był w stanie pomóc „Legii” i wygrywał kto inny. Ale zdarzały się takie chwile, kiedy na boisku istniał tylko jeden człowiek - nasz „Kaka”. Kto nie kocha piłki kopanej miłością pierwszą, nigdy nie zrozumie, o co chodzi. Nie pojmie, dlaczego w tym sporcie obraca się wielką forszą i dlaczego co jakiś czas pół świata zaczyna wariować, bo akurat nadchodzi pora Mundialu. Moje pokolenie dorastało równoległe z polską piłką nożną. Dlatego pan Kazimierz Górski za życia już po wsze czasy trafił do historii, a prawie wszyscy politycy, artyści, uczeni muszą czekać, aż umrą. Dopiero wtedy się okaże, czy cokolwiek byli warci.



Okazjonalnie „Legia” stawała się miejscem rewii mody. Głównie zresztą mody na miny, postawy, zachowania. Te nieliczne okazje stwarzały mecze tenisowe. Niestety drużyny davis-cupowej polegające na wylosowaniu w rozgrywkach eliminacyjnych którejś z silnych reprezentacji zagranicznych, było równocześnie wielkim szczęściem Warszawki. Od wczesnego ranka sunęły na korty przy Myśliwieckiej luksusowe limuzyny artystów i playboyów. Zblazowany reżyser Gruza otoczony modelkami, jak zwykle wyciszony Gustaw Holoubek, całe „lepsze towarzystwo” tłumnie oblepiające malutki taras klubowego domku. Z punktu widzenia dramaturgii byłoby najlepiej, gdyby któregoś odświętne, meczowego dnia ten taras po prostu runął, grzebiąc w gruzach okazjonalnych snobów. Bardzo długo, bywając na kortach, podświadomie czekałem na taką katastrofę. Cóż, dusza ludzka pełna jest słabości. Kiedy odkryłem, że na zapleczu tarasu, dla „lepszego towarzystwa”,

usytuowany jest dyskretny bar z darmowym wyszynkiem, nie oparłem się pokusie i stałem się jednym ze snobów. Czasami tylko z trwogą myślę, że z boku, z trybun ktoś mi się natarczywie przygląda i też w skrytości ducha marzy, że taras jednak runie...

Nie byłoby zabawy na kortach „Legii”, gdyby nie Fibak, dokładniej - młody Wojtek Fibak. Sądzę, że bardziej imponowała nam wszystkim jego kariera tenisisty, kopciuszkowatego Słowianina, wyrzucającego z kortu Borga czy Connorsa, niż późniejszego dolarowego milionera, zajętego interesami w mało czytelnym dla ludzi z Polski i w Polsce finansowym getcie. Fibak z rakietą, a nie Fibak w nienagannym garniturze oparty na dużo niższym Polańskim, to był nasz prawdziwy idol.

Warto odnotować jego dwie wielkie, kapitalne gry. W pierwszej, jeszcze nieznany, wygrał, wydawało się przegrany mecz z Węgrem Taroczym. Najpierw Polak dostawał łomot, potem mozolnie odrabiał straty, a jeszcze później zrobił się zmierzch i spotkanie trzeba było przerwać, ciągle w beznadziejnej sytuacji dla Polaka. Rankiem następnego dnia zdarzył się prawdziwy cud. Fibak wygrał nieprawdopodobne piłki. Świadców tego triumfu nie było zbyt wielu, ale sprawiedliwie trzeba oddać, że tymi najwierniejszymi jego kibicami byli głównie strojni reprezentanci Warszawki. Może dlatego, że normalni ludzie, lubiący tenisa, musieli rano iść do pracy?

Drugi wielki mecz Fibaka to było starcie z samym Bjoernem Borgiem. Szwed przyjechał do Warszawy, jak zwykle, po swoje. Rzecz ujmując dokładniej - wpadł do Polski na chwilę, i kiedy grał na „Legii”, na pasie startowym Okęcia grzał już silniki specjalnie wynajęty samolot, którym musiał się przenieść gdzieś w wielki świat, żeby punktualnie zagrać z którymś z uznanych asów o wielkie pieniądze. Musiał więc wygrać z Fibakiem szybko, na czas, żeby wyrobić się w zakontraktowanych wcześniej terminach.

Było pochmurno, siąpił deszczyk, a naładowana złością publiczność groźnie pomrukiwała. Jakbyśmy na własnej skórze odczuwali, że ten zimny, przemądrzały Szwed nas lekceważy, że ma nas w nosie. Chyba nigdy więcej Fibak nie miał tak silnego, aż szowinistycznego dopingu. Grał świetnie. Ale Borg, na złość nam wszystkim, grał jeszcze lepiej! Fibak zachował się bardzo ładnie. Dopóki miał siły, aby się bronić, nie oddał Borgowi ani jednej piłki. Kiedy jednak zrozumiał, że nie da rady człowiekowi-maszynie zdobył się na dżentelmeński gest i zmienił styl. Grał w tenisa dla samego piękna gry, a nie na punkty; z własnej woli został sparingpartnerem najlepszego tenisisty świata, prawdopodobnie w ogóle najlepszego w całej historii tego sportu. I to Fibakowi trzeba zapamiętać.

POWĄZKI (cmentarze)

To bardzo ważne miejsce, którego się nie lubi we wczesnym dzieciństwie, ale z upływem czasu cmentarz staje się coraz częstszym miejscem spotkań, bardziej z żywymi niż z umarłymi.

Trzy spotkania w różnym czasie. Pogrzeb Wacka Kisielewskiego po idiotycznym wypadku drogowym.

Wacka znałem słabo. Nie grałem z nim w karty ani zza kulis nie słuchałem jego koncertów z Markiem Tomaszewskim. Jakichś parę przypadkowych rozmów przerywanych piciem whisky marki „Ballantines” z gwinta. Wacek zawsze miał przy sobie whisky, tę najlepszą, wymyśloną przez Szkotów. A potem już tylko tłum ludzi na starych Powązkach. I Tomek Stańko improwizujący na trąbce nad otwartym grobem. Przejmujące misterium. Po jego zakończeniu spacerkiem poszedłem zadumać się pod ścianę z wmurowaną tablicą z nazwiskiem Irka Iredyńskiego.



To była jedna z najdziwniejszych moich znajomości. Kiedy moje pokolenie, w połowie lat sześćdziesiątych, zdawało maturę, Iredyński był już postacią legendarną. Właśnie siedział w więzieniu za udział w jakichś tragicznych harcach z panienkami, a może z jedną tylko panienką. W każdym razie

układ był: kilku na jedną, mało szczęśliwy, bo osóbką nie znała się na żartach. Różnie o tym incydencie słyszałem, także o tym, że był to fragment zaplanowanej prowokacji. Nie wiem.

Osobiście poznałem Irka w końcu lat siedemdziesiątych, kiedy był już uznanym i dobrze sytuowanym pisarzem, literatem całą gębą, wylegającym się we własnym domu na Grotach, tego popijającym wódeczkę, nieustannie przyjmującym wizyty gości z miasta i pisującym już wyłącznie dla kaprysu. Prawdziwe to było panisko. Słabsi wydolnościowo pod każdym względem rozgłaszali hiobowo, że za dużo pije. Co to znaczy - za dużo? Może nie mógł mniej, może nie chciał, to w końcu było jego własne życie. Ireduński, ten „mój”, zapamiętany, był w świetnej, fantastycznej formie intelektualnej. Pisał swoje najlepsze dramaty sceniczne i najlepsze słuchowiska radiowe, i państwo ludowe, choć niechętnie, musiało mu wydać powieść pod tytułem „Manipulacja”, z której Irek, jak najśluszej, był dumny. Zapamiętałem go półleżącego, niczym wschodni basza i przyjmującego gości. Gdybym teraz napisał, że mi imponował, to byłoby za mało. On mi się podobał, ten jego precyzyjnie wymyślony styl bardzo mi odpowiadał. Nie wiem, kiedy czytał, ale przekonałem się, że czytał wszystko, dosłownie pożerał książki i gazety. Czytał także to, co ja napisałem i dlatego mogłem dostąpić zaszczytu zaproszenia na Groty. To nie był dwór i Irek nie dbał o otoczenie akolitów. Po prostu pewnych ludzi lubił, innych nie. Z tymi pierwszymi mógł rozmawiać i pić wódkę. Tych drugich wyrzucał za drzwi, słowem - zachowywał się najzupełniej normalnie.

Rzadko wychodził z domu, ale zdarzyło się (już wybuchła wojna), że pojawił się w „Spatifie” w towarzystwie Bogusia Dziworskiego, zwariowanego kompletnie operatora filmowego, podobnego zresztą do Irka jak dwie krople wody. No i było jak zwykle. Ireduński nauczał, opowiadał, biadolił i rzucał „kurwami”. To były te słynne, nie do powtórzenia „kujwy”, bo Irek grasejował. Ta oczywista wada wymowy była zresztą jakby jego znakiem firmowym. Spotkaliśmy się więc przy stole i było bardzo miło, bo Irek miał jeden ze swoich dni wyjątkowej dobroci dla ludzi. A z boczku przysiadł się przyjaciel mój serdeczny, kolega Zawisza, który Ireduńskiego osobiście nie znał, ale który jako mój wspólnik w wielu przedsięwzięciach prasowych, cenionemu pisarzowi był niezłe znany. I tak się złożyło, że obaj panowie w jednym czasie spotkali się przy pisuarach, w toalecie w piwnicy. Po powrocie na górę Zawisza wyglądał jak upiór, z wytrzeszczem w jednym oku, albowiem drugie, podbite, puchło w zaskakującym tempie. Po chwili wychynął na powierzchnię zafrasowany Ireduński i z błagalną „kujwą” na ustach rozłożył ręce, zwłaszcza że już wymyślałem mu za chuligański postępek, gdyż nie ulegało wątpliwości, że to właśnie on tak urządził mi przyjaciela.

Sprawa wyjaśniła się szybko. Rzeczywiście, panowie stali przy sąsiednich pisuarach i pełen sympatii Irek zagadnął Zawiszę, czy on to właśnie Zawisza. Przyjaciel odpowiedział skinieniem głowy i wówczas Ireduński głośno pochwalił go za talent. Na co Zawisza niefrasobliwie odpowiedział: „pierdol się...” i były to ostatnie słowa w tych szczególnych okolicznościach, gdyż w sekundzie dostał pięścią w oko, przewrócił się, błyskawicznie podniósł i uciekł z toalety z widoczną raną. Puchnąc, usiadł przy stoliku i bardzo był nieszczęśliwy. Tymczasem obaj panowie złożyli wyjaśnienia incydentu i zrozumiałem, że doszło do pożałowania godnego nieporozumienia. Irek naprawdę chciał powiedzieć koledze Zawiszy komplement, ale ten z kolei, po wypitej wódeczce bardzo był rozgorączkowany, zwłaszcza że dopiero co WRON-a zamknęła nam gazetę i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek wrócimy do zawodu. Tak więc w nie najlepszym nastroju Zawisza nie docenił wartości komplementu, czym z kolei ogromnie urażony poczuł się Irek. Tym bardziej że w pochwałach nie był szczodry. Niewątpliwie zlekceważony zareagował, jak miał w zwyczaju, a trzeba przyznać, że obok talentu literackiego Ireduński miał również wielki talent do bicia. Zebrany przy stoliku sąd koleżeński uznał racje pisarza, wyrażając

jednocześnie ubolewanie nie dość czujnemu koledze Zawiszy. Salomonowym wyrokiem Iredyński skazany został na postawienie pół litra, natomiast Zawiszę zobowiązaliśmy do pozbycia się żalu, bo jednak dostał w oko na własne życzenie, i już w najlepszej zgodzie dokończyliśmy przyjęcia.

Nie mogę odżałować, że w następnych paru latach bardzo rzadko odwiedzałem Irka; jakoś nie było mi po drodze. W roku osiemdziesiątym piątym pokłóciłem się z redakcją „itd”, gdzie miałem stały tygodniowy felieton, a po paru miesiącach przeprosiliśmy się i w pierwszym tekście po przymusowej przerwie pozwoliłem sobie na zażartowanie z czytelników, którzy chyba w ogóle nie zauważyli, że na czas jakiś zniknąłem. Czyli - czytającym gamoniom jest zupełnie obojętne, kto dla nich pisze. A tu pewnego dnia Małgosia - sekretarka poinformowała mnie, że do „itd” zadzwonił pan Iredyński, żeby mi przekazać, że on zauważył i moje zniknięcie, i niespodziewany powrót do gazety. Byłem świeżo po przeprowadzce, pomyślałem więc, że trzeba przynajmniej zadzwonić do Irka, żeby mu podać nowy numer telefonu. Co prawda nigdy do mnie nie dzwonił, może raz, w nocy i tylko po to, żebym przyjechał, bo jest parę osób, z którymi powinienem się spotkać. Może więc nie dzwonić, ale po prostu pojechać na Groty. I oto robi się sytuacja jak w złym filmie. Wracam do mojego domu, myśląc o Iredyńskim, bo właśnie obejrzałem w Polskim premierę „Ołtarza wzniesionego sobie”, na dobranoc przyrzekam sobie, że jutro zadzwonię, żeby uprzedzić, że wpadnę. A rano, tuż po przebudzeniu, w wiadomościach radiowych spiker dyżurny informuje o śmierci Irka. I mija jeszcze kilka dni, i słyszę o jakichś testamentowych pieczętach, o koszmarze wiezienia trupa do Poznania, do krematorium, bo pan Iredyński zażyczył sobie, żeby go po śmierci spalić. A potem widzę tłum przed powązkowską ścianą płaczu i małą, czarną skrzyneczkę, w której dla potomności zamknięto tego dużego, silnego mężczyznę, subtelnego pisarza i poetę z nokautującym ciosem w pięści.

To stare Powązki. A w dwa lata później na dawnym cmentarzu wojskowym stałem na warcie przy trumnie Jonasza Kofty. Trochę przez przypadek, bo brakowało żałobnika do kompletu w warcie, wystawianej przez „Szpilki”. Od cholery było tych wart, bo ktoś się uparł, żeby zwariowanemu przecież Jonaszowi urządzić rządowy pogrzeb pierwszej klasy. Zdaje się, że w tym celu Rada Państwa musiała mu pośmiertnie nadać wysokie odznaczenie. Ale słusznie. Poety nie powinno się grzebać na śmietniku, a cmentarz na Wólce Węglowej jest właśnie wysypiskiem śmieci.

O tym, że Jonasz umrze było wiadomo od dwóch miesięcy. Też nieprawda! Wiadomo było od pięciu lat. Dziwnym trafem na początku wojny zbliżyliśmy się do siebie, i przez trzy dni, nie wychodząc ode mnie z domu, oglądaliśmy telewizyjne transmisje z piłkarskich mistrzostw świata. Było co oglądać. Polska zajęła trzecie miejsce. Ten bliski kontakt z Koftą to było, i jest, coś dla mnie bardzo ważnego. Latem osiemdziesiątego drugiego, po finałowym meczu wyłączyliśmy telewizor. Kofta narzucił na grzbiet zielony battle-dress i udał się na wakacje. Kiedy spotkałem go po pół roku, przeraziłem się. Stał przede mną cień Jonasza. To był rak, nie ulegało wątpliwości, nie dało się ukryć, zapomnieć, brakowało słów pocieszenia. Obecność Jonasza nieznośnie zaczynała krępować, bo wszyscy wokół udawali, że nic nadzwyczajnego się nie dzieje, że jest jak było, a tak naprawdę i my, i on widzieliśmy i wiedzieliśmy, że poeta umiera. Jonasz bronił się przed tą nieuchronną śmiercią bardzo dzielnie, najdzielniej, później różne podlece pyszczyły, że zachlewał się z rozpacz. Rozplotkowane durnie. Im bliżej było tej śmierci, Jonasz intensywnie, coraz intensywniej żył, jak prawdziwy mężczyzna.

Znam parę dziewczyn, które później po nim płakały i którym powtarzał swój ulubiony aforyzm: „nie można mieć ciastka i zjeść ciastka”. Nie można. Jeszcze pokazywał swoje nowe obrazy, bo ten skończony absolwent ASP wrócił na chwilę do malarstwa. Jeszcze podjął się dyrektorskiej funkcji na

festiwalu w Opolu i doprowadził to doroczne narodowe wycie do szczęśliwego końca. Siedzieliśmy w słynnym DST (Domu Środowisk Twórczych) w samym opolskim rynku i Jonasz opowiadał, jak pojechał w trasę z Siemionem i jak dokazywali na jakiejś upiornej chałturze. To są anegdoty nie do powtórzenia, tak jak nikt nie wskrzesi historyjek Himilsbacha i Maklaka. Jeszcze prosto ze „Spatifu”, tej naszej kaplicy modlitewnej, na kilka dosłownie miesięcy przed końcem, poszliśmy całą bandą na MDM, bo Jonasz z Kozłowskim założył swój ostatni kabaret. I przez chwilę było, jak dawniej, jak w „Egidzie” na Chmielnej, a może jeszcze dawniej - w „Hybrydach”.

Tak naprawdę Jonasz umarł w „Spatifie”. Umówił się ze znajomą dziennikareczką na wywiad, zamówił golonkę i mięso utknęło w spalonym kobaltem gardle. Stracił przytomność, zrobiła się afera, a pogotowie przyjechało dopiero po trzech kwadransach. Już faktycznie bez życia przeleżał w szpitalu na Banacha pod Kroplówką dwa miesiące. Nie było mnie wtedy w Warszawie. Ze Stefką Friedmannem zarabialiśmy na chleb w licznych domach górniczej kultury na Górnym Śląsku, tak samo jak kiedyś Jonasz z Siemionem. Martwiliśmy się; Friedmann miał po temu tytuł jakby większy, bo przyjaźnił się z Koftą od zawsze. Dwaj fachowcy prowadzący dialogi na cztery nogi. No więc wygłupialiśmy się dla górników i ich rodzin, koleżanki piosenkarki śpiewały z playbacku, a nasz menago Dzidek liczył forszę. Nie było najgorzej, ale... czekaliśmy, aby tę trasę rzucić w diabły i na wiadomy sygnał lecieć do Warszawy. Raz jeszcze Jonasz ulitował się nad nami, pozwolił skończyć pracę i zgarnąć ciężko zarobione pieniądze. Bo to był niespotykany dobry i porządny człowiek. Rimbaud, Aniele Stróżu mój...

Na Powązkach można myśleć tylko o pogrzebach. Jeszcze jeden więc pogrzeb. Co z tego, że kondukt ciągnął aż na Służewiec? Zgasł Franek Król - legendarny szatniarz ze „Spatifu”. Nasz policjant, pielęgniarz, bankier, opiekun, brat-samarytanin. Zostawił po sobie fantastycznie prosperującą firmę. Prywatny kantor wymiany wszystkiego, co wartościowe, w oficynie na Rutkowskiego, i dobrze przygotowanych do tego unikatowego zawodu synów, i długą listę dłużników, bo to był taki wyjątkowy szatniarz, że zawsze miał więcej pieniędzy, niż wszyscy goście lokalu razem wzięci. U Franka można było kupić i sprzedać wszystko: samochód, futro, obraz Van Gogha. W czasie wojny o każdej porze dnia i nocy można było zamówić litr, albo dwa, albo trzy. Wystarczyło podjechać pod dom, a już zbiegał któryś z królewiczów i podawał pięknie, jak w „Pewexie”, opakowany drobiazg. Inny epizod. Wchodzi do „Spata” dwumetrowy Piotrek Komorowski i razem z kurteczką oddaje Frankowi na przechowanie kluczyki od samochodu, bo ma daleko rozwinięte plany konsumpcyjne. A kole pónocy mu się odwidziało i już żąda kluczyków na powrót, i awanturuje się, i grozi. A Franek robi uniki, zagaduje, uśmiecha się, chowa. On wie, że to nie pora na siadanie za kierownicą. Aż raz nie wywinął się Piotrusiowi i oddać musiał. I nie zauważył Piotruś K. rozkopanej ziemi i wpadł maluchem do rowu. I przydreptał do klubu poważnie zmartwiony. Głupi pan redaktor, a pan szatniarz mądry.

Żegnało Franka we łzach bardzo dużo ludzi. W tym składzie słynne telewizyjne postaci. A cmentarni przechodnie przystawali i rozdziawiali gęby. „Panie, kogo tu chowają, kto umarł, że tacy ludzie przyszli?”. A to umarł szatniarz.

„HYBRYDY”

(klub studencki, ul. Mokotowska)

To był ostatni prawdziwy klub. Siedziało się przy stolikach, na których stały nocne lampki, przyozdobione papierowymi abażurami, a do tańca przygrywał prawdziwy zespół jazzowy. Śpiewała młodsza o dwadzieścia pięć lat i czterdzieści kilo Ewa Bem; już wtedy śpiewała precudnie, chociaż czasy były biedne. Do „Hybryd” przychodziło się nie tylko na zabawy, ale także dla zabicia czasu, na kabaret w dzień powszedni, na spotkanie z pisarzem Żukrowskim, albo na film..Do jedzenia na ciepło były pieczarki w śmietanie, bardzo niesmaczne, ale bardzo tanie.

Prawdziwą sztuką było dostać się do „Hybryd” będąc uczniem. W tym celu tworzyła się dobrana grupa i musiał być w tym towarzystwie ktoś, kto znał osobiście Henia Melomana. Henio- naprawdę nazywa się zupełnie inaczej - był pederasta i niezwykle miłym i uczynnym człowiekiem, który do „Hybryd” miał nieograniczone wejścia poza wszelką kolejnością. Młodzież lubił najzupełniej bezinteresownie i pomagał, jak mógł. Agnieszka Osiecka umieściła go w jednej ze swoich piosenek, bo to naprawdę była Postać. Nadto Henio cieszył się opinią najlepszego tancerza Warszawy. W „Hybrydach” tańczył wyłącznie z dziewczynami, bo był kulturalny, a dla tych dziewczyn takie poproszenie do tańca było prawdziwym zaszczytem.

W sobotę tłum przed „Hybrydami” blokował całą jezdnię Mokotowskiej. Jak się nie miało legitymacji studenckiej, to należało przejść na drugą stronę ulicy, do baru „Przechodniego”, gdzie na kieliszki sprzedawano najtańszą wódkę w mieście, i najtańsze piwo. Zmierzając do „Hybryd” Henio Meloman zaglądał naprzeciwko i wtedy należało się do niego przyłączyć. Bilet do „Hybryd” kosztował 10 złotych.

Klub żył swoim życiem, ale, okazało się, przeszkadzał. Na rok przed Marcem'68 dobrany duecik z „Walki Młodych” Alina Reutt-Zdzisław Andruszkiewicz popełnił cykl publikacji pod wspólnym tytułem „Hybrydowy playboy”. Cała Warszawa oszałała i młodzież od lat dziesięciu do trzydziestu szturmowała kioski „Ruchu”. Nigdy wcześniej, nawet pod hitlerowską okupacją, ani nigdy później „Walka Młodych” nie cieszyła się takim czytelnickým zainteresowaniem.

Państwo redaktorostwo raportowało z siedliska rozpusty. Podczas gdy zrzeszona w Związku Młodzieży Socjalistycznej zdrowa polska młodzież uczy się wieczorowo i pracuje, wykonując z naddatkiem zadania planowe, w „Hybrydach” dżinsowi synkowie panów dyrektorów i prywaciarskie córeczki piją i baletują. Najbardziej dostało się mojej szkolnej koleżance, wówczas już modelce, używającej pseudonimu „Giga” i Andrzejowi B., zwanemu „Bananem”. Pseudonim był całkiem niewinny, ale państwo redaktorostwo obmyśliło sobie, że jak ktoś ma ksywę „Banan”, to dlatego, że jada banany, na których to import Gomułka nie chciał się zgodzić. To właśnie wtedy narodziło się określenie „bananowa młodzież”, które rok później miało zrobić wielką karierę. Propagandowy zamach na „Hybrydy”, o czym oczywiście nie wiedzieliśmy, był próbnym ostrzałem artyleryjskim. Większe armaty miały dopiero zostać wytoczone.

Po tym donosie „Walki Młodych”, w którym prawdziwe nazwiska i pseudonimy pomieszane zostały z wymyślonymi, ale za to sprośnymi historyjkami o grach i zabawach hybrydowej młodzieży, klub profilaktycznie zamknięto i nawet zaczęło się jakieś dyscyplinarne śledztwo. Jego jedynym realnym rezultatem było wyrzucenie na bruk paru „waletów” zamieszkujących zaplecze sali widowiskowej na

pierwszym, jedynym piętrze. A co z bohaterami tej bulwersującej opowieści prasowej? „Giga” ma dziś dwoje dorastających dzieci i jest wdową. „Banan” z najwyższą chwałą ukończył poważne studia i jest znakomicie prosperującym biznesmenem w równie poważnej szwajcarskiej firmie. Towarzysz Andruszkiewicz przeszedł na emeryturę jako funkcjonariusz PZPR wysokiego szczebla. To rozejście się w dwóch odmiennych kierunkach jest u nas zjawiskiem typowym. Wszyscy wyklinani przez żandarmów realnego socjalizmu okazują się po latach porządnymi ludźmi, natomiast żandarmi jak byli, tak pozostają kreaturami.

Po starych „Hybrydach” pozostała wyłącznie nazwa. W połowie lat siedemdziesiątych paru sprawnych chłopców postanowiło odbudować zrujnowaną knajpę o pięknej nazwie „Maxim”. Odbudowali i wtedy dopiero komuniści zabrali im lokal pod pretekstem udaremnienia zamachu na pryncypia ustrojowe. Wprowadził się tam lokal „Tip-Top” Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych. Jego szef, Fredek Frondenheim, wpadł jednak w przejściowe tarapaty i całkiem przyjemny salon bankietowy rozwiązano. Wtedy przypomniano sobie, że był taki studencki klub „Hybrydy”.

Nową siedzibę dostała we władanie zupełnie inna młodzież, inaczej myśląca. Kolejne ekipy niby kultywują tradycję starych „Hybryd”, ale z marnymi efektami. Brałem udział w jednym takim spotkaniu, poświęconym wywołaniu ducha Leopolda Tyrmanda. Na sali zgromadzono paru starców - przyjaciół czarnego Lola i kilkuset gapiów, którzy nawet nie znali „Złego”. No to w ogóle z kim i o czym dyskutować..?

REDAKCJA „POLITYKI” (Muranów, ul. Dubois 7)

Kiedy zaczynałem stale czytać pierwsze dorosłe pismo tygodniowe, siedzibą redakcji była stara kamienica w miejscu, na którym później Szwedzi pobudowali hotel „Forum”, na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, a i to nie był pierwszy adres „Polityki”. Kiedy, przez czysty przypadek zresztą, „Polityka” wydrukowała mi pierwszy tekst, redakcja mieściła się już nad Egidą, na ulicy Rutkowskiego, czyli na Chmielnej. Kiedy zacząłem pisać tam często, „Polityka” zajmowała całe piętro w nowoczesnym biurowcu na Muranowie.



A ja z gotowym reportażem wszedłem tam prosto z ulicy i zapukałem uprzejmie do pokoju Urbana, który kierował działem krajowym. Urban zachował się elegancko, poczęstował papierosem, tekst położył na biurko i zapisał sobie mój numer telefonu. Po paru godzinach zadzwonił, że dzieło zostało kupione i skierowane do druku. To było coś. Żadna inna redakcja nie kultywowała takich europejskich

obyczajów. Ale akurat ten pierwszy mój reportaż w „Polityce” nie ukazał się, bo w całości zdjęta go cenzura.

Sprawa jest zabawna i dlatego warta przypomnienia. Opisałem bowiem bardzo interesującego faceta. To był fałszywy poseł. Dwudziestoparoletni chłopaczek o posturze karalucha, który kilka lat wcześniej zasłynął z tego, że postawił na baczność cały PKS w mieście Radomsku, bo przeczytał w gazecie, że autobusy się spóźniają. No to w poczuciu obywatelskiego obowiązku zrobił sobie mandat poselski i pojechał na miejsce na kontrolę. Przyjęto go tam z należytymi honorami i nawet coś się w funkcjonowaniu tych autobusów poprawiło. Podejrzenia „pan poseł” wzbudził dopiero, kiedy pojawił się ponownie z głową pełną pomysłów i innowacji. Zaczęto mu się baczniej przyglądać i zrozumiano, że to wariat, tym bardziej że Prędkie (tak się naprawdę nazywał!) swoje „poselskie” obowiązki spełniał absolutnie bezinteresownie, nawet się wzbraniał przed drobnymi prezentami, co się prawdziwym posłom nie zdarza. Dyrektor PKS wezwał więc milicję i dumny z siebie, że zdemaskował dywersanta, powiadomił o tym prasę. Wiadomość, że pojawił się ktoś jak z Gogola, a właściwie, że sytuacja powstała jak z Gogola, obiegła cały kraj i kraj, jak długi i szeroki, ryknął śmiechem. Dla Prędkiego było to o tyle istotne, że siedział w areszcie i prokurator już szykował się, żeby mu wytoczyć sprawę o sabotaż gospodarczy. Po tym, jak zaczęły o bezinteresownym „pośle” pisać gazety, Prędkiego wypuszczono na wolność i nawet nagrodzono za właściwą postawę obywatelską. Kiedy odwiedziłem go w domu w Będzinie, pięć lat później, sytuacja była zgoła inna i naprawdę poważna. Otóż fałszywy poseł nie tylko nie zaniechał społecznej działalności, lecz zaczął się zabawiać zgoła niebezpiecznie. Dowiedział się na przykład, że jednostka wojskowa w Sanoku truje ściekami całe miasto i że na wschodniej rubieży PRL wybuchła epidemia żółtaczki. Przebrał się wówczas nie tylko za posła, ale dodatkowo za posła-wojskowego prokuratora i postawił na nogi dowodzących jednostką pułkowników! Po zlokalizowaniu źródła zarazy, w studziencie na poligonie, kazał Prędkie wysadzić ją w powietrze i jeszcze zaordynował całemu stanowi osobowemu jednostki obowiązkowe szczepienia, oficerom - zgodnie z regulaminem służby sanitarnej - podwójną dawkę. Wojsko polskie w Sanoku dostało gorączki i na parę dni rozłożyło się na pryzkach. Prędkiemu groził wyrok za przestępstwa przeciwko obronności państwa.

Tekst napisałem dość zgrabnie, w konwencji żartu, a jeszcze jakichś skrótów dokonał Urban. Niestety, materiał skierowany został do 1-majowego numeru „Polityki”, a cenzura nie życzyła sobie żadnej krytyki wspaniałej rzeczywistości. Był rok 1976.

Niepocieszony napisałem jakiś nowy tekst, i następny, i tak zebrało się po kilka w miesiącu. Tym samym zyskałem status współpracownika i mogłem się przyglądać z bliska karmazynom mojej profesji.

Szczególnym uwielbieniem, ale z daleka, darzyłem panią Hannę Krall, bo pisała pięknie, jak nikt inny. Ale po poznaniu Krallówna okazała się osobą mało kontaktową i sympatyczną. Bezceremonialnie wchodziła do Urbana i przerywając wszelkie rozmowy domagała się, żeby natychmiast przeczytał jej najnowsze dzieło, bo bardzo jej zależy, bo to coś specjalnego...

Ludzie piszący zazwyczaj przywiązani są silnie do tego, co im skapnie spod pióra, ale z czymś takim jak narcyzm Krallówny nie spotkałem się nigdy. Choć pisała rzeczywiście pięknie i z tego bombardowania Urbana rodziły się reportaże pełne finezji i ukrytego sensu.

Urban fochy utalentowanej koleżanki, a chyba i przyjaciółki, znosił ze stoickim spokojem. Oczywiście dawał jej pierwszeństwo i doprawdy oboje pili sobie z dzióbków. Dziś przypominam to sobie ze złośliwą satysfakcją, pamiętając co po latach oboje mówią i piszą o sobie! Tyle tylko, że Urbana mogą bez przeszkód czytać, a obecnej prozy Krallówny już żadną miarą czytać się nie da. Czyli - słusznie już w latach siedemdziesiątych Urban był w „Polityce” kierownikiem.

Karmazyni byli nie tylko piękni i wspaniali, ale też bardzo pewni siebie. Mieli luksusowe warunki pracy, wszystko im było wolno. Ale rzeczywiście chyba dobrali się najlepsi i robili znakomite pismo.

Od kuchni redakcyjnej wyglądało to trochę gorzej. Kiedyś, Urban pojechał chyba na urlop, Andrzej Krzysztof Wróblewski, którego znałem, będąc jeszcze dzieckiem, kompletnie zmienił mi sens reportażu o osiedlu mieszkaniowym w Krakowie. Nieważna się okazała prawda, tylko układ „Polityki” z władzą. „Polityka” manipulowała nastrojami, tak jak jej kazał Rakowski, a jemu z kolei nakazywali towarzysze z KC.

U Rakowskiego w gabinecie byłem jeden raz. Zaprowadził mnie do niego Urban, który chciał mi pomóc w trudnej sytuacji życiowej i nawet zatrudnić w „Polityce” na stałe, ale po wykonaniu pewnego manewru. Obmyślił sobie mianowicie, że mnie zabierze ze „Sztandaru”, skąd mnie już zresztą wyrzucił Łukasiewicz, ale z etatem! Chciał zabrać człowieka z przypisaną mu w RSW forsą. Ten manewr się nie udał, i dopiero wtedy, widząc co się święci, Łukasiewicz napisał na mnie donos do towarzyszy.

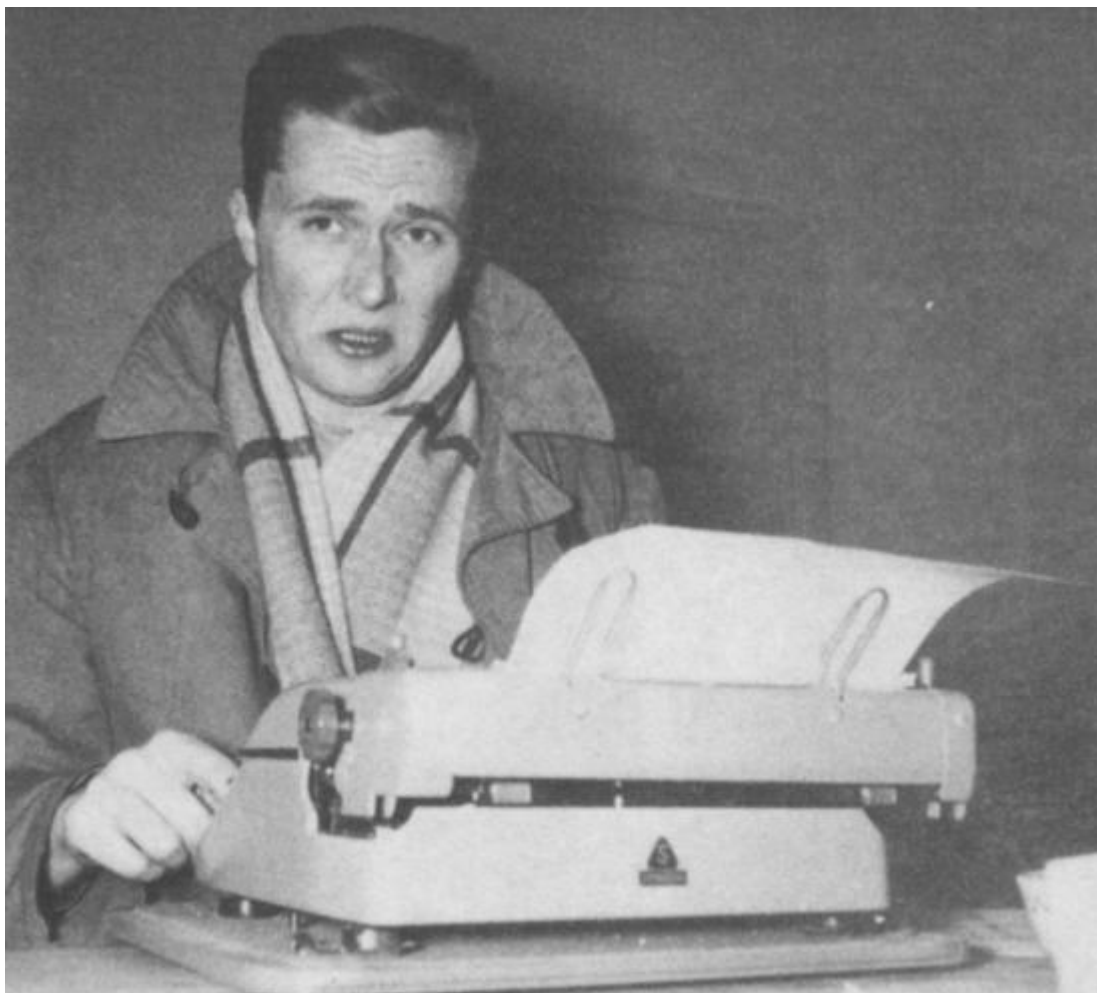
Z perspektywy uważam, że chyba dobrze się stało, ale wtedy byłem jednak na dnie rozpacz: nie wyobrażałem sobie lepszego miejsca do pisania, niż „Polityka”.

No więc zaleźniony pojawiłem się u Rakowskiego, a przyszły pechowy premier zachowywał się wyniośle i chyba nie bardzo nawet interesowało go, co mam do powiedzenia. Nie mogłem mieć złudzeń. Wiedziałem, że nie stanie w mojej obronie, nie odkręci afery w KC, nie kiwnie palcem. Zresztą bardzo szybko sam miał wpaść w bardzo poważne tarapaty i to właśnie za sprawą Łukasiewicza, któremu prawdopodobnie marzyło się zajęcie fotela Fraka.

Pozostałem zatem bezrobotnym współpracownikiem najlepszego tygodnika. To i tak było niemało, bo nazwisko zaczynało coś znaczyć w branży. Minęły trzy następne lata i nagle pewnego razu odechciało mi się pisać dla „Polityki”, jakbym wyrósł już z tej fascynacji. Chyba wyleczyłem się z marzeń.

DOM PRACY TWÓRCZEJ ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH (Obory, Warszawa - Konstancin)

We współczesnej literaturze polskiej najaktywniej uczestniczyłem, będąc bardzo nieletnim dzieckiem. Niestety, wyłącznie jako osoba towarzysząca. Do Obór jeździło się wtedy jakoś szalenie skomplikowanie: kolejką do Klarysewa, a może aż do Jeziorny, a później znajomi dorośli dowozili do Obór autem marki „Warszawa”. Lubiłem te wyjazdy i nie lubiłem ich, a to dlatego, że w Oborach koniecznie trzeba było zachowywać się cicho, ale, zdaje się, dotyczyło to wyłącznie mnie. Wieczorami nie mogłem zasnąć, bo przez ściany pokoju zaściankowego dworku nieznanymi mi prześladowcami tłukli w klawisze maszyn do pisania, albo, co gorsza, zachowywali się właśnie głośno. Swoistym paradoksem - pierwszymi słowami brzydkich i powszechnie uznanych za obelżywe nauczyłem się właśnie z tych nocnych nasłuchów. Pociuszające jest to wyłącznie, że pierwszymi nauczycielami byli najwybitniejsi polscy pisarze współcześni.



Po niewczynie żałuję, że literaturą zainteresowałem się za późno. Oto bardzo częstym gościem w moim domu rodzinnym był wysoki i piękny pan Marek. Bardzo go lubiłem, bo przy jakiejś okazji kupił mi w prezencie dwulufową strzelbę, a jak miał dobry humor, to brał mnie na barana i patrzyłem na pokój prawie spod sufitu. Bardzo mi jeszcze imponowały tatuaże pana Marka, różne fantazyjne malunki na jego potężnych bicepsach. Pan Marek pojawiał się dość często. Kiedy brakowało go na

obiedzie, rodzice z troską dyskutowali na jego temat. Z tych rozmów dowiedziałem się, że pan Marek pije, ale nijak nie mogłem zrozumieć, dlaczego jest to powód do zmartwienia. Przecież każdy człowiek musi pić, tak samo, jak jeść. Ale któregoś dnia pan Marek strasznie mi podpadł. To się zdarzyło właśnie w Oborach. Lubiłem tamtejsze obiady nie za przyczyną wykwinności potraw, lecz z powodu deserów, najczęściej wielkich ciastek. I właśnie tego dnia, pan Marek, który zazwyczaj odstępował mi swój deser, zjadł dwa ciastka. Swoje i moje! Rozdarłem się przeraźliwie. On przeprosił mnie, wyjaśniając, że się napił i jest bardzo głodny, po czym sobie gdzieś poszedł, a ja wyłem nadal. Ten bolesny epizod przechowywałem w pamięci lat aż piętnaście. Przeczytałem książkę, która nosiła tytuł „Pierwszy krok w chmurach” i bardzo zatęskniłem za panem Markiem. I ta tęsknota towarzyszyła mi jeszcze później, przy okazji lektur wszystkich książek, które napisał pan Marek. Bo to był Marek Hłasko. Tak jest, zaliczam się do szczególnego towarzystwa hłaskoidów i bardzo żałuję, że o czynach mojego idola w „Kameralnej” słuchałem wyłącznie przy obiedzie, że nie mogłem razem z nim uczestniczyć w tych balangach, zwłaszcza że byliśmy dobrymi kolegami.

O ile na Hłasce poznałem się za późno, o tyle mojemu Ojcu zawdzięczam wczesną znajomość najpiękniejszej poezji rewolucyjnej. To też wiąże się z Oborami.

Przyjechaliśmy na miejsce w południe, było bardzo ciepło i świeciło słońce. Przed czworakami stało wielu dorosłych, z ożywieniem o czymś rozmawiających. I wtedy Ojciec podniósł mnie w górę i kazał patrzeć w wybrane okno na pierwszym piętrze. Pamiętam to okno, jak dziś, otwarte na oścież, wypełnione czymś, co wydało mi się... dużą pupą. „Tak jest! - przyklasnął tatuś. - Zapamiętaj, synku, to jest pupa największego polskiego poety rewolucyjnego...”.

Tak było w istocie. Sterany przeciwnościami losu, śmiercią ukochanej córki i przymusowym pobytem w wariatkowie, sam Władysław Broniewski zdobył się na taki protest wobec świata i ludzi. Po paru latach, będąc uczniem trzeciej klasy, bezbłędnie rozpoznałem jego twarz na fotografii w „Wypisach z języka polskiego”. I pokochałem na zawsze przepiękne wiersze Broniewskiego, bardzo wielu nauczyłem się na pamięć. Do szkoły chodziłem na Krakowskie Przedmieście i z wielką przyjemnością zimowym popołudniem rozpoznałem Władysława Broniewskiego wśród przechodniów przy schodach ruchomych. A w parę tygodni później, w szkole i w telewizji ogłoszono żałobę, bo Broniewski umarł. Z własnej, nieprzymuszonej woli poszedłem do Pałacu Prymasowskiego na Senatorską, żeby przejść obok otwartej trumny. Po prostu wypadało pożegnać na zawsze starego znajomego.

Do Obór przyjeżdżam często, zawsze, kiedy pragnę być sam. Patrzę na taras, gdzie Hłasko zjadł mi ciastko i w okno, w którym Władysław Broniewski wypiął się na cały świat, ściągając uprzednio spodnie. I obiecuję sobie, że kiedy będę mieć dużo pieniędzy, ufunduję tablicę pamiątkową dla tego niecodziennego wydarzenia. Kto jak kto, ale Władysław Broniewski na nią zasługuje.

Innych literatów unikałem, chociaż w latach siedemdziesiątych w dobrym tonie było bywać na tanich obiadach w piwnicznej stołówce ZLP. Przy okazji można było podpisać jakiś protest, albo kupić pierwsze, prymitywne jeszcze odbitki „Zapisu” i innych druków drugiego obiegu. Ale nie opuszczało mnie rozczarowanie, że żaden z tych siorbiących zupkę panów literatów, podnosząc głowę przeciw gierkowskiej pezetpeerii, nie odważył się jednak uczynić tego, co spontanicznie wykonał Władysław Broniewski w bardziej niebezpiecznych, bo stalinowskich czasach.

CENTRUM TELEWIZJI POLSKIEJ (ul. Woronicza 17, Daleki Mokotów)

W telewizji pojawiłem się późno i bez większej przyjemności, bo już wszystko tam i dookoła było po prostu nijakie. Ale debiut był pamiętny. Zawdzięczam go Stefanowi Szlachtyczowi, który zatrudnił mnie jako aktora-epizodystę w widowisku sensacyjnym „Długie pożegnanie” według Chandlera. Poczuję się jak prawdziwy artysta, bo z wyprzedzeniem zadzwoniła do mnie pani kierowniczka produkcji i zaprosiła na uroczystość podpisania umowy. To był rok 1981 i pobiegłem rączo, gdyż bardzo ciekaw byłem, jak też wygląda na Woronicza krajobraz po Szczepańskim. Prezes-kat siedział już w areszcie, a jego załoga odnawiała się politycznie w ekspresowym tempie. Klucząc korytarzami co kilkadziesiąt metrów natykałem się na dwu-trzyosobowe bojówki permanentnej akcji strajkowej. Panie i panowie redaktorostwo, nie przerywając pracy zawodowej, obnosiło biało-czerwone opaski ze znakiem „Solidarność” i transparenty z hasłami o konieczności odzyskania przez TVP wiarygodności. Natenczas sam byłem aktywistą ruchu odnowy w środkach masowego przekazu, więc czułem się w obowiązku solidarnymi ukłonami wspierać słuszny protest. Tak zginając się i podnosząc dotarłem do redakcji teatralnej, z satysfakcją podpisałem potrzebne kwity i nawet w kasie pobrałem stosowną zaliczkę na poczet honorarium. Za trzy dni wyznaczona została próba w sali o wdzięcznej nazwie „Pola” a za dwa tygodnie miała się zacząć rejestracja przedstawienia. Dostałem tekst do nauczenia. Miałem być detektywem Daytonem, mrocznym typem z kalifornijskiej policji, o którym - z woli Chandlera - Phil Marlowe tak opowiada:

Dayton bardzo starannie odłożył na bok notes i długopis, podniósł się i z niebezpiecznym błyskiem w oku podszedł do mnie - Wstawaj, cwaniaku. Myślisz, że ponieważ chodziłem do college'u to muszę teraz wysłuchiwać bredni od każdego durnia...

Zacząłem się podnosić. Jeszcze nie zdążyłem stanąć dobrze na nogach, kiedy rąbnął mnie z lewej i dołożył z prawej. Zadzwoniło mi w uszach, ale nie był to dzwonek na kolację Usiadłem i potrząsnąłem głową. Dayton stał ciągle przede mną z uśmiechem na twarzy...”.

Jakież dziwny zbieg okoliczności. Tłumaczem z angielskiego tego tekstu był Krzysztof Klinger, nienaganny w manierach i ubiorze starszy pan, pełniący w tym czasie funkcję sekretarza zarządu głównego odnowionego rewolucyjnie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. I on jeden z członków władz SDP, nie wiedzieć czemu, w grudniową noc trzynastego został przez WRON-ę internowany. Nikt nie wiedział, że Klinger jest ciężko chory na serce i że taka niespodziewana emocja rujnuje mu zdrowie. Wypuszczono go dość szybko, ale jednak za późno. Chyba jeszcze w stanie wojennym Klinger umarł na serce, pozornie bez związku z wyczynami panów generałów. Nie doczekał się nawet należnych tantiem z racji wykorzystania jego tłumaczenia „Długiego pożegnania” w telewizji. Bo właśnie tak się jakoś porobiło, że w wyznaczonym terminie nie było rejestracji, a już za chwilę wybuchła wojna. I oto w nowym roku, ale już po przywróceniu połączeń telefonicznych dzwonią do mnie z telewizji, że mam się stawić na nagraniu. Ani mi się śniło. Co prawda nie byłem aktorem, ale przecież ogłoszono bojkot. Zresztą, wyjaśniłem pani producentce, nikt nie przyjdzie, bo TVP jest w żołdackiej niewoli. Ale dobra kobieta udzieliła mi niezbędnych wyjaśnień. Po pierwsze - podpisałem umowę i na tej podstawie mogę w przypadku odmowy uczestnictwa w całym przedsięwzięciu ponieść surowe konsekwencje nie tylko dyscyplinarne, ale głównie - finansowe. Po drugie - bojkot, owszem, jest, ale ktoś gdzieś

uzgodnił, żeby artyści zaangażowani do telewizji przed wojną, dla własnego spokoju dokończyli pracy, jaką mają do zrobienia, i nie będzie im to policzone po stronie winy.



W prominentnym gronie na spotkaniu z niewolnicą Isaurą (1985)

Rzeczywiście. Wyznaczonego dnia przy wartowni zajętej przez uzbrojonych po zęby komandosów zaczęli się schodzić prawdziwi artyści, wściekli i jednak odrobinę przerażeni. Oni - zawodowi aktorzy byli w gorszej jeszcze sytuacji, niż ja. Przed samą wojną zdążyli zarejestrować parę scen i już zostali zagrzebani w tej produkcji. Stał więc na mrozie i cierpliwie czekał zielony ze zdenerwowania Olo Łukaszewicz, i Pyrkosz odgrywający Marlowe'a, i Tesarz, i Obertyn. Ludzie w sytuacji bez awaryjnego wyjścia.

W końcu weszliśmy. Holował nas oficer łącznikowy, w wartowni wewnętrznej, już w bloku F bardzo dokładnie spisano z dowodów osobistych nasze personalia i inny oficer łącznikowy poprowadził nas do garderoby. Było zimowe popołudnie, już ciemno, a my szliśmy korytarzami po wymarłym gmachu, jak po groźnym labiryncie. Upiorne wrażenie, bo ten gmach telewizji, jeszcze tak niedawno rozhałasowany, rozprotestowany i oplakatowany robił teraz wrażenie warownej twierdzy.

W garderobie czekał na nas Szlachtycz i powiedział bardzo mądrze, że nie ma co rozpaczać, tylko jak najszybciej uwinąć się z robotą i spierdalać. Jeszcze przeprosił za to, że nas wrobił w te występy, ale kto mógł wiedzieć, co się w Polsce porobi. Zagraliśmy, co kto miał, a Stefan to potem zmontował w

całkiem udatną całość. Emisja „Długiego pożegnania” odbyła się dopiero po roku i oczywiście w wodzowie telewizji usiłowali nas wrobić, redagując notę wstępną, że jest to spektakl premierowy, choć bojkot ciągle obowiązywał. Na szczęście działała też poczta pantoflowa i kto miał znać kulisy tego przedstawienia, ten wszystkiego się dowiedział. Nie tak dawno „Długie pożegnanie” pojawiło się raz jeszcze w cyklu powtórkowych inscenizacji kryminalnych powieści Chandlera. Całkiem miły spektakl, nie wywołujący żadnych przykrych skojarzeń. Ale cośmy przeżyli, to nasze i nikt nam tego nie odbierze.



We Wrocławiu z reżyserem Gackiem Strzemżalskim kręcimy film (1982)

W 1982 roku zawitałem na dłużej do Wrocławia, a to za przyczyną filmu telewizyjnego, w którym dostałem dość poważną rolę, co z kolei wiązało się z uczciwym zarobkiem nie najgorszych, jak na tamte trudne czasy, pieniędzy.

Film był totalnie głupi, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Ekipa rozgościła się w hotelu „Panorama”, i bardzo słusznie, bo właśnie miałem pełną panoramę wypadków, jakie się miały rozegrać w kolejną „miesięcznicę” ogłoszenia stanu wojennego. Ta „miesięcznica” była dodatkowo nerwowa; z uwagi na aresztowania liderów tamtejszej „S”, jak i z tego powodu, że równocześnie niemy Sejm bez oporu posłów, z wyjątkiem jednego, uchwalił nową ustawę o związkach zawodowych, więc właśnie delegalizował „Solidarność”. Tym jedynym odważnym posłem był pan Romuald Bukowski z Gdyni, które to nazwisko podaję dla potomności, bo nie zauważam go w panteonie współczesnych bohaterów.

Wtedy, we Wrocławiu, jak na dłoni było widać, do czego zdolna jest pewna swej bezkarności policja. Zwarte oddziały ZOMO napadały nie tylko na ludzi stojących na przystankach, ale na całe wypełnione szczelnie pasażerami autobusy, po to tylko, żeby wpakować do środka serię gazowych pocisków albo spałować bezbronnymi.

„Miesięcznica” minęła, a my wróciliśmy na plan zdjęciowy filmu. Sama realizacja zyskała nawet niejaką sławę, bo to właśnie u nas kaskader Wołejko - zamiast artysty Jacka Strzemżalskiego - za gażę 20 tysięcy złotych (ówczesnych!) spadał na plecy z piątego piętra, po uprzednim wdrapaniu się po zewnętrznym piorunochronie budynku akademika. Większe emocje ekipa przeżywała codziennie rano, kiedy okazywało się, że nie można odnaleźć Himilsbacha. Janek w tym filmie odgrywał poważną rolę ciecia. Już prawie nie mógł chodzić, ale sobie tylko znanym sposobem, gdziekolwiek się pojawił znajdował kumpli do kieliszka i oni wywozili go z hotelu na zupełnie nieprawdopodobne mety. Dlatego całość wolnego czasu wszyscy filmowcy poświęcali na myszkowanie po Wrocławiu, na odwiedzinach jakichś piwnic, właśnie jak z filmu, gdzie przy koślawym stole w otoczeniu facetów, na których sam widok można było zemdleć, ów wybitny prozaik raczył się alkoholem. Poza tym już trzeciego dnia do kierownika produkcji zgłosił się kierownik pewnej restauracji z portfelem Himilsbacha. W środku nie było pieniędzy, bo nie było ich nigdy. Tylko dokumenty. Ten portfel zresztą osobiście wręczył kierownikowi restauracji sam Janek, informując uprzejmie, że za odniesienie zguby pod wskazany adres, kierownik otrzyma kwotę satysfakcjonującą go, czyli wyższą od nie zapłaconego rachunku. Nasz przerażony producent zapłacił i zwrócił portfel Jasiowi. Na swoje nieszczęście, bo już nazajutrz z tym samym portfelem pojawił się inny kierownik, z całkiem innej restauracji. Ale na tym właśnie polegał niepowtarzalny wdzięk Janka Himilsbacha. We Wrocławiu, obserwując z okna milicyjną zadymę, opowiedział mi, że taką samą widział 5 maja na Placu Zamkowym w Warszawie. Jasio opowiadał plastycznie. „Z jednej strony kolumny stał oddział uzbrojonych po zęby zeksów, z drugiej lud pracujący stolicy. I dowódca tych psów w kokilce na łbie pluł do szczekaczki: ludu pracujący stolicy, proszę się rozejść! A lud pracujący stolicy na to: taki chuj! Na to ten oberpies: ludu pracujący stolicy, proszę się rozejść, bo będziemy strzelać! I woła: ognia! A oni, ci mundurowi leją wodę...”. W tym miejscu ceniony prozaik, jak to miał w zwyczaju, zasępił się i zamyślił na chwilę parę, po czym dodał: „Patrz Atlasik, jakie chuje...”.



W tym niezapomnianym filmie odgrywać miałem rolę działacza młodzieżowego o pseudonimie „Prezes”. Wedle słów reżysera miał to być wyjątkowy skurwysyn. Taki Świrgoń przypomniał sobie twórca. Po dwóch latach w godzinach późnowieczornych film pokazała Telewizja Polska. Pokraczne było to dzieło, nieprofesjonalne i niezrozumiałe. Ale później, w nekrologach poświęconych Himilbachowi podkreślano, że właśnie tam odegrał ostatnią ze swoich filmowych ról. Od dość dawna nie ma już wśród żyjących Jasia, a reżyser Wojtek-Gacek Strzemżalski też przeniósł się do lepszego ze światów, więc tak sobie myślę: bardzo dobrze, że zagrałem w tym nieudanym filmie, choć żaden z nielicznych jego widzów, nawet ja sam, zapewne nie pomyślał, że gram skurwysyna, i to Świrgonia na dokładkę.

Telewizja powojenna nie była już groźna, tylko - śmieszna. Miałem z Woronicza dużo propozycji i zrobiłem parę setek najróżniejszych programów, z czego osiemdziesiąt w cotygodniowym cyklu - półtora roku roboty bez przerwy. Niby było normalnie, ale nie do końca. Cenzura wewnętrzna sięgnęła szczytów absurdu. Na dokładkę skończyły się w telewizji nieźłe pieniądze, jakie można było zarobić na różnych zakrętach historii. Wybranego dnia wszedłem do studia, znajomi operatorzy ładnie mnie skadrowali, a ja bez żalu zamknąłem swoje malutkie telewizyjne okienko. Nigdy później już nie tęskniłem za telewizją i nie odczuwam żadnej potrzeby występów, co, niestety, jest chorobą ludzi dłużej na Woronicza przebywających. Oni już muszą, bo telewizja jest nałogiem strasznym, więc bardzo trudno uleczalnym, pomimo zawsze obrzydliwej atmosfery i międzyludzkich stosunków na Woronicza.

POLSKIE RADIO, „TRÓJKA”

(ul. Myśliwiecka 3/5/7)

Pierwszy rok stanu wojennego, zwłaszcza pierwsze miesiące, to był czas prawdziwie beznadziejny. Nic się nie działo; radia nie dało się słuchać, a telewizji oglądać. Poza tym było biednie i wódka na kartki. Dzień po dniu nadawał się do wyrzucenia na śmietnik. To był tak głęboki psychiczny dotyk, że nie miałem najmniejszej ochoty, żeby robić cokolwiek. Przez całą wiosnę nie napisałem ani jednego słowa. I nagle w ciemnym tunelu błysnęło światło. Chłopcy z radia zaproponowali mi współpracę z nową redakcją programu III.

Oczywiście, udawaliśmy, że nic szczególnego się nie stało! Puszczaliśmy świetną muzykę i różne pogaduszki na temat idiotyzmów życia społecznego, starannie omijając temat najważniejszy, czyli rządy WRON-y. Najzdolniejszy z nas i, ze względów osobistych, najbardziej radykalny Grześ Dobiecki zbuntował się.

Otwarcie powiedział, że nie ma ani ochoty, ani siły, żeby się wygłupiać, i wypisał się z radia. Myślał już zresztą wyłącznie o tym, żeby wyjechać do Paryża. Przez trzy miesiące kibicował nam jeszcze z dość kwaśną miną i kwaśnym komentarzem, a potem wyemigrował. We Francji znalazł się zresztą w grupie, która szybko zrobiła najlepsze za granicą dywersyjne radio - RFI i tym sposobem ocalił niewinność. Bardzo go szanuję choć, zdaje się, że on osobiście z kombatanckim życiorysem nie czuje się tak świetnie.

Tak więc bawiłem się w radio, ale przy okazji zacząłem zarabiać jakieś całkiem przyzwoite pieniądze. A jesienią bardzo już wśród młodzieży popularna redakcja „Zapraszamy do »Trójki«” pojechała na wycieczkę w Zamojskie na otwarcie klubu młodzieży wiejskiej. Miał być koncert, ale najpierw był bankiet, a potem na scenie pojawiliśmy się we dwójkę z kolegą Jarosławem K., silnie podhumorzeni i stało się nieszczęście. Otóż wbrew oczekiwaniom na tym koncercie było nudno, więc żeby rozruszać salę opowiedzieliśmy dowcip, który właśnie dopiero co został wymyślony i bardzo się nam podobał. Tak naprawdę dowcip był dość prymitywny. Za to o Jaruzelskim! Ze idzie sobie oto ulicą (już to był czysty surrealizm!) w towarzystwie żony i ogląda się za dziewczyną w mini. Na to pani Jaruzelska pac generała w papę! Na to z drugiej strony ulicy nadbiega jakaś kobieta i łubudu ojca narodu z drugiej strony w gębę! To z kolei oburzyło panią Jaruzelską, więc pyta: za co pani bije mojego męża?! A kobieta zmieszana odpowiada: bardzo przepraszam, ale myślałam, że już się zaczęło... Tyle.

Dowcip, co nas z Jarkiem cokolwiek zdziwiło, nie wstrząsnął salą, ale też nikogo nie oburzył. Z jednym wyjątkiem. Oto towarzyszył nam w wycieczce towarzysz Karaś, niedorobiony reporter z ambicjami literackimi tak sporymi, że aż został sekretarzem POP w ZLP. I właśnie ten wierny syn partii zerwał się na równe nogi i zaczął wrzeszczeć, że to skandal, dywersja i obraza świętej władzy! Gościnni gospodarze próbowali go uspokoić, ale ja - szkoda, że po niewczasie - wiedziałem już, że rozróżba dopiero się zaczyna i będą spore kłopoty. Oczywiście tak się stało. Po powrocie do Warszawy, Karaś zakapował nas, gdzie tylko można i jeszcze opisał na łamach „Przeglądu Tygodniowego”. Jarek, który w Trójce był na etacie, wyleciał z hukiem z pracy. Mnie też oczywiście podziękowano za współpracę. Nie to było jednak najgorsze. Otóż ta sprawa ciągle trwała! Wiedziałem, że każdy następny dzień rozrabiania jej przybliży mnie do śmierci cywilnej i jakoś to trzeba było przerwać. Nieoczekiwanie pomógł mi w tym kapuś Karaś, który w literackim zapale podkoloryzował swoją relację i uczynił mnie

prawie przywódcą powstania antyjaruzelskiego. To był dobry pretekst, żeby go pozwać do sądu o zniesławienie. Ogłosiłem więc w prasie, że oszczercę wlokę na proces i sprawa przycichła, przynajmniej do prawnego rozstrzygnięcia.

Ten jeden, jedyny raz ja pozywałem do sądu, a nie byłem pozywany.

Odbyło się kilka rozpraw. Poza tym, że mój pełnomocnik - mecenas Mirek B., notorycznie stawał przed sądem nietrzeźwy, byłem górą wobec nieprzytomnych oszczerstw Karasia. Wreszcie adwokaci obu stron, za namową sądu, wynegocjowali śmieszłą ugodę, co znowu dla mnie było korzystniejsze, bo przecież cały proces wywołany został tylko po to, żeby Karasiowi zamknąć gębę. Nie on, lecz ja w oczywisty sposób zniesławiłem dyktatora stanu wojennego.

Dziś Karaś boi się wyjść z domu, bo w tych podłych czasach zakapował jeszcze wielu innych ludzi. Ja mam tylko o jeden epizod bogatszy życiorys, a pozbawiony pracy kolega Jarek K. skorzystał z pierwszej okazji, żeby w Holandii poprosić o azyl. Został programistą komputerowym i kiedy czasami dzwoni, słyszę głos zadowolonego z siebie obywatela świata. Karasiowi nawet do łba nie przyjdzie, że donosicielstwem swoim w tym paskudnym czasie zafundował jednemu inteligentnemu facetowi prawdziwą wolność.

IZBA WYTRZEŻWIEŃ (ul. Kolska, w drodze na Powązki)

Byłem jeszcze młodym, ambitnym reporterem, kiedy wpadł mi do głowy pomysł, żeby napisać o tym, co naprawdę dzieje się w Izbie Wytrzeźwień, czyli w „żłobku”. Miałem prawo uważać się za eksperta w tej sprawie, bo już poznałem uroki knajpy, a poza tym udało mi się dostać, w dodatku w celach wyłącznie dziennikarskich, na oddział leczenia alkoholików w zakładzie dla psychicznie chorych w Drewnicy, następnej stacji za Warszawą Wileńską. Tam urzędował oddany sprawie leczenia garusów lekarz i właśnie z przepicia umarł mu stały pacjent. Zainteresowała mnie postać doktora, któremu, pomimo najlepszych chęci, nie udaje się uratować słabego człowieka. Przegadaliśmy godzinę, i to właśnie od niego wyszedł pomysł, żebym niespodziewanie, prosto z ulicy pojawił się na jego oddziale. Poza ordynatorem nikt, żadna pielęgniarka, ani żaden inny lekarz, nie mieli pojęcia o tej mistyfikacji.



W Drewnicy bawiłem tydzień, a potem napisałem duże cover-story do „Polityki”. Nawet się to podobało, ale któregoś wieczoru dosiadł się do mnie przy barze inteligentny alkoholik i wypunktował mnie jak mistrz boksu chłopaka po pierwszym kroku bokserskim. Udowodnił, że jestem drobnym pijaczkiem, nie mającym kompletnie pojęcia o problemie alkoholowym i właściwie nie rozumiejącym, dlaczego tak dużo ludzi pije nałogowo, jak każdego słabo rozumiejącego kibica interesuje mnie wyłącznie skutek, a nie przyczyna. I dokładnie jest mi obojętne, co się naprawdę z tymi nieszczęśliwcami dzieje. Jestem pęta i efekciarz, więc szkodnik, a mój tekst stanowi zaproszenie do nagonki na ludzi pijących dlatego, że nie potrafią się już zatrzymać. Stuknął się ze mną kieliszkiem i pożegłował w noc własnym halsem. Ta druzgocąca recenzja naprawdę mnie zmartwiła. Dla spokoju sumienia postanowiłem naprawie błąd. Właśnie pobyt w „żłobku” miał być odkupieniem wielkiej winy. Wiedziałem już, że należy przyglądać się nie pijakom, ale całej armii ich wrogów, masie silnych, którzy na trzeźwo wykańczają słabeuszy.

Tym razem nie mogło być już mowy o jakichkolwiek uzgodnieniach z lekarzami. Trzeba się było dać zwinąć milicji, sprowokować awanturę, albo jakoś inaczej publicznie wygłupić. A to wcale nie było takie proste. Miałem więc pomysł i nosiłem się z nim, czekając na sprzyjającą okoliczność losu.

13 września 1982 roku był oczywiście od rana feralny. Siedziałem w sportowym urzędzie na spędzie dziennikarzy w związku z kolejną aferą piłkarzy, a kiedy wyszedłem na słońce okazało się, że zniknął mój samochód. Życzliwy cieć poinformował, że źle zaparkowane auto zwinęła milicja. Następną parę godzin spędziłem na bieganiu pomiędzy parkingiem a komendą dzielnicową, z zakrętem na pocztę, bo trzeba było jeszcze sporo zapłacić za holowanie porwanego samochodu. Jakoś tak pod wieczór siedziałem znowu za kierownicą i wtedy przyjaciel zaproponował prywatny bankiet w odległej dzielnicy. Było dużo alkoholu, ale mało dziewczyn i dlatego postanowiłem wrócić do domu. Już na mojej ulicy, jakieś czterysta metrów od mieszkania zauważyłem w lusterku, że na zderzaku „siedzi mi” inny samochód. To był radiowóz MO, w nim trzeźwi funkcjonariusze. Bezbłędnie dokonali więc oceny i zawieźli mnie na badanie krwi, właśnie na Kolską. Ponieważ to trochę trwało, przeto miałem czas na wytrzeźwienie, przynajmniej umysł zaczął pracować mi normalnie. Zauważyłem, że dyżurny lekarz podejrzanie bełkocze, a dwaj młodzi pielęgniarze traktują zwożonych pacjentów nader surowo, ciągnąc opierających się pijaczków za nogi po ziemi, nie żałując kopów ani szturchańców. Rozum podpowiadał mi, że trzeba zachować absolutną bierność i pod żadnym pozorem nie dać się sprowokować, bo jedynym efektem buntu będzie lanie.

Przebrano mnie w jakąś cuchnącą lizolem koszulę do kolan i zamknięto w jasno oświetlonej sali. Kraty w oknach, dwa rzędy łóżek, po sześć w każdym, wszystkie ładnie zastane i tylko w jednym chrapał jakiś skulony mężczyzna. W nocy często słyszałem szcęk zasuw w drzwiach. Obudziłem się około szóstej rano i sala była już pełna. Paru facetów z obłędem w oczach spacerowało środkiem sali, od okna do drzwi, zupełnie jak długoterminowi więźniowie. Któryś w pewnej chwili zaczął walić pięściami w zamalowaną na biało stalową blachę. Po minucie drzwi się otworzyły, a do środka zajrzał wielkiej postury pielęgniarz. Moi towarzysze niedoli powiedzieli mu, że chcą wyjść, żeby zdążyć do roboty na pierwszą zmianę, ale on kazał czekać ostrzegając, że nikogo nie wypuści do kibla, bo inne sale mają pierwszeństwo. Tak przeleżeliśmy do wpół do dziewiątej. Nie odzywałem się, bo bardzo szybko zorientowałem się, że jestem obcy. To nie był dom noclegowy dla mnie i dla moich koleżków z elitarnych nocnych lokali. To był w istocie hotel robotniczy dla niewykwalifikowanych: murarzy, wózkowych z wolskich fabryk, jakichś podręcznych z wydziału wielkiego pieca Huty „Warszawa”. Oni wszyscy byli biednymi i słabo wykształconymi ludźmi. Chyba jednak nie czuli się jak ludzie, skomląc u pielęgniarza o papierosa i podlizując się, żeby wypuścić do latryny. Najbardziej porażała ich bezradność. Opowiadali sobie, że „za Gierka” było lepiej, bo budzili i wypuszczali o piątej, więc jeszcze można się było załapać na tramwaj i zdążyć na szóstą do roboty. A teraz, „za generała” to złośliwie puszczają o dziewiątej i już ani do pracy pójść, ani do domu, bo przecież nic gorszego, jak na kacu słuchać wrzasków żony. Radością promieniał tylko staruszek-handlarz butelek, któremu udała się nieprawdopodobna sztuka: poddany trzem osobistym rewizjom zdołał w zaciśniętej piąstce zachować kilka tysięcy złotych, a w tym czasie to było bardzo dużo pieniędzy. Staruszek był bardzo dumny z siebie, na głos ubliżał „psom i kurwom”, wygrażał tą samą piąstką ze szmałem, opowiadając, jak wiele razy wcześniej bito go na Kolskiej i ograbiano.

Nareszcie drzwi się otworzyły i poprowadzono nas do szatni. Przebrani we własne ciuchy ustawiliśmy się w kolejce do depozytu. Tym razem, co podobno nie było normą, nikomu z nas nic nie zginęło. No, pomyślałem, teraz na wolność! Nic z tego. Pielęgniarz zapowiedział, że przed wyjściem każdy

obowiązkowo musi odbyć rozmowę z psychologiem. Znowu nas zamknięto w kwadratowej poczekalni z dojściem do gabinetu. Stały krzesła, stół, a ściany obwieszono plakatami antyalkoholowymi. Jeden, szczególnie odrażający, przedstawiał fotografię kilkunastoletniej, przeraźliwie chudej i zapłakanej dziewczynki. Pod pełnymi też oczyma dziewczynka miała czarne wory. Całość uzupełniał dramatyczny podpis: „Tatusiu, nie pij!”. Moi towarzysze niedoli, coraz bardziej zniecierpliwieni i spragnieni piwa, znowu zaczęli spacerować wkoło. W pewnej chwili jeden zatrzymał się przed plakatem z dziewczynką i nie ukrywając cierpienia spytał: „Skąd oni, w mordę, takie smutne dzieciaki biorą?”. Zatrzymał się drugi, popatrzył się na dziewczynkę i odpowiedział: „Z sierocińca, w mordę. Za sierotą nikt się nie ujmie...”.

Nadeszła moja kolej i znalazłem się w gabinecie. Naprzeciwko w białym fartuchu siedziała pięćdziesięcioletnia pani psycholog. Miała przed sobą moją kartę meldunkową, czegoś tam się doczytywała, w końcu podniosła wzrok i zadała mi tylko jedno pytanie: „ile pan zarabia?”. Coś tam bąknąłem, pani psycholog poskrobała na karcie długopisem i nie podnosząc wzroku rzekła: „następny...”. Tak to na własnej skórze doświadczyłem wykonania zapisu ustawy sejmowej „O wychowaniu w trzeźwości”, obligatoryjnie nakładającego obowiązek przeprowadzania w izbach wytrzeźwień PRL badań psychologicznych zwalnianych alkoholików.

Zwartą gromadą wyszliśmy na ulicę, a ponieważ miałem zegarek, poinformowałem nowych kolegów, która jest godzina. Okazało się, że na wszystko było już za późno, poza możliwością napicia się piwa. Na skróty poszliśmy w kierunku baraku zamkniętego już dworca autobusowego na Żytniej. Ostał się jeszcze tylko kiosk z piwem. Stawiał staruszek-handlarz, a my znowu staliśmy w kolejce, bo były pieniądze na piwo, ale nie na droższy zastaw za kufel. Wypiłem i poszedłem do domu, a borykający się z kacem robotnicy niewykwalifikowani zostali. Prawdopodobnie paru z nich z tego piwa wróciło bezpośrednio na Kolską.



Najstraszniejszą konstatacją tej życiowej przygody było zarejestrowanie szczególnego nastroju; nastroju beznadziei. Dwie godziny zmywałem w wannie brud izby wytrzeźwień. Potem znowu biegałem po mieście, żeby nie tylko odzyskać samochód, ale także prawo jazdy. Udało się, po upokarzających wizytach w gabinetach różnych czynowników. W końcu pomógł mi wysoki rangą policjant - działacz sportowy. Zawarliśmy niepisaną umowę: on oddaje mi prawo jazdy, ja nie tykam

afery piłkarskiej, którą dzień wcześniej chciałem opisać, ale nie zdążyłem, bo właśnie zaczął się serial fatalnych wypadków.

Ale żadna umowa nie wiązała mnie z izbą wytrzeźwień i wreszcie mogłem napisać swój wymarzony reportaż. Sekretarz redakcji „Tu i Teraz” nie był wcale zachwycony pomysłem. Tłumaczył mi, że moje intencje nie są szczerze, bo dałem się złapać i pałam żądzą zemsty. Trudno było odmówić mu racji, więc kiedy usiadłem w nocy przy maszynie, wiedziałem, że muszę zachować maksimum obiektywizmu. Pomimo tych wszystkich zastrzeżeń redakcja kupiła reportaż pt. „Na Kolcu”. Podpisałem go zmyślnym nazwiskiem wiedząc, że gdybym się ujawnił, szefowie „żłobka” znajdą stu fałszywych świadków i oskarżą mnie o kradzież, albo o gwałt na dyżurnej pielęgniarence.

Tekst ukazał się drukiem i przez tydzień była cisza, nikt nie zareagował. Aż nagle Koźniewski dostał pismo od adwokata, reprezentującego dyrektora Izby Wytrzeźwień. Pismo nawoływało redaktora naczelnego do ujawnienia personaliów autora. W przeciwnym razie - groził adwokat - przed sąd postawiony zostanie Kazia, jako odpowiedzialny za publikację paszkwilu. Redakcja skontaktowała się z innym adwokatem, żeby zasięgnąć porady, z tym, że Koźniewskiemu bardzo się spodobało, iż zasiądzie na ławie oskarżonych. Ja miałem z tej nowej awantury zostać wyimpasowany. Znajomy adwokat też zapalił się do sprawy. Uważał, że Koźniewskiemu nic złego nie grozi. Izba Wytrzeźwień jest placówką bezpośrednio podległą bezpieczeństwu, więc wystarczy nadepnąć na tajemnicę resortu, a wycofa oskarżenie.

Dlatego pełnomocnik „Tu i Teraz” w zwrotnym piśmie procesowym wyjaśniał, że inkryminowany tekst znalazł się w redakcji jako list od anonimowego czytelnika i wydrukowany został przez Koźniewskiego w dobrej wierze. Nie redaktor jest więc winny ewentualnym pomówieniom personelu zastrzyżonej placówki medycznej, lecz nieznanemu autor. Jego personalia można by ujawnić, gdyby Izba Wytrzeźwień przedłożyła w sądzie listę pensjonariuszy z okresu trzech ostatnich miesięcy. Wśród tam zapisanych nazwisk musi kryć się sprawca. Jakość tekstu wskazuje, że pisał go zawodowiec, więc lista podejrzanych skróci się znacznie, i tak po nitce do kłębka zwaśnione strony dojdą prawdy. Mecenas Brych był bardzo zadowolony ze swojego sprytnego zagrania, pozostając w przekonaniu, że bezpieczeństwo na pewno nie ujawni sądowi takiej listy, skoro od lat właśnie po to prowadziła tego rodzaju statystyki, żeby różnych ludzi trzymać w szachu, stosując metody pozaprawne. Ale nikt z nas, ani tym bardziej Brych, nie mógł mieć pojęcia, jaką wściekłość wywołał mój tekst na Kolskiej. Pewne o niej wyobrażenie mogłem mieć, kiedy błyskawicznie o moim pobycie w „żłobku” oficjalnym pismem zawiadomiono wydawnictwo, czyli formalnego pracodawcę. Zgodnie z obowiązującym prawem, taką informację Izba Wytrzeźwień miała obowiązek przekazać dopiero po drugim pobycie delikwenta. Ale tym razem komendant „żłobka” bardzo szybko chciał się zemścić. To była zabawa w „kotka i myszkę”, bo oczywiście wszyscy zainteresowani wiedzieli, kto naprawdę napisał reportaż. Kwestią sporną pozostawało tylko, jak mi się dobrać do skóry.

Komendant musiał mieć dobre układy na Rakowieckiej, skoro uzyskał zgodę z centrali SB, żeby taka lista znalazła się w aktach sądowych. Odbyła się rozprawa, Koźniewski, opierając się na lasce, łgał z ławy oskarżonych jak z nut (oskarżony ma niezbywalne prawo kłamać w obronie własnej), a pełnomocnicy zwaśnionych stron naradzali się ze składem sędziowskim, które z podanych nazwisk budzi uzasadnione podejrzenia, więc właściciela wypadu powołać na następny termin. W charakterze świadka co prawda, ale z nadzieją, że się przed sądem skompromituje i ujawni.

Lista z bezpieki rzeczywiście była kompromitująca. Liczyła ze sto nazwisk, w tym dwadzieścia dobrze znanych z prasy, radia, telewizji, filmu, teatru i estrady. Z dodatkowych adnotacji wynikało np., że popularna piosenkarka klęła, więc po zaaplikowaniu wodnego bicia, umieszczono ją na noc w izolatce i w łóżku w pasach. Z kolei utalentowany literat średniego pokolenia porzygał się w pościeli, więc obciążono go dodatkowymi kosztami.

On też znalazł się wśród wytypowanych do złożenia zeznań. Wiele lat później opowiadał mi swoje przerażenie. A zaczęło się całkiem niewinnie. Pewnego dnia dostał wezwanie do sądu, bez wyjaśnienia po co, ale z formułką ostrzegającą o sankcjach za niestawienie się. No to przyszedł i przed salą spotkał dwóch znajomków, ludzi ze środowiska, podobnie jak on - ogłupiałych. A potem, z marszu, sąd zażądał szczerych zeznań na temat sposobu traktowania w Izbie Wytrzeźwień na Kolskiej. I stało się coś nieoczekiwanego: ci różni, nie przygotowani do zeznań i niewinni w całej aferze ludzie, zaczęli naprawdę szczerze opowiadać o tym, jak co noc w stołecznym mieście medyczna placówka nietykalnej bezpieki łamie osobowość zwyczajnym obywatelom, tyle że dotkniętym alkoholową słabością.

Koźniewski na ławie oskarżonych triumfował. Na zakończenie procesu wygłosił dramatyczną mowę obronną, brawurową, w istocie oskarżycielską. I Sąd Rejonowy w Warszawie uniewinnił Kazimierza Koźniewskiego! Pełnomocnik Izby Wytrzeźwień nie złożył nawet rewizji od tego wyroku. A ja wiedziałem, że trafił mi się tekst życia, nie dlatego, że wyjątkowo świetny literacko, tylko dlatego, że nie do powtórzenia. Nigdy więcej nie mogłem się po prostu znaleźć w „żłobku”.

HOTEL „MARRIOTT”

(Aleje Jerozolimskie, naprzeciw Dworca Centralnego)

21 sierpnia 1968 roku kilkuset studentów Uniwersytetu Warszawskiego, odbywających całomiesięczne szkolenie wojskowe, ściągniętych zostało w trybie alarmowym z prycz o godzinie piątej rano. To był poniedziałek i na wielkim placu apelowym zastępca dowódcy pułku do spraw politycznych poinformował nas o przyjacielskiej inwazji armii państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Był to długi, bo godzinny wykład przed śniadaniem, zakończony groźnie, gdy w kolumnach marszowych skierowano nas do centralnego magazynu, a to w celu pobrania nowych hełmów maskujących, lepszych butów i plecaków. Jeszcze tego samego dnia rozpoczęły się zajęcia z nowocześniejszą, niż wcześniej przydzieloną, bronią.

Na studentów, w przeciwieństwie do oddziałów sąsiadującej z nami służby zasadniczej, padł blady strach. Doskonale wiedzieliśmy co oznacza „przyjacielska pomoc” i oczami wyobraźni widzieliśmy już siebie na ulicach Pragi. Nikt nie miał złudzeń, że będzie tam tak samo, jak w Budapeszcie w październiku '56. Poza wszystkim mieliśmy świeżo w pamięci Marzec, co potęgowało dramat. Nikt z nas nie utożsamiał się z polityką Polski Ludowej i jej przywódcą towarzyszem Wiesławem. A teraz on miał nas wystawić na kule napadniętych zdradziecko Czechów i Słowaków.

Na szczęście już następnego dnia ustawiliśmy się w długiej kolejce do magazynu, żeby ten lepszy sprzęt oddać. Poza tym ktoś z wojskowych w stolicy wpadł na pomysł, żeby w ogóle studentów wypuścić do domu. Zaczęto więc na poligonie przygotowania do przyspieszonych egzaminów i w rezultacie skrócono nam te wojskowe wakacje. Ale nie wszystkim... Kiedy przypominam sobie ten sierpień '68, to od razu staje mi przed oczyma kolega Lejb Fogelman, syn Chaima i Rojzy. Był to bardzo inteligentny młody człowiek, którego powołanie na obóz już samo w sobie było nieporozumieniem, bo zaraz po Marcu Łońka, zachęcony przemówieniem towarzysza Gomułki, wystąpił o papiery emigracyjne. Mimo to otrzymał powołanie na obóz do Morąga, a ponieważ był człowiekiem dowcipnym, postanowił z rozkazu zrobić jedyny właściwy użytek. Natychmiast po przyjeździe zainteresował się głośno stanem wyposażenia pułku, więc profilaktycznie odsunięto go od udziału w zajęciach. Wobec takiej nieufności Łońka odmówił złożenia przysięgi wojskowej i dowództwo przychyliło się do tej prośby, ale profilaktycznie zamknęło Żyda Fogelmana w areszcie. Wolność odzyskał następnego dnia po wyjeździe studentów, to znaczy sam sobie otworzył areszt i poszedł na stację kolejową. Było to możliwe dlatego, że wcześniej upił do nieprzytomności profosa i nie miał towarzystwa do konwersacji. No to sobie wyszedł. Włos z głowy mu nie spadł i po paru miesiącach w dość licznym gronie żegnaliśmy go na Dworcu Gdańskim. Wyjeżdżający nie był ani zmartwiony, ani trzeźwy. Wprost przeciwnie. Bliskiemu przyjacielowi Florczykiewiczowi powiedział na odjeździe: „Pamiętaj Florek, że ja jadę do Ameryki. I jak byś czego potrzebował... ale tak bardzo, tak najbardziej na świecie... to sobie kup!”. Pociąg odjechał w kierunku Wiednia.

Co ma wspólnego historia Łońki z hotelem Marriott? Pół roku temu Łońka Fogelman zadzwonił do mnie do domu. Z żadnego Nowego Jorku, tylko z warszawskiego hotelu „Marriott”. Dość często bawi teraz w ojczyźnie w interesach, gdyż jest prawnikiem wielkiej amerykańskiej kompanii, która ma zamiar uszczęśliwić nas niepsującymi się centralami telefonicznymi. Żeby było zabawniej dziś Łońka, bardziej niż Żyda, przypomina bojownika słusznej sprawy arabskiej i w dniach wojny w Zatoce Perskiej kilka razy dziennie poddawano go w „Marriotcie” bardzo surowej kontroli osobistej. Przy

okazji bankietu powitalnego Łońka wygłosił przemówienie, które było jednym wielkim hołdem pod adresem nieżyjącego już, niestety, generała Mieczysława Moczara. Commercial lawyer Lejb Fogelman ogłosił, że osobiście jest wdzięczny, że generał Mietek wyrzucił go z Polski, bo dzięki temu ma dwa biura: w Nowym Jorku i w Brukseli, wakacje spędza na Bermudach, a w chwilach wolnych bankietuje. Gdyby nie wyjechał, to prawdopodobnie skończyłby jako radca prawny na prowincji, a w najlepszym przypadku jak bracia Kaczyńscy - koledzy z tego samego plutonu w studenckim wojsku.

Inna sprawa, że Łońka musiał wyjechać nie ze względu na siebie tylko ojca. Ów ojciec, jak najbardziej towarzysz Chaim Fogelman, z zawodu był czapnikiem, a w ustroju sprawiedliwości społecznej został nawet dyrektorem fabryki okryć głowy na Dolnym Śląsku. Czasy takie, że upilnować załogę było trudno i wiele kilometrów bieżących tkanin na czapki i kapelusze po prostu zniknęło. Stało się całkiem prawdopodobne, że w związku z tym zniknie za murami więzienia także towarzysz Fogelman, skazany za sabotaż gospodarczy. Co znaczy jednak głowa i pomysł. Był rok 1949 i masy pracujące Polski przygotowywały się do uroczystych obchodów 70 rocznicy urodzin Józefa Stalina. Wówczas to towarzysz Fogelman wystąpił ze śmiałą inicjatywą wykonania w prezencie dla generalissimusa największej czapki galowej, ale takiej o średnicy trzech metrów i wysokości dwóch! Inicjatywa spotkała się oczywiście z przychylnym stanowiskiem władz i cała dolnośląska fabryka wzięła się z zapałem i w czynie społecznym do szycia wielkiej czapki. Wcześniejsze założenia architektoniczne trzeba było skorygować do wymiarów wagonu kolejowego, którym prezent miał zostać przetransportowany do Moskwy, ale i tak czapka generalissimusa prezentowała się wspaniale. Był to największy kubaturowo prezent, jaki otrzymał tej zimy towarzysz Koba. Z kolei towarzyszowi Fogelmanowi udało się pod tą czapką rozliczyć brakujące kilometry bieżące skradzionych tkanin. Niemniej całe późniejsze życie w PRL wiódł w obawie, że prawda kiedyś wyjdzie na jaw. Dlatego w 68 roku postanowił wyemigrować, zapewniając rodzinie wakacje na Bermudach, o których my możemy sobie jedynie pomarzyć.

STADION DZIESIĘCIOLECIA (nad Wisłą)

Jednym z niesłusznie zapomnianych dziś przedsięwzięć kulturalnych jest bez wątpienia uroczysta akademie z okazji 35-lecia Polski Ludowej na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Wedle założeń scenarzysty i reżysera widowiska - Wowo Bielickiego, sto tysięcy ludzi miało owacyjnie przywitać, zajmujące miejsca w loży honorowej, kierownictwo partii i rządu. Następnie miał się odbyć apel obecnych. Najęty deklamator ryczał do mikrofonu: czy jest obecny wielki polski pisarz Jarosław Iwaszkiewicz, na to wstawał do mikrofonu Iwaszkiewicz i mówił skromnie: jestem! Czy jest obecna młodzież polska? - grzmiał dalej deklamator i młodzież (pół stadionu) wstawała i gromko odkrzykiwała: jesteśmy! Te deklaracje obecności uświetniały występy artystów i różne żywe obrazy. Czesław Niemen grał na organach, a Krystian Zimerman poloneza As-dur na fortepianie. Z tunelu na murawę wyjeżdżały małe fiaty i ustawiały się w różnych układach, tworząc żywe transparenty, bo na dachach miały wymalowane wielkie litery. Przedsięwzięcie miało niespotykany dotychczas rozmach i nie mogło się nie udać. Dlatego realizatorzy nie musieli się liczyć z groszem i korzystali z innych jeszcze udogodnień (np. żeby mogli być ze sobą w stałym kontakcie, wszystkim potrzebującym resort łączności podłączył w mieszkaniach telefony, i nie na czas przygotowania imprezy, tylko na zawsze). Nic zatem dziwnego, że tysiące osób wprzęgniętych w przygotowania imprezy dołożyło wszelkich starań, żeby było tip-top. Tak, jak w zaakceptowanym w KC PZPR scenariuszu. Punktem kulminacyjnym wiecu-festynu były choreograficzne akrobacje specjalnie najętych spadochroniarzy.



Impreza odbyła się z udziałem towarzysza Edwarda Gierka, jako największej ozdoby, a na trybuny trafili wyłącznie wytypowani przedstawiciele społeczeństwa. Realizatorzy, z Bielickim na czele, udali się do kasy po odbiór horrendalnie wysokich honorariów. Impreza przeszła do historii.

Aliści w parę miesięcy później wyczytaliśmy z kolegą Zawiszą w gazecie komunikat Aeroklubu Polskiego, że na skutek niesubordynacji zostaje rozwiązana kadra narodowa sportowych skoczków spadochronowych, a prowodyrzy niesportowego zachowania się ukarani zostali przez zarząd długoterminowymi dyskwalifikacjami. Udało się nam zidentyfikować głównego winowajcę. Miał lat 27, nazywał się Mirosław Pokropek, a pracował jako kierowca karetki Pogotowia Ratunkowego w Gdańsku. Skontaktowaliśmy się z nim telefonicznie i oznaczonego dnia czekał już na nas na największym dworcu Trójmiasta. Wpakował nas od razu do karetki i na sygnale powiózł do swojego mieszkania, tłumacząc się, że musi na sygnale, bo jazda wolniejsza niż 100 na godzinę nuży go i denerwuje.

Przy herbacie opowiedział o sobie. Był łowcą przygód. Dlatego idąc do wojska zapisał się do komandosów, dlatego pracuje w pogotowiu. Szybkość i kaskaderstwo - to są jego pasje życia. W kadrze narodowej spadochroniarzy był oczywiście najlepszy, koledzy wybrali go kapitanem. Kiedy zaproszono go na rozmowę do Aeroklubu i pułkownik, w towarzystwie reżysera Bielickiego wyjaśnił, w jakiej to imprezie spadochroniarze wezmą udział, zgodził się natychmiast. Zgłosił nawet pomysł, że grupa w układzie choreograficznym skakać będzie z opóźnionym otwarciem spadochronów, aby spotęgować efekt. Po zastanowieniu pułkownik jednak nie zgodził się na ten pomysł, tłumacząc Pokropkowi, że towarzysz Gierek może się przestraszyć. Stało więc na tym, że sam Pokropek w solowym występie ze spóźnionym otwarciem zrzuci na trybunę honorową bukiet 35 czerwonych goździków.

Do imprezy kadra narodowa miała się przygotować na zgrupowaniu artystycznym, tydzień przed rocznicą. Kiedy spadochroniarze z całego kraju zameldowali się w stolicy, spotkała ich przykra niespodzianka: zamiast w hotelu, zakwaterowano ich na płycie starego lotniska na Bemowie w namiotach, które sami zresztą musieli rozstawić. Także wbrew zapowiedziom mieli się żywić nie w restauracji, ale z polowego kotła i żarciem przygotowanym przez pobliską jednostkę wojskową. A tego, co im zaserwowano, doprawdy nie dało się zjeść. Trzecim niemiłym zgrzytem była odmowa zapłacenia spadochroniarzom za nadstawianie karku, bo bez ich wiedzy Aeroklub Polski podjął zobowiązanie, że kadra narodowa sportowców-amatorów wystąpi za darmo.

Tego Pokropkowi było za wiele i ogłosił bunt. Na dzień przed imprezą kadra zwinęła namioty i opuściła lotnisko. Zostało trzech łamistrajków. Im to właśnie w trybie awaryjnym dobrano paru komandosów i w tej grupie skakali na płytę stadionu. Pokropek był na miejscu, prywatnie, i mówił nam, że to był szajs, a nie skoki. Podobną ocenę tej części programu musieli wystawić specje z Aeroklubu, bo na nadzwyczajnym posiedzeniu zebrał się zarząd, który wezwał spadochroniarzy. Przesłuchiwano ich, jak na policji. I policyjne padały pod ich adresem oskarżenia: o sabotaż, o wysługiwanie się zachodniemieckim rewanżystom, i takie inne jeszcze. Dla generałów i pułkowników z zarządu AP nie ulegało wątpliwości, że bunt miał podłoże polityczne i że kadrze chodziło o zbojkotowanie obchodów 35-lecia. Dlatego sankcje powzięto bardzo surowe, a Pokropek spodziewał się jeszcze gorszego, gdyż doszły do niego słuchy, że w Pogotowiu złożyli wizytę gdańscy bezpieczniecy i interesowali się jego osobą. Całkiem możliwe, że mnie aresztują - mówił nam - ale od razu dodawał, że nie pęka, bo prawda i słuszość jest po jego stronie.

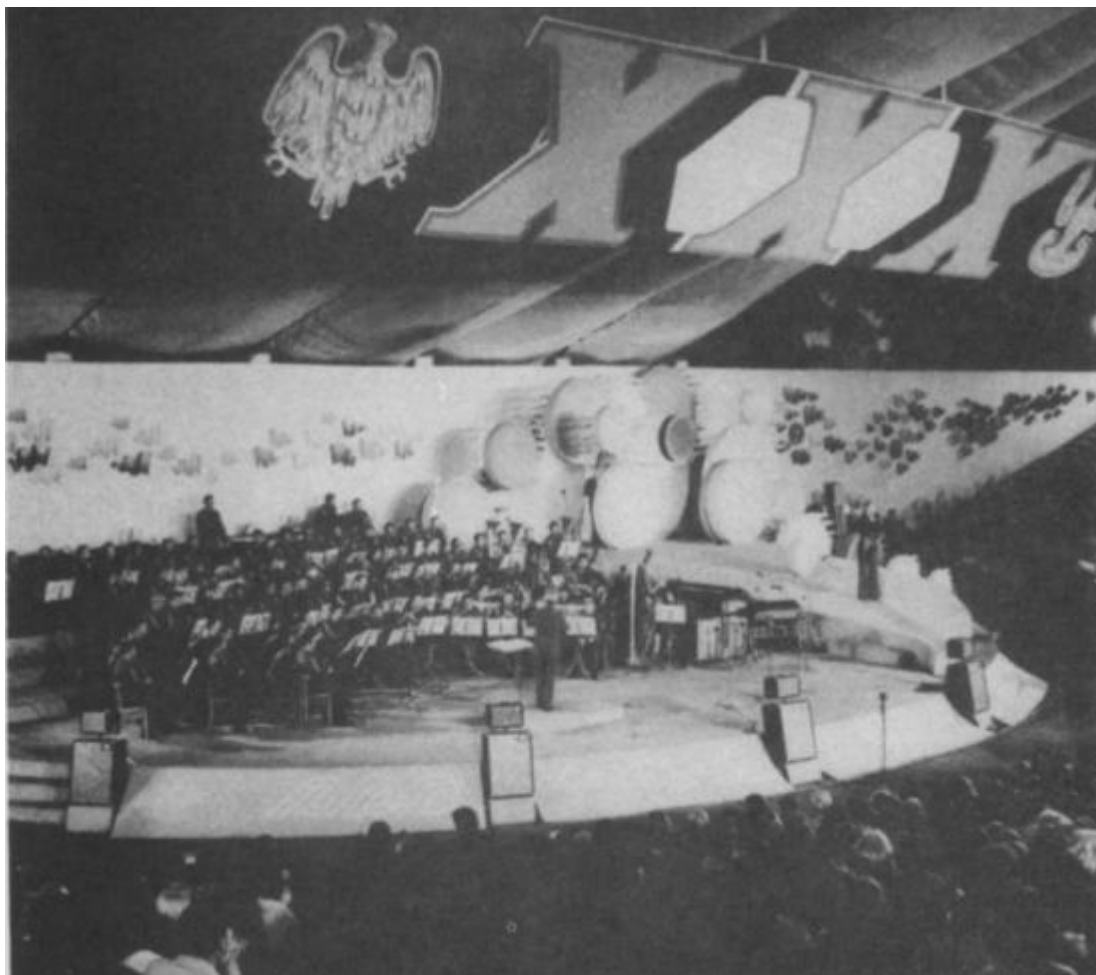
Znając życie, pospołu z kolegą Zawiszą radziliśmy Pokropkowi trochę pokory. Niech może złożyć samokrytykę, albo przyzna się do winy sportowej, a nie politycznej. Pokropek jednak niewzruszenie czuł się obrażony. Postanowiłem wtedy odwołać się do jego umiłowania przygody i wyjaśniłem, że jeżeli będzie się upierał, to władze AP nigdy mu nie pozwolą na uprawianie ulubionej dyscypliny sportu dla prawdziwych mężczyzn. Zareagował gwałtownie.

Po pierwsze - wyjaśnił - to on najbardziej lubi skakać w zimie, nocą i do morza, a tego Aeroklub nie zaleca swoim członkom. A po drugie - to on wszystkie dyskwalifikacje ma w nosie. Jak zechce, a zna właściwych ludzi, to zawsze sobie wyskoczy!

Wracając wieczornym pociągiem do Warszawy doszliśmy z kolegą Zawiszą do wniosku, że oto po raz pierwszy mieliśmy do czynienia w naszej pracy z bohaterem pozytywnym i człowiekiem szczęśliwym. Bo na zdrowy rozum, każdy człowiek, jak naprawdę chce, może sobie wyskoczyć...

GZP WP - DOM BEZ KANTÓW (Krakowskie Przedmieście)

Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego zarządzał także wojskową piosenką. Żadnej imprezie kulturalnej nie towarzyszył taki aplauz oficjalnej propagandy co Festiwalowi Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu.



Hałas wokół Kołobrzegu nabrał rozmiarów paranoicznych, skoro występujący za ciężkie pieniądze jako konferansjer aktor Stanisław Mikulski, telewizyjny kapitan Kloss, pewnego roku otrzymał rozkazem generała Jaruzelskiego najprawdziwszy awans na stopień majora LWP. Z czasem jednak nawet jemu znudziły się te wakacje w Kołobrzegu i pojawili się konferansjerzy już nie tak sławni. Także uznani artyści jakby stracili serce dla żołnierskiej śpiewogry, więc ich miejsce zajęło dziwne dosyć towarzystwo, prowincjonalni piosenkarze i nieudani aktorzy złych teatrów.

Bawiąc pewnego roku na wakacjach w Kołobrzegu postanowiłem zrobić przyjemność dzieciom i zabrać je na koncert festiwalowy. W tym celu pofatygowałem się do specjalnego biura prasowego i bez kłopotów dostałem akredytację. Zaraz spotkałem też znajomych muzyków, więc spytałem, jak się rozwija impreza. Zamiast odpowiedzi, koledzy poprowadzili mnie na piąte piętro hotelu i w jednym z numerów pokazali niewątpliwie pijane zwłoki pięciorga osób. Dwie panie i trzech panów, nagusieńcy jak ich Pan Bóg stworzył, spali głębokim snem w poprzek szerokiego łóża. Dowiedziałem

się natychmiast, że panowie tworzą zespół rockowy, a panienki przynależą do grupy artystycznej „Eskadra” czy jakoś tak. W godzinach porannych odbywają próby w amfiteatrze, a później bankietują. I że tak się dzieje w większości hotelowych pokoi. Inna artystka, ale już najzupełniej trzeźwa, wtajemniczyła mnie, iż na tym festiwalu obowiązuje nie tylko wojskowy repertuar, ale w ogóle jest jak w wojsku.

Dowództwo od lat sprawował pułkownik Czuba, ale tak naprawdę, to rządziła pani Barbara Książkiewicz, małżonka pułkownika, piosenkarka i wielokrotna laureatka najcenniejszych trofeów imprezy kołobrzesckiej. Ze rządzi surowo, przekonałem się naocznie, wstępując na próbę i będąc jedynym słuchaczem w pustym przed południem amfiteatrze. Tak się złożyło, że pani Basia żadną miarą nie potrafiła trafić w muzyczną frazę, więc bardzo zdenerwowana zaczęła kląć jak szewc. Bardzo mnie tym rozbawiła, więc zacząłem bić brawo i wtedy usłyszałem taki stek przekleństw pod swoim adresem, że po prostu mnie zamurowało. Wstyd przyznać, ale salwowałem się ucieczką, lecz jeszcze daleko od amfiteatru słyszałem najgorsze słowa, jakimi obrzucała mnie najważniejsza w Kołobrzegu artystka. Trzy dni później niezawisłe jury znowu przyznało pani Książkiewicz supernagrodę, mnie natomiast, w gronie dziennikarzy, zaproszono na obrady jury nagrody tego gremium. Padło parę propozycji, ale natychmiast pojawił się jakiś oficer w mundurze i zdecydowanie zaprotestował. Niektórzy dziennikarze doskonale wiedzą - rzekł - że o nagrodach przesądzono już dawno, na naradzie w Głównym Zarządzie Politycznym w Warszawie i teraz niedopuszczalne są żadne zmiany ani korekty! Plan koncertu finałowego został ustalony i nic się nie zmieni. Koniec. Kropka. Bez dyskusji. Rozejść się!

Nie wiem, jakim cudem udało mi się dostać, mimo pyszczenia, na zamkniętą uroczystość rozdania nagród. Dopiero w nadmorskiej kawiarence zrozumiałem, że ten festiwal jest jak dobrze zorganizowana spółdzielnia produkcyjna. Nagrody dla wykonawców, zresztą bardzo wysokie, wyższe od opolskich i sopockich, zdobywa zawsze pani Książkiewicz i dwie - trzy jeszcze piosenkareczki, które gwiazda dopuszcza do swojego towarzystwa, natomiast nagrody za muzykę i słowa stała ekipa, której twórczość zatwierdzana jest w GZP i z góry nagrodami opłacona. Dlatego na przykład twórczości rymowanej tylko dla festiwalu w Kołobrzegu poświęcił się pułkownik Janusz Przymanowski.

Inni dopuszczeni do tej mafii artyści, prawda że pośledniej gildii, służyli przez lata całe wyłącznie jako tło dla paru wybranych solistek. Ich zyskiem był całoroczny kontrakt na występy koszarnej trupy pt. „Echa kołobrzesckich festiwali”. Objeżdżała ona garnizony, dając show dla wojska i rodzin wojskowych, a dowódcy finansowali to z kas pułkowych. Musieli, bo z takim właśnie rozkazem GZP poruszał się pułkownik Czuba i nie było od tego odwołania. Członkowie trupy, jak w prawdziwej komunie, musieli się stale mieć na baczności, żeby nie podpaść państwu pułkownikostwu, bo za jeden nie kontrolowany grymas można było z trupy wylecieć, z wilczym biletem i bez zapłaty za wykonaną już sztukę. Nigdy wcześniej, ani nigdy później w artystycznym półświatku nie widziałem takiego wyzysku człowieka przez pułkownika Ludowego Wojska Polskiego.

OPERETKA WARSZAWSKA (ul. Nowogrodzka)

Tenor Tarasewicz był kiedyś solistą tej sceny. Niezapomniany to był dzień, kiedy w jakiejś knajpie, przysiadł się nagle do licznie obsadzonego stolika i opowiedział, o swojej przygodzie z nową panią dyrektor Stanisławską. „Idę do niej - wyrabiał się przed nami dramatycznie Tarasewicz - i mówię: pani derektor, moje warunki są następujące dwa razy wyższa gaża, jedna norma... Ona zbaraniała! Wyczekałem i dodaję: w przeciwnym razie składam wymówienie. Ona na to: przyjmuję wymówienie. Ja zbaraniałem!”.

Kiedyś w Bytowie z prawdziwą grozą oglądałem występy trupy artystycznej Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”. Szmira to była zupełnie niebywała, ale już prawdziwe salwy śmiechu wywoływał tenor Tarasewicz. Długo jednak w barwach „Grunwaldu” nie występował, bo pokłócił się o forszę z Porębą i zdaje się, że nawet spotykali się w sądzie.

Z Bytowem kojarzy mi się jeszcze jedno zdarzenie. W wieku lat piętnastu na obozie harcerskim byłem głównym pomysłodawcą wybrania się do namiotu cyrkowego, rozstawionego w tzw. wesołym miasteczku; ale nie do klasycznego cyrku, tylko na pokazy jazdy motorem w „beczce śmierci”. Nazwa okazała się w pełni adekwatna do spodziewanych emocji, bo w pewnym momencie jeżdżący bez trzymania dłońmi kierownicy motocyklista zawadził o obramowanie siatki, stracił równowagę i spadł w dół, z wysokości jakichś pięciu metrów, pociągając za sobą chyba dwoje widzów. To, co się działo kilka sekund później, było prawdziwą apokalipsą. Rozhisteryzowany tłum rzucił się do wyjścia, ale ponieważ było tylko jedno i to wąskie, więcej chyba niż sto osób zaklinowało się, a parę zaczęło się dusić. Na szczęście nikomu z moich kolegów nic się nie stało, ale nie pamiętam, jak wydostaliśmy się w tej panice z tej „beczki śmierci”. Tłum gęstniał. Podjechały trzy karetki pogotowia, ale tuż za nimi samochód wypełniony milicjantami. Była to chyba cała duża ciężarówka, bo wokół zrobiło się bardzo niebiesko. I nagle, nie wiadomo dlaczego, ci milicjanci zaczęli napierać na tłum gapiów i rozpędzać ich pałkami. Dla nas, kilkunastoletnich harcerzy, to był szok. Nie wiem, ile osób wtedy zginęło, musiało być ich kilka, bo pisały później o tej tragedii nawet warszawskie gazety. Ale ja mam ciągle przed oczami tych wściekłych na nas milicjantów.

Kiedy zdarza mi się raz na parę lat przejeżdżać przez Bytów, dodaję gazu. Nic dobrego nie może mi się przytrafić w tym miasteczku.

STOLECZNA ESTRADA

(ul. Flory 9)

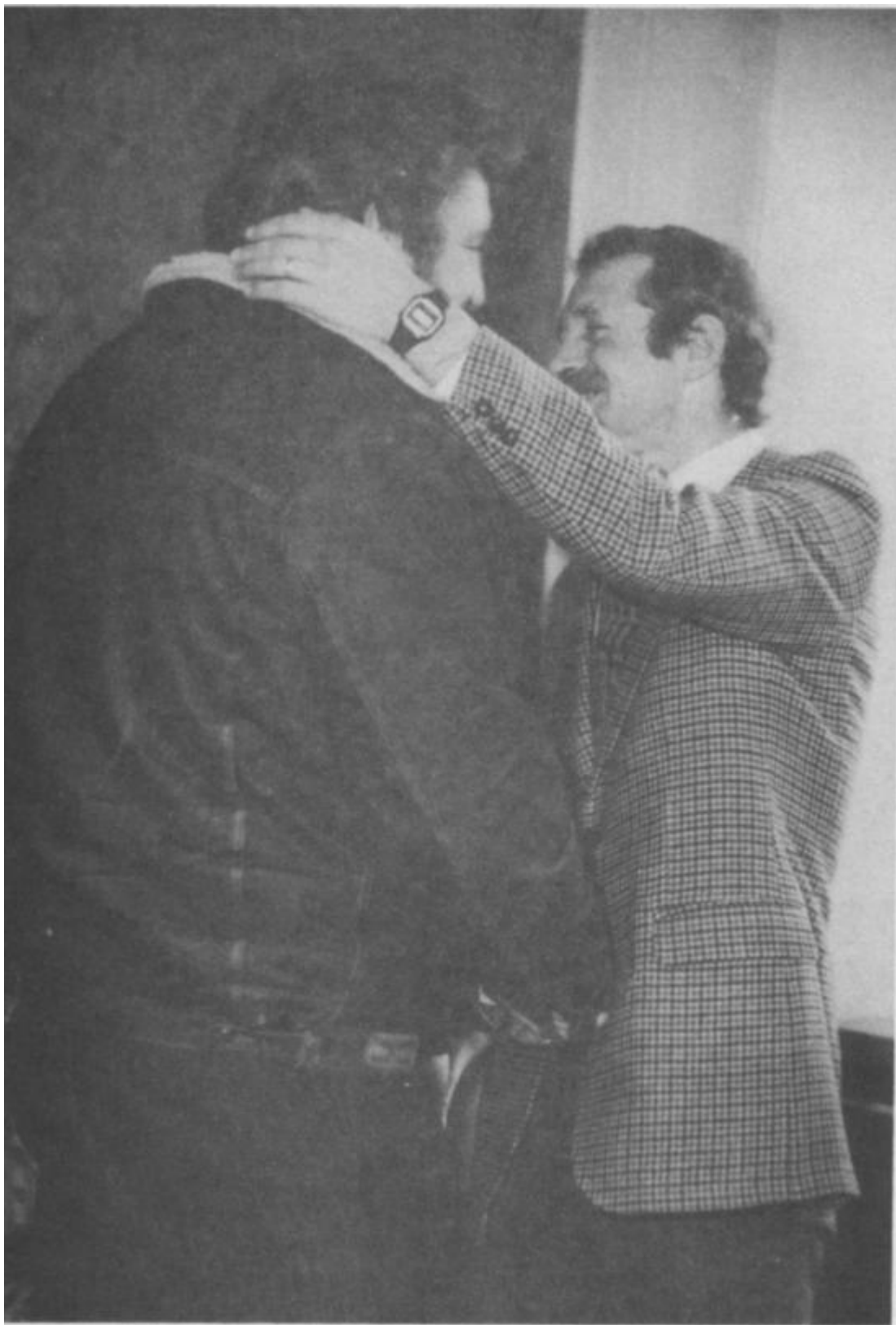
Tu spotykałem najlepszych kabareciarzy, wysublimowanych satyryków, ale także drwali prymitywnego humoru, tzw. jajcarzy, którym dla uzyskania artystycznego wyrazu potrzebny był zawsze instrument zwany siekierą.

Takim jajcarzem klasycznym i nieskażonym artyzmem pozostaje Władysław Komar, przedtem znany powszechnie jako mistrz olimpijski w pchnięciu kulą.

Komar był postacią na swój sposób fascynującą. W Warszawie pojawił się jako sportowiec w połowie lat sześćdziesiątych i natychmiast dał się poznać jako utalentowany bankietowicz. Budził sympatię już samym swoim wyglądem dwumetrowego osiłka, poruszającego się po mieście w najmniejszym z wymyślonych samochodzie - włoskim fiaciku 500. Władek na prawdziwe salony wszedł po ożenku z Małgosią Spychalską, o której wszyscy wiedzieli, że jest córką marszałka-przewodniczącego Rady Państwa, a mało kto rozpoznawał w niej bardzo utalentowaną graficzkę i scenografkę. Zaś Małgosia, pomimo całej komunistycznej proveniencji tatusia, była postacią artystyczną z najlepszych sfer. Kiedy została żoną Komara, wiele osób z prawdziwą troską zapytywało ją, osobę nader wątlej postury: „Jak wy to robicie? On taki duży, a ty taka mała...”. Małgosia wcale nie speszona odpowiadała natychmiast: „Przyjdź, zobacz...”. Razem tworzyli parę godną zainteresowania, ale Władek potrafił budzić sensację także indywidualnie, kiedy poturbował milicjanta w jakiejś ulicznej burdzie, albo zdemolował kogoś z działaczy lekkoatletycznych, gdy ten źle wyraził się o teściu, korzystając z tego, że marszałek Spychalski przeszedł akurat na partyjną emeryturę i stał się „osobą prywatną”.

Potem Komar wyciął nieprawdopodobny numer i wygrał olimpiadę w Monachium, której prawa wygrać nie miał, bo rzucał tą kulą dwa metry bliżej od najlepszych Amerykanów. Ale olimpiada jest tak cudownie pomyślaną imprezą, że nagradza tego, kto jest najlepszy w jednym, wybranym dniu, a tego pamiętnego sierpniowego popołudnia w 1972 roku żaden Amerykanin nie zdołał Władka przetrzeć. Komar płakał później na podium zwycięzców, a w takt hymnu narodowego płakała z nim cała Polska i pokochała go miłością pierwszą.

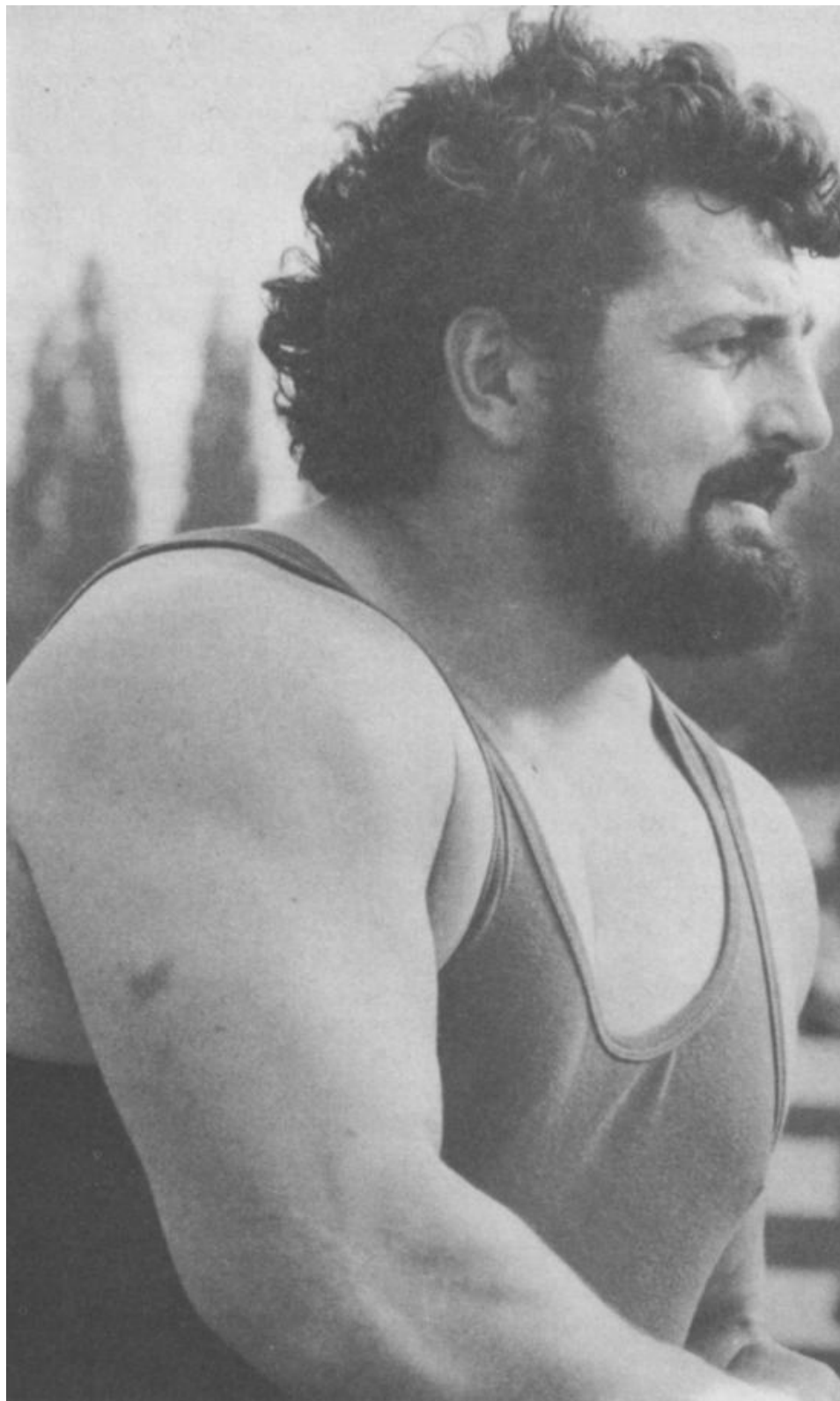
W niecały rok później nie było już tak miło, bo podczas jednego z szaleńczych bankietów z udziałem Władka utopił się w wannie z panienką niejaki „Stoń”. To był taki playboy z półświatka, wedle ówczesnych norm ustrojowych - pasożyt z marginesu. Dwoma trupami w jednej wannie zainteresowała się, oczywiście, milicja, Komar poddany został rutynowemu przesłuchaniu, a miasto obiegła plotka, że zamieszany jest w zbrodnię. Wielkie zasługi w kolportowaniu tej plotki położyła cenzura państwowa, bo natychmiast nazwisko Komara obłożyła tzw. zapisem. Powszechnie znany człowiek oficjalnie nie istniał. Potem śledztwo umorzono, Małgosia rozwiodła się z Władkiem, a on sam zabłysnął na idiotycznym procesie przed sądem wojskowym swojego kolegi-lekkoatlety Andrzeja Badeńskiego, skazanego za to tylko, że dał po buzi w knajpie młodzieżowemu redaktorowi Bajorkowi, co potraktowane zostało jako zbrodnia przeciwko ustrojowi. Na ten proces Komar wparował w towarzystwie słynnego kulomioty amerykańskiego (jednego z tych, których pokonał w Monachium) Briana Oldfielda, bez żadnej charakteryzacji wyglądającego jak Conan-Zabójca. Obu widzom rozprawy daleko było do trzeźwości, więc komisyjnie i pod strażą WSW usunięci zostali z sali. Niewykluczone, że incydent ten miał wpływ na wysokość wyroku dla Badeńskiego.



W uścisku z Komarem (1984)

Sam Komar, jako sportowiec, też został zdyskwalifikowany i wtedy śp. Prutkowski wpadł na pomysł zrobienia z niego artysty w swoim dramatycznym kabarecie „Friko”. Władek stał się atrakcją wielu przedstawień, nie dlatego, że się wyrabiał artystycznie - bo się nie wyrabiał - lecz jako maskotka

rozrywkowego sezonu. Minęło trochę czasu i przypomnieli sobie o nim filmowcy. Po paru rolach, osiłeków właśnie, zdał nawet eksternistycznie egzamin na wykonawcę estradowego. To było na wiele lat przedtem, nim w Paryżu Andrzej Kostenko podrzucił Polańskiemu pomysł, żeby Komara zaangażować do superfilmu „Piraci”.



Komar brał kiedyś udział w Derbach Kabaretowych w Koninie, odbywały się one wcześniej niż zdjęcia do filmu na Szeszelach. Tradycyjnie dla państwa artystów organizatorzy ustroili coś na kształt knajpy - konińskiej filii „Spatifu”. Przygotowano salę, zaplecze kuchenne i kelnerów, jakiś pan puszczał płyty, a dwóch barmanów stanęło za ladą na tle obficie zaopatrzonych półek. Wejścia przed nieproszonymi gośćmi pilnowało czterech wygimnastykowanych młodzieńców.

Kiedy wszedłem do tego artystycznego klubu, pierwszym odruchem było odwrócenie się na pięcie i ewakuacja. Bo oto Władek szalał. Będąc w stanie bardzo znacznie wskazującym dosiadał się do stolików, gaworzył, poszturchiwał. W końcu przystanął przy barze i zauważył to, co wszyscy obecni obserwowali już od dawna. Na stołku siedziała blond niewiasta z doprawdy imponującym biustem. Zachowywała się jednak nadspodziewanie skromnie, sącząc powoli jakiegoś drinka i zagadując towarzyszącego jej cichego pana. Komar nagle zapragnął nawiązać znajomość z blondynką, ale jego propozycja została gwałtownie odrzucona. Nie ustępował jednak i rezygnując z towarzyskich grzeczności postanowił się zapoznać ręcznie z biustem owej pani. Uczynił to i natychmiast dostał w mordę. Bez zastanowienia oddał. Pani osunęła się najpierw na blat baru, a następnie na podłogę. W sekundzie zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Discjockey wyłączył muzykę. Nikt jednak nie odważył się poskromić dwumetrowego potwora, bo Komar wcale już nie przypominał znanego sportowca. Discjockey poprosił przez mikrofon, żeby pan Komar wyszedł, ktoś inny zadzwonił po pogotowie. Bramkarze zrobili szpaler i wykonawca kabaretowy oddalił się z miejsca przestępstwa. Nie na długo. Po jakichś pięciu minutach wpadł do klubu z niesamowitym rykiem. Wyglądał też niesamowicie: zamiast twarzy miał krwawą maskę, a jedno oko przesłaniał mu brunatny krwiak wielkości strusiego jaja. Skórzana kurtka była w strzępach, jakby ktoś metodycznie darł ją na pasy. Władek żądał krwi, ale zamiast odwetu, dostał się pod opiekę załogi radiowozu. Dopiero później okazało się, że to wygimnastykowani bramkarze tak go urządzili. Po wyjściu na świeże powietrze jeden z nich umiejętnie podstawił nogę, a przewrócony mistrz-kulomiot był bez szans w pojedynkę przeciw czterem. Pomimo tak rażącej dysproporcji sił, nikt nie potępił bramkarzy, a nawet nagrodzeni zostali brawami. Cała impreza zawisła jednak na włosku, bo okazało się, że trafiona przy barze niewiasta jest główną księgową Derbów i właśnie ona miała, między innymi Komarowi, wypłacać pieniądze za jego publiczne występy. Następnego dnia, zupełnie do siebie z twarzy niepodobny Władek tłumaczył się, że nie wiedział, co czyni. Niestety, nie był to przypadek odosobniony w jego wieloletniej karierze publicznej. Wątpliwe zresztą, iż wyciągnął z tej przygody jedynie słuszne wnioski. A Derby Kabaretowe jako cykliczna impreza z czasem poległy.

RESTAURACJA „SEMAFOR” (Bródno, daleko za Wisłą)

W socjalistycznym państwie podział był następujący: jedni Polskę Ludową budowali, drudzy - nią władali. Ci pierwsi - to były masy, ci drudzy - nieliczni, ale starannie wyselekcjonowani przedstawiciele mas. Którejś wiosny zaproszono grupę dziennikarzy na wizytację Ziemi Lubuskiej, czyli na cykl bankietów w towarzystwie terenowych czynowników partyjnych. Obyczaj panował taki, że przy suto zastawionym stole ktoś zadawał z góry ustalone pytanie, a odpowiadał na nie I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, orację kończąc toastem. Potem ktoś inny, ale już po spożyciu przekąski, znowu pytał, a odpowiadał II sekretarz i też kończył toastem. I tak do totalnego upicia gości i gospodarzy.



Jeden z cyklu bankietów odbywał się w ośrodku sportowym w Drzonkowie, usytuowanym zaledwie o 10 kilometrów od siedziby Komitetu Wojewódzkiego. Podkreślał to szczególnie II sekretarz, który z podziału obowiązków partyjnych sprawował opiekę nad obiektem, co polegało na codziennym obiedzie na koszt administracji ośrodka, godzinie pływania samotnie w krytym basenie z podgrzewaną wodą, godzinie tenisa na odkrytym korcie, godzinie przejażdżki konnej wierzchem oraz godzinie sauny i masażu. Na kolację sekretarz wracał do domu, chyba że popił na koszt sportowców albo zabradziażył z kochanką. Wtedy kazał się odwozić bryczką z dwoma konikami w zaprzęgu.

O tym wszystkim bez skrępowania informował nas podczas lustracji w Drzonkowie, zakochawszy się po kilku koniackach w jednej dziennikareczce. Już, natychmiast proponował nocleg połączony z prywatką nie tylko wybrance, ale całemu towarzystwu.

Jawił mi się wtedy jako prawdziwe panisko, jako rzeczywisty właściciel PRL i nawet dziwiłem się, że ktoś taki marnuje się na prowincji. Szybko jednak okazało się, że tacy są wszędzie.

Oto pewnego dnia dostaliśmy z kolegą Zawiszą cynk, że szykuje się niezły bankiet w Warszawie, daleko za Wisłą, na Bródnie, w nowo otwartej restauracji „Semafor”. Pojechaliśmy. Knajpa o dwunastej w południe pusta, kelnerzy w smokingach opalają się na ławeczce przed wejściem, ale w środku stoły zastawione. Zaraz nadjechał autokar, z wycieczką przedstawiciele stołecznej prasy, wianuszkami otaczających towarzysza I sekretarza dzielnicowego. Grupa zasiadła do stołu. My z Z. też, na krzywy ryj. Nie mamy pojęcia, co to za okazja i kto jest kto.

Zawisza w pewnej chwili nie wytrzymał nerwowo i chciał uciekać. Siłą go powstrzymałem i żeby właściwie się znaleźć, zagadnąłem nieznanego faceta, siedzącego obok: „Gdzie byliście wcześniej?”. A on do mnie: „W jakim sensie to do mnie mówicie?”. Szybko okazało się, że to jest właśnie ten dzielnicowy sekretarz. Dla mnie „wcześniej” oznaczało marszrutę wycieczki: wizytę w zakładach mięsnych „Służewiec”, w PGR „Bródno” i na budowie nigdy nie ukończonego osiedla domków jednorodzinnych dla klasy robotniczej. Dla niego - szczeble kariery partyjnej. No więc wcześniej, to on był „na szkole” w Moskwie, potem dowodził POP w MSW, następnie pracował w Komitecie Warszawskim, znowu bawił za granicą na placówce, w ośrodku kultury w Pradze Czeskiej, aż go aktywność swojej Pragi wybrał gospodarzem dzielnicy.

Zanim zdradził mi te szczegóły partyjnego życiorysu, ja z kolei chciałem uciekać, ale na szczęście podszedł kelner z tacą pełną aperitifów. Potem przeszliśmy do zakąsek, którym towarzyszyła schłodzona czysta wódeczka, potem zupka, trzy do wyboru dania drugie i znowu wódeczka, a do indyczki pieczonej i rybki do wyboru wino czerwone lub białe. Potem podano desery z szampanem i likierem, a na koniec kawę z dobrym francuskim koniakiem. Przez cały czas przy fisharmonii siedział facet we fraku i grał melodie operetkowe przeplatane licznymi toastami „Sto lat”. Kelnerzy zwiłali się jak w ukropie, a całemu przyjęciu przyglądał się dyskretnie odziany w ciemny tużurek kierownik.

Kiedy zmietliśmy już ze stołu wszystko, co nadawało się do konsumpcji, pan kierownik zgięty w pół (ale dosłownie w pół, jak rab przed wielkim wezyrem) podał towarzyszowi sekretarzowi do stołu na tacy rolkę papieru. To był rachunek, o czym towarzysz sekretarz nie wiedział, a jak się dowiedział, zaczął trzepotać rękoma, jak ptaszek skrzydełkami i ryknął: „Nie podpiszę! Nie na komitet, w żadnym wypadku na komitet, na urząd proszę!”. Oznaczało to bezsprzecznie, że za ucztę ma zapłacić naczelnik dzielnicy, który choć niezadowolony, pokornie podpisał na nowo sporządzony kwit. Właściciele Polski Ludowej mieli bowiem z góry rozpisane role: jeden przykładowo miał w bankietach

tylko uczestniczyć, żreć i pić, a drugi przykładowo je organizować i kombinować, jak koszty utopić w finansochłonnych inwestycjach, choćby w takim nigdy nie ukończonym osiedlu domków jednorodzinnych dla wyróżniających się w pracy zawodowej i społecznej robotników wielkich praskich zakładów.

„KULISY” (podróż służbowa)

W historii Polski Ludowej po II wojnie światowej trzy razy miały miejsce okresy rozliczeń, czyli rachunku krzywd za okresy błędów i wypaczeń. W '56., co wiem jednak tylko z późniejszych roczników gazet, rozliczano stalinowców za sklepy „za żółtymi firankami” i towarzysza Kłosiewicza z CRZZ za trzy limuzyny służbowe. Kiedy więc trafiła się okazja udziału w rozliczeniach po raz drugi, postanowiliśmy stanąć z kolegą Zawiszą w pierwszym szeregu odnowy. Pojechaliśmy na delegację służbową z „Kulis” już na początku września '80 do Jastrzębia, ale nie po to, żeby statystować przy podpisywaniu górniczego porozumienia z rządem, lecz właśnie po to, żeby wziąć na spytki zwyczajnych ludzi, którzy pracowali na zachcianki śląskiej mafii towarzysza Gierka. Już coś niecoś wiedzieliśmy o tych praktykach, kiedy ludzie za pracę nie mieli nic, a działacze partyjni za legitymację wszystko. Dopadliśmy więc jakąś machlojkę w dziale finansów kopalni, pani księgowa nie rozumiejąca przełomu historycznej chwili zaczerwieniła się, i nawet o tych czerwonych uszach napisaliśmy specjalny, ekskluzywny rzec można, reportaż. Ale to ciągle nie było „to”, postanowiliśmy huknąć od samej góry. Modny stał się temat środowiska naturalnego wyrzucanych właśnie z siodła komunistów, czyli specjalnego osiedla willowego w dzielnicy Katowic - Brynowie. Ponieważ domki jednorodzinne są najczęściej do siebie kropla w kroplę podobne, udaliśmy się do wojewódzkiego biura adresowego właśnie po adresy interesujących nas z imienia i nazwiska osób. Zdziwiałe, ale bez żadnych kłopotów udostępniono nam te dane. Tyle tylko, że pani urzędniczka uprzedziła, że być może będziemy musieli poczekać w kolejce. Rzeczywiście, w archiwum urzędowa już grzeczny nad wyraz oficer Ludowego Wojska Polskiego i też pilnie wertował fiszki. Dowiedzieliśmy się, że właśnie na teren biura adresowego weszła tzw. Terenowa Grupa Operacyjna. To miała być taka oddolna inicjatywa armii, aby wesprzeć upadającą w końcu roku '81 administrację i gospodarkę państwową. Aliści tak naprawdę, czego prawie nikt jeszcze nie wiedział, a jedynie podejrzewał, był to przedostatni punkt operacji „stan wojenny”. Oficerowie i asystujący im z pistoletami maszynowymi szeregowcy przejmowali ster władzy w swoje ręce. Jeszcze w białych rękawiczkach i uprzejmie. Nas też tak potraktowali. Dlatego bez przeszkód z plikiem adresów pojechaliśmy na Brynów, żeby odwiedzić odsuniętych od łask niedawnych prominentów; zapytać ich, co słychać i na własne oczy zobaczyć, jak mieszkają. Zaczęliśmy tę lustrację od superfortecy towarzysza Edwarda, ale pomimo nadużywania dzwonka nikt jakoś nie kwapił się, żeby nam otworzyć furtkę. Postanowiliśmy poszukać szczęścia po sąsiedzku, u zrzuconego wicepremiera towarzysza Pyki. Też bez skutku, chociaż w oknie na parterze wychynął na sekundę zza firanki jakiś łeb, ale błyskawicznie się schował. Wówczas my również błyskawicznie zmieniliśmy plan publikacji, modyfikując do zaistniałych warunków i skupiliśmy się na dramaturgicznym zapisie samej czynności kołatania do komunistycznych drzwi. Oto chałupka byłego szefa Radiokomitego - Macieja Szczepańskiego. On sam siedzi w pudle, ale kubaturę zagospodarowuje mamusia. Stuk-puk! Zamknięte. A oto willa wielkiego i wypróbowanego przyjaciela klasy robotniczej w całości; zaś górników w szczególności towarzysza Romana Stachonia, odwiecznego członka prezydium CRZZ. Dzyń-dzyń! Cisza. Tak spacerowaliśmy czyściutki uliczkami, nazwanymi uliczkami ptaszków, a to Drodzów, a to Szpaków, a to Dzieciołów i niepokoiiliśmy zamkniętych na cztery spusty sekretarzy, ministrów i posłów na Sejm PRL. Nie otworzył nam nikt!

Tak dotarliśmy do kresu, czyli ogromnego bunkra, który w połowie zajmował towarzysz Zdzisław Grudzień, szef mafii śląskiej, a druga połowa to było mieszkanko Gierkowej progenitury, czyli

profesora Adama i jego żony profesor Ariadny. Tam też zafalowała w oknie na parterze firaneczka, ale zamiast gospodarzy rzuciło się w naszym kierunku wielkie i straszne czarne bydlę, przy którym pies Baskerville'ów wyglądać musiał łagodnie jak baranek. Rzuciliśmy się do ucieczki, a głupie dzikie bydlę zawisło na kracie. Niemniej scenariusz opowiadania o Katandze, gdzie nawet pani profesor medycyny szczuje psami zmęczonych wędrowców, był gotowy. Jednakże potrzebowaliśmy czegoś na „drugą nóżkę”, czyli gniewnej opinii klasy robotniczej, na której trudzie utuczyl się i obwarowali w swoich twierdzach ci obrzydliwi czerwoni burżuje.

W tym celu udaliśmy się na ulicę Hawranka, do siedziby już wówczas antypaństwowej „Solidarności”. Zanim zdołaliśmy wejść do środka, natknęliśmy się na Jana Lityńskiego, wówczas doradcę „S”, a w ogóle to korowca i komandosa. Nie miał dla nas czasu, bo właśnie z Tadkiem Jedynakiem jadą - jak się wyraził wypierdalać komitet fabryczny PZPR z zakładów „Ponar” w Żywcu. Pomysł ten już dojrzewał od paru tygodni, a władze partyjne bardzo słusznie się go obawiały jako precedensu i dlatego przeciwko śląskiej „Solidarności” strasznie szcukały środki masowego przekazu. Nam dwóm z Z. ten pomysł też wydawał się szalony. Widzieliśmy przecież zadbane, jak w bajce Disneya, domki starych i nowych komunistów, i milicjantów czuwających na każdym rogu ulicy, a ustawionych przecież tylko po to, żeby strzec spokoju towarzyszy. I wreszcie poznaliśmy już tych wojskowych, zainteresowanych adresami, ale wcale nie komunistów, tylko - Jedynaków i im podobnych. Listopadowe słońce zachodziło na zapyłonym śląskim niebie i pomyśleliśmy sobie z Z., że tak musi wyglądać koniec świata. Podobnie to zresztą wygląda na obrazach starych mistrzów, którzy też przecież jakieś wyobrażenie o końcu świata mieć musieli. Dlatego bez „drugiej nóżki” wróciliśmy do Warszawy, spodziewając się najgorszego. Także nie pomyliliśmy się w swoich rachubach.

„KULISY”

(jeszcze jedna podróż służbowa)

W sprawie pechowego kandydata na kapitalistę, zawędrowaliśmy z kolegą Zawiszą pod Wawel, a to w celu rozszyfrowania, z jakich powodów kandydatowi pozwolono wybudować od podstaw fabrykę, po to, żeby ją zamknąć zanim jeszcze cokolwiek zaczęła produkować? W pliku dokumentów, wydanych nieszczęśnikowi przez odnośne terenowe władze, odnaleźliśmy i taki, który głosił, że na skutek przykrej pomyłki dano zgodę na budowę przy ul. Rewolucji Październikowej, ale z powodów ustrojowych pod takim adresem nie może funkcjonować żaden przemysłowy zakład prywatny, więc inwestor pod groźbą uwłaszczenia powinien w nieprzekraczalnym terminie trzech miesięcy dokonać na własny koszt powrotu do stanu poprzedniego, czyli rozebrać stojącą już fabrykę do fundamentów, te zaś zakopać, wyrównać walcem i zasadzić trawę, bo przedtem mieścił się tam skwerek. Uplłynęły trzy miesiące i zgodnie z literą socjalistycznego prawa fabryka stała się własnością państwa, Polski Ludowej. Nieszczęsny kandydat na kapitalistę usiłował odwołać się od wyroku, ale jedynym tego skutkiem było pismo pani prokurator zawiadamiające, że wszczyna przeciw niemu postępowanie przygotowawcze w związku z doniesieniem o przestępstwie. Udaliśmy się tedy do gabinetu pani prokurator, w gmachu przy Rondzie Mogiłskim w Krakowie, żeby usłyszeć całkiem co innego, niż się należało spodziewać. Nasz kandydat, orzekła pani prokurator, jest groźnym przestępcą i powinien siedzieć w kryminale. Na próżno usiłowaliśmy wyjaśnić, że to chyba jednak nieporozumienie, bo to on przecież stracił fortunę, zanim zaczął zarabiać. Pani prokurator na to, że nic jej na ten temat nie wiadomo. A już widzimy, że czerwieni się po same uszy, jak nasza księgowa na Śląsku. Dlatego spytałem ją: dlaczego pani kłamie?! Oburzyła się, ale jakby nie dosłyszała. Więc ja jej raz jeszcze: dlaczego pani łyże i sama dopuszcza się przestępstwa?! Cud boski, że nie zostaliśmy zamknięci od razu w budynku prokuratury pod zarzutem obrazy funkcjonariusza organów wymiaru sprawiedliwości. Ale skorumpowana ze szczętem pani prokurator widać tak była zaskoczona przytąpaniem na machlojce, że kompletnie zdumiała. A my właśnie pojechaliśmy do pobliskiej Wielkiej Wsi, w kierunku na Olkusz, skąd nadeszło owo doniesienie o przestępstwie. Raportował o tym, konkretnie o kradzieży dwóch rolek papy na obicie dachu wiaty, plutonowy MO - niejaki Płaskonka.

Przedstawiliśmy się jako dziennikarze, a on nawet się ucieszył i czapkę na szafę pancerną cisnął. Dziennikarzy lubi, bo i gazetkę poczytać lubi, ale tego naszego kandydata na kapitalistę to nienawidzi i da mu popalić. Plutonowy Płaskonka nawet nie usiłował taić, że cały ten wymysł z kradzieżą papy jest pretekstem i taką drobną prowokacją. Naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Bardzo byłem ciekaw, o co zatem chodzi? Więc usłyszałem, że o to, iż ten kandydat na kapitalistę jest... „od Kowalskich”. A cóż to znaczy: od Kowalskich? - nie dawałem za wygraną.

Plutonowy Płaskonka uśmiechnął się do mnie, porozumiewawczo mrugnął okiem i podejrzliwie przyglądając się ognistemu brunetowi, jakim był wówczas kolega Zawisza, wy sapął: różnie o nich mówią - leki, Moski, nożem chrzczeni!.. Tak to było mi dane poznać wzorowego stróża porządku w PRL, komendanta posterunku MO w Wielkiej Wsi pod Krakowem, plutonowego Płaskonkę. Czasami mi się coś śni, więc zacząłem wątpić, cza Płaskonka istniał naprawdę. Kolega Zawisza, któremu śni się mało co, zaręcza, że tak! Większość milicjantów to koledzy Płaskonki. Wystarczy o niego zapytać.

HOTEL „HOLIDAY INN” (Kraków)

Nie wszystkie kobiety pozostają oczywiście we wspomnieniach, ale tylko te, o których - nie wiadomo dlaczego - od pierwszej chwili wie się, że są niepowtarzalne. Kimś takim była Małgosia P. i ona także o tym wiedziała. Poznał nas z nią kolega Żyszkiewicz, poeta nieustannie w podróży. Był wówczas przelotnym narzeczonym Małgosi, ale dokładnie przelotnym, bo właśnie oczekiwała na lotnisku Balice samolotu z pewnym Bułgarem, już obywatelem wolnej Europy, który miał zostać narzeczonym nowym. Poza wszystkim Małgosia była mężatką, i to nie z byle kim, ale właśnie z panem P.



Spotkałem się służbowo z wieloma pięknymi kobietami (1989)

Panów P. było właściwie dwóch, w dodatku wspólników. Od dawna robili w Krakowie dobre interesy, a już najlepszy na kryształach. Przy pewnym nakładzie środków własnych założyli pod Wawelem niedużą hutę szkła i siłą oraz płucami pracowników najemnych produkowali kryształy. Huta była malutka, a zapotrzebowanie na kryształy duże. W dodatku było to zapotrzebowanie z zagranicy. W normalnym świecie w takiej sytuacji, kiedy interes idzie, to się go rozbudowuje i zamiast zarabiać dużo pieniędzy, zarabia się bardzo dużo. Tak też chcieli dwaj panowie P., którzy co prawda na zarobki nie mieli powodu narzekać, ale szkoda im było forszy, której zarobić nie mogli. Usiłowali sobie poprawić dolę legalnie, wystąpili więc do władz miasta o dodatkowy przydział gazu, przy pomocy którego w jakimś skomplikowanym i tylko dla fachowców zrozumiałym procesie technologicznym można było wydmuchać kryształy. Tymczasem władze gazownicze postanowiły prośbę załatwić odmownie i na dodatkowy przydział nie zezwoliły. Wówczas panowie P. uradzili, że wydmuchają te władze, i weszli w sekretne porozumienie z szeregowymi gazownikami. W języku kodeksu karnego, ciągle do dziś obowiązującego, nazywa się to zawiązaniem związku przestępczego. Związek polegał na

tym, że za stosowną (czyli niemającą) opłatę szeregowi pracownicy krakowskiego gazownictwa podłączyli do huty panów P. dodatkowy przewód, i państwowy gaz płynął tym przewodem na linię produkcyjną kryształów zupełnie za darmo i w ilościach dowolnych. A wypada przypomnieć, że panowie P. chcieli tego gazu tylko trochę więcej, i za pieniądze! Zmuszeni do zawiązania związku przestępczego zanalizowali sytuację i powzięli jedyną logiczną decyzję: produkować do oporu! Afera, tak czy siak, musi się skończyć kryminałem, więc trzeba chociaż pożyć jak długo się da i zapewnić byt rodzinie, zanim się pójdzie siedzieć.

W szybkim czasie zarobili na tych kryształach, produkowanych przy pomocy państwowego gazu, krocie, prawdziwe fortuny! Potrafili je jeszcze z wrodzonym talentem ukryć, po czym przyszła milicja, zamknęła ich w areszcie, następnie odbył się sąd, i dwaj panowie P. jako poważni aferzyści dostali spore wyroki.

Warszawska redaktorka sądowa Świątecka, występująca pod okupacyjnym pseudonimem Krystyn Ziemiński, poświęciła dwóm panom P. cały rozdział w swojej książce pod znamienym tytułem „Hurtownicy zbrodni”. Redaktorka Świątecka zawsze stała w pierwszym szeregu socjalistycznego dziennikarstwa zaangażowanego.

Tym sposobem jeden z panów P. pozostawił samotną, ale dobrze zabezpieczoną żonę Małgosię, która jako kobieta zjawiskowo piękna, martwiła się o męża w kryminale, ale nie za bardzo.

Wykluwający się na naszych oczach związek z impulsywnym Bułgarem, pracownikiem naukowym jednego z brytyjskich uniwersytetów, zapowiadał się interesująco. Prosto z lotniska Małgosia przywiodła oblubienca prosto do krakowskiego Spatifu, gdzie właśnie odbywała się tęga balanga. Bułgarowi nie zdało się to zresztą niczym nadzwyczajnym, bo na wejście, zapoznanie się z towarzystwem, sam jeden wypił całą butelkę whisky. Tym tylko odróżniał się od innych mężczyzn w towarzystwie, że co jakiś czas niespodziewanie łąpał Małgosię obiema rękami za głowę i wpijał jej się w usta, jęcząc przy tym miłośnie. Bułgar był duży i wyglądał na silnego, więc pomimo zniewalającej urody Małgosi, staraliśmy się trzymać od niej na bezpieczną odległość. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie, bo ona sama już też chyba spisywała Bułgara na straty i pod stołem dawała znaki, że nastawiona jest romansowo. Myliły jej się jednak strony i ręce, więc te znaki dawała różnym siedzącym przy stole mężczyznom.

Następnie przenieśliśmy się do hotelowego apartamentu Bułgara i korzystając z tego, że on akurat przysnął, Małgosia zrobiła strip-tease. Ale w najbardziej niestosownym momencie Bułgar obudził się i chociaż nie kazał się narzeczonej ubrać, wyraźnie zgłaszał swoje do niej pretensje. Przeklinał ją i na przemian całował w usta, mocno przytrzymując głowę dłońmi. W przerwach między tymi karesami kończył kolejną, już trzecią, butelkę whisky i jak umiał, tłumaczył mi, że taka miłość to kosmiczna sprawa! Kosmosem, zdaje się, zajmował się właśnie naukowo na Wyspach Brytyjskich.

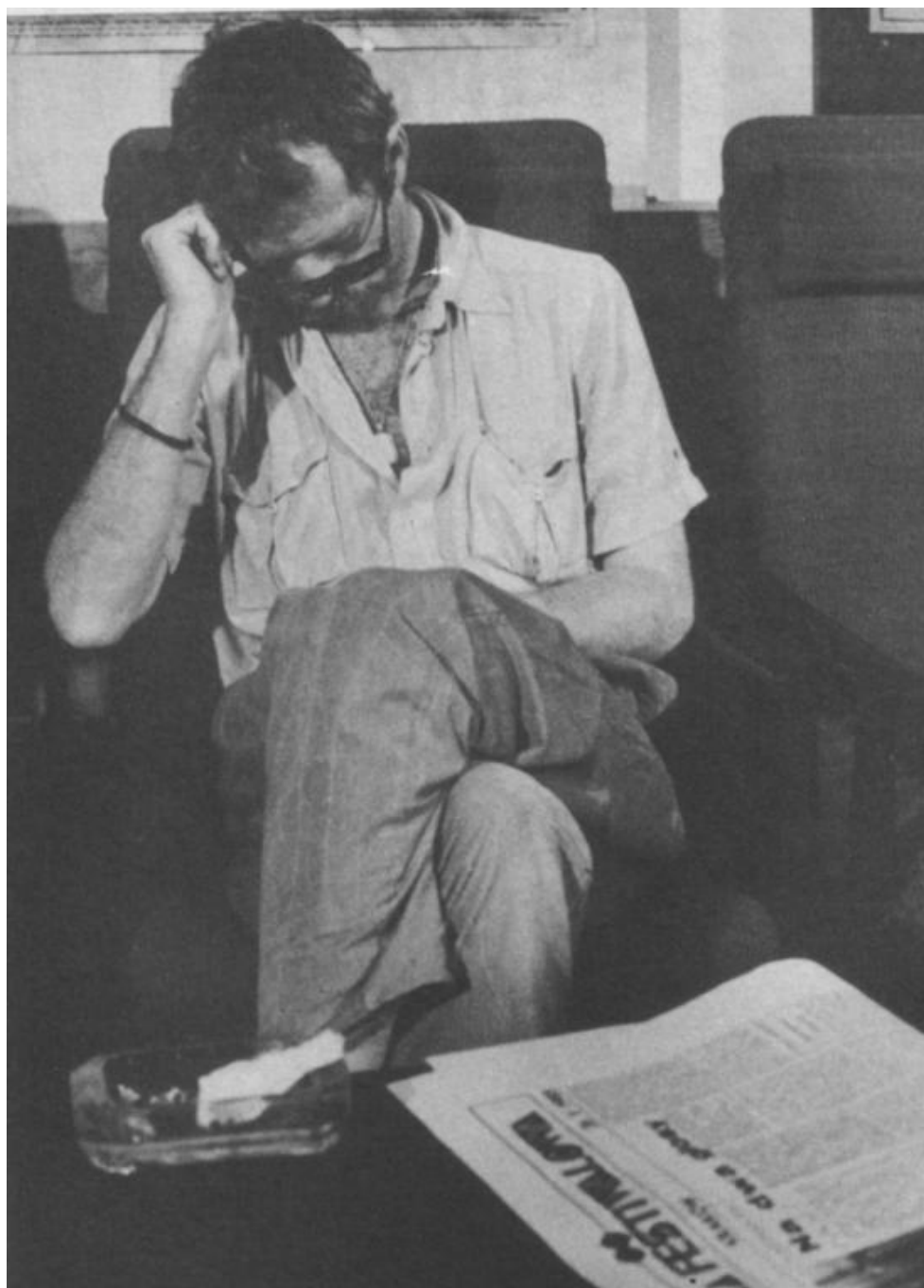
Widząc, że w pojedynkę nie dam mu rady, skrzyknąłem się z kolegami Zawiszą i Zyszkiewiczem, że przepijają do Bułgara będziemy pojedynczo, po kolei; po to, żeby go zmęczyć fizycznie i doprowadzić do snu przynajmniej do rana. Samą Małgosią mieliśmy zamiar sprawiedliwie się podzielić, tym bardziej że ona wyraźnie skłaniała się ku zajęciom grupowym. Tylko niewzruszona postawa Bułgara torpedowała te zamiary, bo kiedy przechylała się w kierunku któregoś z nas, Bułgar zaczynał ryczeć jak zarzynany bawół i ze złością gryźć na miazgę szklanki. I tak to trwało, nie wiadomo, jak długo.

Kiedy obudziłem się rano, zobaczyłem obok mnie leżących w poprzek łóżka typu „king size”: najbliżej Bułgara, a tuż za nim w objęciach kolegów Zawiszę z Zyszkiewiczem oraz literatem Romkiem Wysągładem. Małgosi nie było! Gdy nareszcie jakoś sturlaliśmy się do kawiarni „Holidaya” na śniadanie, ona już siedziała przy stoliku. Piękna, z nienagannym makijażem i bez śladów wczorajszych szaleństw. Ale to nie był nasz stolik, tylko jakiegoś czarniawego obcokrajowca, bardzo z siebie zadowolonego i szastającego pieniędzmi na napiwki dla kelnerów. Małgosia zapoznała nas z nowym przyjacielem i zaproponowała, żeby przenieść się do jego z kolei pokoju, gdzie będzie równie wesoło, jak u Bułgara. On jeden propozycję tę przyjął. My - tubylcy nie mieliśmy już sił. Zresztą nadeszła pora, żeby ewakuować się do domu. Ale gotowi byliśmy przysiąc, że następnego ranka Bułgar obudził się w objęciach z czarniawym, a kiedy zeszli na śniadanie, Małgosia powitała ich w towarzystwie całkiem już innego, zadowolonego z siebie mężczyzny.

W jakiś czas później Małgosia wyjechała do Szwecji, gdzie mam nadzieję, że zestarzała się za szybko, bo należy do tej kategorii prawdziwych kobiet, o których marzy każdy prawdziwy mężczyzna. Fakt, że nie była pozbawiona wad, ale ziemski padół to nie jest odpowiednie miejsce dla świętych.

KLUB REPORTAŻU SDP (wyjazd do Krakowa)

Reporterzy w Polsce Ludowej sami siebie uważali za awangardę dziennikarstwa. Chyba słusznie. W przeciwieństwie do komentatorów politycznych, do tzw. dziennikarzy partyjnych i publicystów spraw międzynarodowych, nie musieli kłamać. Pisząc o biedzie, beznadziejności i prymitywnych warunkach życia jakoś rejestrowali prawdziwą rzeczywistość. Jakoś.



Dlatego w krótkim czasie odnowy, wiosną '81 spotkaliśmy się w Krakowie na naradzie programowej, właściwie tylko po to, żeby poprawić sobie samopoczucie. Jak jeden mąż byliśmy, oczywiście, za

odnową i prawdziwie europejskimi obyczajami. Poza tym wymienialiśmy fachowe uwagi, odbyliśmy sesję na temat tzw. struktur poziomych w PZPR i rozdaliśmy między siebie doroczne nagrody Klubu Reportażu SDP. Na koniec wybraliśmy nowe władze wcale licznej, bo w skali kraju chyba stuosobowej grupy.

Z paru kandydatur na funkcję prezesa z całą świadomością popierałem Wojciecha Giełżyńskiego. Kombinowałem sobie tak: prędzej mnie ziemia pochłonie, nim dożyję Polski bez komunizmu. Ponieważ niczego poza moim zawodem nie potrafię, a wyjechać z kraju na stałe - też nie potrafię, trzeba tu sobie uwić w miarę bezpieczne gniazdko. W miarę - gdyż nigdy nie wiadomo, co się zdarzy i w którym miejscu człowiek się potknie. A w państwie totalitarnym takie wpadki są nie do uniknięcia. Dlatego reprezentantem reporterów na jakiejś politycznej „górze” powinien być cynik, gracz, który w chwili kryzysowej będzie coś w stanie załatwić albo pomóc. Inna sprawa, że Giełżyński był mistrzem pomagania, ale wyłącznie samemu sobie. Już w 68 roku na jednoznacznie moczarowskie zamówienie napisał książeczkę pt. „Kto jest kim w polityce”, czyli jawny donos na Żydów w polskim życiu politycznym. Potem o tym antysemityzmie łatwo zapomniał i zatrudnił się, o losu ironio, w tygodniku „Polityka”, który całkiem niedawno postponował. Był po prostu człowiekiem do wynajęcia. Pozwolił się więc wynająć w roku 76 i jako jedyny zgodził się napisać reportaż z Radomia, z którego treści jednoznacznie wynikało, że cała rozróżba to dzieło warchołów, pijaków i chuliganów. Powstało dziełko fajdackie o tym, jak to dzielne ekspedientki w radomskich sklepach własną piersią zastaniały półki z mąką i cukrem, a warchoły biły i kradły. Nazywało się toto „Płakały, ale broniły”. Giełż nie miał jednak tyle odwagi, żeby ten donos podpisać własnym nazwiskiem. Niewiele mu to pomogło, bo bardzo szybko nastąpił przeciek z „Polityki”. Środowisko nawet specjalnie się nie zdziwiło. Nie pierwszy przecież raz okazywało się, że Giełżyński jest niezłym majstrem od takiej mokrej roboty. Tym razem jednak miał pecha. Bo niestrudzony dokumentalista poczynań KOR-u - Jan Józef Lipski na wieki wieków umieścił Wojtusia w swym monumentalnym dziele w doborowym gronie żurnalistów, „którzy przyszli w sukurs milicji i Służbie Bezpieczeństwa”

Kiedy absolutnie cynicznie głosowałem na Giełża w wyborach na szefa klubu reportażu, on już odrabiał polityczne punkty, bo towarzyszył strajkującym w Stoczni Gdańskiej, napisał o tym niezłą książkę, i jeszcze zakapował przed Wałęsą swoich kolegów z „Polityki” jako sługusów komuny. Rakowski natychmiast wygnał go z redakcji i to była w istocie trampolina, z której reporter G. przeskoczył do opozycji i dziś już prawie nikt nie pamięta, jak się prowadził ten, tak obecnie niezłomny, wojownik o niepodległą Rzeczpospolitą.

Wtedy w Krakowie moi koledzy reporterzy nastawieni byli jednak bardziej idealistycznie, więc Giełż w wyborach przepadł, został zaledwie zastępcą Stefana Kozickiego, porządnego człowieka i subtelnego stylisty. To już zresztą nie miało większego znaczenia, bo w natłoku wydarzeń w następnych miesiącach rozjechaliśmy się po kraju, aby już nigdy nie spotkać się w tym samym gronie. Może i lepiej, że tak się stało.

STOWARZYSZENIE MUZYKI ESTRADOWEJ (Łódź)

Za bardzo „późnego Gierka” zainteresowałem się życiem estradowym PRL, czyli tzw. showbiznesem. A to dlatego, że pewnego dnia zapoznany śmieszny pan w rudej peruce zaproponował mi członkostwo w Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej z siedzibą w Łodzi. Pan nazywał się Karol Wagner i był dyrektorem tegoż Stowarzyszenia. Oczywiście cała organizacja była potrzebna wyłącznie jej animatorom, po to, żeby wydawać niemałą forszę, płynącą z dotacji władz miasta. Sam Wagner aż za bardzo się tym zajął, i potem miał kłopoty, z odsiadką w mamrze włącznie. Ale ja, jako członek sekcji publicystycznej, zbierałem same profity w postaci uczestnictwa w różnych wyjazdowych sesjach, festiwalu w Jarocinie i nawet dostawałem jakieś honoraria za artykuły, poświęcone ważnej, kulturotwórczej roli SME. Nic więc dziwnego, że zaproszono mnie - do Łodzi właśnie - na uroczyste obchody iluśtamlecia Stowarzyszenia. Najpierw odbył się koncert i to pamiętny, bo jako gwiazda wystąpiła Ania Jantar, już następnego dnia udająca się na tournée do Ameryki. Towarzyszył jej nowo powstały zespół rockowy „Perfect”. Jak wiadomo, w drodze powrotnej z Nowego Jorku samolot z Anią na pokładzie rozbił się w Raszynie i nikt nie ocalał.

Koncert się skończył, a zaproszeni goście przenieśli się do usytuowanej w piwnicy restauracji Łódzkiej Izby Rzemieślniczej. Lecz nie o wystawność bankietu w tym wspomnieniu chodzi. Już po wszystkim, w towarzystwie kolegi S., który potem zasłynął jako telewizyjny spiker, udaliśmy się w kierunku hotelu Centrum, na spoczynek. Ale po drodze, jak to bywa, zaczepił nas wyjątkowo namolny pijak, który choć dostał papierosa, o co prosił, koniecznie pragnął kontynuować znajomość i zastawiał nam drogę. Wreszcie, mocno zniecierpliwieni, odepchnęliśmy go i osłabiony facet poleciał na mur. Na szczęście, nic mu się nie stało i chyba nie miał pretensji. Tylko na odchodnym powiedział nam z wyraźną groźbą w głosie: „Dobra, dobra, teraz mnie odpychacie, ale zobaczycie, co będzie jutro! Jak przyjdziecie po fakturki! Wszyscy przyjdziecie do mnie po fakturki!”.

I to była święta prawda! Bankietujemy, używamy życia, bez zastanowienia, co będzie, co się zdarzy jutro. A nazajutrz każdy z nas musi się gdzieś zgłosić po fakturkę. To spotkanie nauczyło mnie, aby bez względu na okoliczności nie lekceważyć urzędników.

DWORZEC (Zakopane)

Czasami zdarza się tak w życiu, że noc wypada spędzić na dworcu. Zakopiański patrol MO szczególnie był surowy, bo po wylegitymowaniu kazał się wszystkim zaspanym młodym ludziom wynosić na ulicę. Zaczepił mnie jakiś nieznajomy, parę lat starszy, i zaproponował, żebyśmy wypili butelkę wina. Była szósta rano, poniedziałek i nie obowiązywała jeszcze ustawa antyalkoholowa. Z dwoma bełtami udaliśmy się na ławkę w pobliżu willi „Atma”. Z przyzwyczajenia kupiłem gazetę. Właśnie poinformowano, że po dwudziestoletnim pobycie w więzieniu Spandau odzyskał wolność szef Hitlerjugend - Baldur von Schirach. Nieznajomy przeczytał tytuł w gazecie i powiedział: „Nie ma, jak w ZMS. Zetemesowiec zawsze ocali dupę!”.

WIĘZIENIE (Sztokholm)

Jeden raz w życiu pojechałem na saksy. W połowie lat siedemdziesiątych taką ziemią obiecaną była Szwecja, bo nie wymagała od obywateli PRL wiz, a poza tym była blisko i łatwo się tam dojeżdżało, dokładniej - dopływało.

Prom, który wyruszył z Gdyni, żeby po kilkunastu godzinach przycumować na nabrzeżu Slussen w samym centrum Sztokholmu, przypominał jako żywo statek z filmu Kazana „Ameryka, Ameryka”. Na decku, czyli na pokładzie, leżeli pokotem ludzie z tobołkami pod głowami. To byli ci, co... pierwszy raz. Rutyniarze nocowali w swoich samochodach, kupionych za wcześniej zarobione w Szwecji pieniądze. Właśnie trafiłem na takiego potentata i postanowiłem się do niego przykleić, bo na obczyźnie we dwójkę raźniej, a z rutyniarzem szybciej uda się dostać jakąś pracę. Ponieważ na pokładzie było jeszcze kilku znanych z Warszawy kolegów, skrzyknęła się grupa towarzyska. Rutyniarz miał nam pomóc w znalezieniu pracy i użyczyć miejsc w samochodzie, a za to mieliśmy mu udzielić noclegu, bo udało nam się znaleźć jakieś tanie mieszkanie w Sztokholmie, tuż obok teatru Bergmana. Dobrze to pamiętam, bo oglądałem przedstawienie z Liv Ullman w roli głównej. Było ponure i nie rozumiałem o co chodzi. Ale Szwedzi byli zachwyceni.



Szwedzcy ubecy, którzy mnie aresztowali i zawieźli do aresztu Kungsholmen (1976)

Zamieszkaliśmy więc w tych dwóch wynajętych pokojach z kuchnią i staropolskim zwyczajem, na dobry początek postanowiliśmy urządzić bankiet, posiłkując się zapasami przywiezionymi z kraju. Jak było naprawdę, nikt później nie pamiętał. W każdym razie nasz rutyniarz w pewnej chwili wyrzucił stół z pełną zastawą, więc dostał w dziób, następnie wyrzuciliśmy go na ulicę i przy okazji w wielkiej wściekłości zdemolowaliśmy mu samochód. Co gorsza, mnie ta demolka niezwykle się spodobała, więc i samochód stojący obok potraktowałem nogami, i następny, i tak w pijackim szale wędrowałem sobie uśpioną sztokholmską uliczką. Była letnia szwedzka noc, czyli jasno jak w dzień. Któryś z

solidnych obywateli Królestwa sięgnął po telefon i zawiadomił policję. W pewnej chwili zorientowałem się, że na ulicy jestem sam, a z naprzeciwka nadjeżdża brązowy „Saab” i wysiadają z niego dwaj młodzi ludzie w cywilu. W sekundę mnie obezwładnili i wrzucili do środka samochodu. Natychmiast otrzeźwiałem, ale było już stanowczo za późno.

Jechaliśmy przez puste miasto, aż wjechaliśmy w jakiś ciemny tunel i oniemiałem! Znalazłem się jakby w bajce. To był taki sam Sztokholm, tylko podziemny: podzielony na ulice, oświetlony, ozdobiony neonami, z magazynami spożywczymi, a nawet z tabliczkami umieszczonymi na ścianach domów przy każdym skrzyżowaniu. Później dopiero zrozumiałem, że zasobna Szwecja tak bardzo boi się sąsiedztwa Związku Radzieckiego, iż z bezwzględnie egzekwowanych podatków buduje dla obywateli schronienie przed atomową inwazją. Już dla tego przeżycia warto było dać się związać policji! Dojechaliśmy do podziemnego komisariatu i windą wywieziono mnie na powierzchnię. Zamknęły się drzwi „przejściówki” i zasnąłem kamiennym snem.

Kiedy mnie obudzono było już popołudnie. W pokoju przesłuchań (który jest zawsze taki sam, pod każdą szerokością geograficzną) siedział już oficer śledczy w towarzystwie tłumaczki. Po pierwsze - oboje mi się przedstawili i zaraz poinformowali, że jestem więźniem demokratycznego państwa, więc mogę odmawiać odpowiedzi na zadawane mi pytania. Ale ja chciałem mówić jak na spowiedzi, licząc, że jeżeli wykażę skruchę, zostanę wypuszczony na wolność. Przecież nic szczególnego nie zrobiłem, ot, pogiąłem kilka samochodowych anten, a jedną wykręciłem. Ona właśnie, jako dowód rzeczowy przestępstwa, leżała na stole śledczego.

Wyjaśniłem więc, że upiłem się znacznie i to jest przyczyna tak okropnego zachowania. Pani w okularach, pałaca „Carmeny”, ale bez wątpienia Szwedka, przetłumaczyła i wyczułem, że okazuje mi sympatię. Mężczyzna, który nazywał się Goran Algren, miał zacięty wyraz twarzy i cały czas przecząco kiwał głową. Zaraz okularnica poinformowała mnie, że pan kapitan nie może zrozumieć, jak można się tak upić i nie może mnie wypuścić. Dlatego podjął decyzję o wymierzeniu mi kary aresztu, ale jesteśmy w demokratycznym państwie i przysługuje mi prawo odwołania się. Jestem obcokrajowcem, więc może to uczynić w moim imieniu jedynie adwokat w porozumieniu z konsulem polskim. Czy pragnę skorzystać z takiej możliwości?

O, tego by tylko brakowało! Niech tylko dowie się o moim chuligaństwie konsul, a nie mam po co wracać do kraju. Zdałem się więc na łaskę kapitana Algrena.

Przyszedł strażnik i zaprowadził mnie do pachnącej łazienki. Po kąpieli pozwolił mi zachować własne ciuchy i windą wywiózł gdzieś wysoko. Znalazłem się w najprawdziwszym szwedzkim więzieniu. Ściany korytarza pomalowane były na granatowo, z czym kontrastowała fosforyzująca pomarańczowa podłoga. Za to wewnątrz celi wyglądało jak pokój hotelowy. Tapczan ze śnieżnobiałą pościelą, umywalka, na półeczce komplet przyborów kosmetycznych: pasta, szczoteczka, mydło, nawet woda kolońska, a nad umywalką lustro, dokładniej - wtopiona w ścianę metalowa płyta, tak wyszlifowana, że była lustrem. To na wszelki wypadek, gdybym szkłem chciał podciąć sobie żyły. Od szyby w oknie oddzielała mnie natomiast ustawiona pod kątem plastikowa blinda. Obok tapczanu, na stoliku, leżało parę szwedzkich pism ilustrowanych i jakieś książki. Z głośnika w ścianie sączyła się cichutka uspokajająca muzyka. Prawie bezszmerowo pracował cały czas wentylator. Opisuję tę celę, bo już wówczas, pomimo pożałowania godnej sytuacji osobistej, porażał mnie komfort tego wnętrza.

To pierwsze popołudnie w szwedzkim pudle przespałem. Obudził mnie dopiero szcęk otwieranych drzwi. Strażnik z coltem na biodrze przyniósł mi na metalowej tacy kolację: pieczywo, talerz pełen wędliny, termos z kawą, dżem, gorące parówki. To było żarcie. Jak w hotelu, a nie jak w mamrze! Na śniadanie dwa jajka w plastikowej szklance. Na obiad - pasztet na zakąskę, zupa, pieczeń z ziemniakami i bukietem surówek, ciasto na deser i - coś zupełnie niebywałego - puchar czerwonego wina, tyle, że bezalkoholowego, za to pachnącego jak wino!

Tak żywiło mnie Królestwo Szwecji przez całe pięć dni, na mocy suwerennej decyzji pana Algrena. Tego ostatniego dnia sam się do mnie pofatygował, aby uroczyście poinformować o ułaskawieniu. Chciałem już uciekać, ale on nie pozwolił, tylko zwiózł na parter i oprowadził po muzeum sztokholmskiej policji, co najwyraźniej potraktował jako lekcję wychowawczą. Na koniec wręczył mi 10 koron na metro do mieszkania przy teatrze, zwrócił paszport i życzył miłego pobytu w Szwecji. Naprawdę skruszony podałem mu dłoń i przyrzekłem sobie w duchu, że już nigdy więcej nie wyląduję w więzieniu, bo sprawiedliwy los drugi raz nie postawi mnie naprzeciw człowieka takiej kultury i życiowej mądrości, jak Goran Algren. I niech mu to będzie zapisane w niebie, że przynajmniej jednego grzesznika wyprowadził na drogę uczciwości.

Nie wiem, czy wszyscy śledczy szwedzcy są tacy jak Goran Algren. Przypuszczalnie jednak nie. Nie zmienia to przecież faktu, że chyba nigdzie na świecie nie siedzi się w pudle w tak luksusowych warunkach, jak w Sztokholmie. Tam naprawdę można odpocząć i podreperować nadwątlone zdrowie.

Coś w tym musi być! Akurat wtedy, kiedy tak niefortunnie zacząłem bawić w Szwecji, prawdziwym postrachem Królestwa był niejaki Johansson, jedyny w tym uporządkowanym społeczeństwie przestępca z urodzenia. Ktoś na podobieństwo naszego Zdziśka Najmrodzkiego, ale o niebywale większej fantazji. Johansson napadał na banki, personel terroryzował bronią (co przeciętnemu Szwedowi w ogóle nie mieści się w głowie!) i jeszcze - chroniąc się przed obławą - brał zakładników. Uciekał, aż w końcu wpadał i lądował w więzieniu, gdzie nie było mu gorzej niż mnie w areszcie Kungsholmen.

Jak już odpoczął na więziennym wikcie, to korzystając ze znacznej swobody, przysługującej więźniom po wyroku, wychodził najnormalniej z więzienia i napadał na kolejny bank. Nie wiem, czym się to skończyło. Podobno wreszcie policjanci się znudzili ciągłymi pogoniami i przy nadarzającej się okazji, zastrzelili Johanssona. Ale to nie jest do końca sprawdzona informacja.

POCIĄG PRZYJAŹNI (Sofia)

W swoim czasie, któryś z ideologów ZMS bardzo sprytnie wymyślił propagandowo nośną instytucję: „pociąg przyjaźni”. Określenie zrobiło błyskawiczną karierę. Etatowo działało biuro, jakby turystyczne, i non stop trwała wymiana wycieczek aktywu pomiędzy zaprzyjaźnionymi krajami demokracji ludowej. Jeden pociąg zapychał z Kijowa, przez Warszawę do Magdeburga, dokładnie w tym samym czasie inny z Wrocławia do Bukaresztu, a jednocześnie z nim pędziły zaprzyjaźnione składy z Budapesztu do Leningradu, z Rostowa do Pragi, z Bratysławy do Szczecina itd.

Zabrałem się kiedyś na trasę Warszawa-Sofia, elegancko w wagonie sypialnym, z marszrutą wyznaczoną na dwie i pół doby. Celowo tak długo, bo na granicy rumuńskiej, w Ruse, wymyślono uroczystą akademię, gdyż tam przecinały się trasy trzech podróżujących wzdłuż i wszerz lepszej części Europy „pociągów przyjaźni”.

Przyjechaliśmy pierwsi, więc ustawiono nas na środkowym torze, z dwoma peronami po obu bokach wagonów. Wcześniej spędzona orkiestra odegrała polski hymn państwowy. Po godzinie z lewej strony zatrzymali się Rumuni z Bukaresztu. Wysłuchaliśmy drugiego hymnu. A potem trzeba było czekać pół dnia na Bułgarów z Warny, którzy tradycyjnie mieli opóźnienie. Tę wymuszoną przerwę umilaliśmy sobie silną integracją z Rumunami, czyli wzajemnymi odwiedzinami w luksusowych wagonach sypialnych i najprostszą wymianą polskiej czystej wódki na brandy o nazwie „Triumf”. Kiedy dojechali wreszcie Bułgarzy i wysłuchaliśmy kolejnego hymnu, wymiana uległa komplikacji, bo mocną kartą atutową stał się napój „Słoneczny Brzeg”. Takie było zajęcie zwyczajnych uczestników, podczas gdy kierownicy pociągów - działacze centralnego szczebla zaprzyjaźnionych organizacji młodzieżowych - w tym samym czasie, w wagonie rumuńskim, podpisywali jakąś wspólną deklarację o przyjaźni i pokoju, zakończoną bankietem, na którego finał wszystkie trzy pociągi cierpliwie czekały. Dopiero nocą ruszyły zgodnie z wyznaczoną trasą, kołując do snu mocno utrudzonych alkoholem sygnatariuszy wspólnej deklaracji pokojowej.

Następnego dnia cała załoga naszego pociągu złożyła wieniec (dostarczony przez ambasadę PRL) w Mauzoleum Rewolucji czy czegoś w tym guście, w każdym razie pod czerwoną gwiazdą. Towarzyszył nam polski dyplomata - młodzieżowy radca i on właśnie zwierzył się, że ponieważ „pociągów przyjaźni” jest po kilka w tygodniu, ambasada zaprzestała kupowania wieńców, powołała natomiast do życia własną komórkę „wieńców” i żony pracowników w jednym z garaży trudnią się tego rodzaju pracą nakładczą. Tak wypada taniej, a poza tym kobiety się nie nudzą i czują się potrzebne jako oficjalne rezydentki PRL za granicą.

Dalszym etapem wycieczki było miasto targowe Płowdiw, gdzie w dużej hali czekała już na nas młodzież bułgarska z zamiarem wspólnego odbycia „spotkania przyjaźni”. Toasty spełnialiśmy na przemian „Płiską” i „Słonecznym Brzegiem” aż do chwili, gdy przedstawiciel organizacji młodzieżowej w szkole marynarki wojennej z Warny znacznie się upił i wygłosił mowę dziękczynną pod adresem Związku Radzieckiego. My tego toastu nie chcieliśmy wznieść, więc zrobiła się awantura: marynarz przeklinał przyjaźń bułgarsko-polską, rwał się do bitki i spotkanie zakończyło się przed wyznaczonym czasem. Niemniej oficjalny komunikat o wyprawie, jaki po naszym powrocie ukazał się na łamach „Sztandaru Młodych” o tym przykrym incydencie nie wspominał, natomiast całą wizytę „pociągu

przyjaźni” w Bułgarii oceniał wysoko, ponieważ przedyskutowane zostały zagadnienia potrzebne do dalszej pracy związków młodzieży obu zaprzyjaźnionych państw socjalistycznej wspólnoty.

LARISSA (Grecja)

Do Grecji pojechałem jako dziennikarz sportowy a to w celu przepytania na temat futbolu najślawniejszych polskich trenerów: Górskiego, Gmocha i Strejlaua, bawiących w tym ciepłym klimacie na saksach. Ale najciekawszy wydał mi się mecz ligowy na prowincji, w Larissie pomiędzy miejscową drużyną, której aktualnym trenerem był Strejlau (wcześniej trenował ją Gmoch) a zespołem AEK Ateny pod wodzą właśnie Gmocha.



Z Jackiem Gmochem, jeszcze w Polsce (1976)

Sam mecz spodobał mi się jeszcze przed początkowym gwizdkiem sędziego. Na trybunach pojawili się chyba wszyscy mężczyźni z miasteczka wielkości Mińska Mazowieckiego i zdaje się, że wcale nie czekali na piłkarzy, lecz na prezesa miejscowego klubu. Ledwie prezes, pewny siebie grubas, rozsiadł się w fotelu łoża honorowej, a natychmiast kibice zaczęli rzucać w jego kierunku styropianowymi poduszkami po 10 drachm za sztukę, ubliżać mu głośno, wygrażać pięściami. Prawdopodobnie w ten właśnie sposób kibice wyrażali swoje niezadowolenie z polityki klubu. W Polsce coś takiego byłoby nie do pomyślenia, natychmiast interweniowałaby milicja, a sam prezes dał drapak. Tam - całkiem inaczej. Grubas wstał i równie wściekle wrzeszczał na kibiców, odrzucał styropianowe poduszki i cieszył się jak dziecko, kiedy udało mu się któregoś z adwersarzy trafić w łeb.

Wreszcie zaczął się mecz i Strejlau (drużyna miejscowa) wygrał z Gmochem (Ateny) 2:0. Co najdziwniejsze, publiczność wyraźnie wyróżniała przegranego, skandując bez przerwy jego imię, a kiedy wywołany wstawał z ławki i teatralnie kłaniał się na wszystkie strony świata brawom i zachwytom nie było końca. Jednakże gdy tylko sędzia zabrał piłkę i zniknął w szatni, na boisku

rozpętała się prawdziwa wojna zadowolonych zwolenników Larissy z przybyszami ze stolicy. Rozprawę na noże sprowokowali zwycięzcy, a nie rozgoryczeni pokonani. To wszystko zupełnie nie dotyczyło Gmocha, którego - jakby na złość Strejlauowi - miejscowa ludność na rękach zaniósła do autokaru. I znowu niespodzianka! Bo ledwie autobus AEK wyjechał poza obręb stadionu, na wąskim mostku nad rzeczką czekał szpaler kibiców Larissy, którzy obrzucili kochanego przez siebie Gmocha i jego drużynę kamieniami, wybijając prawie wszystkie szyby. Zrozumiałe, że autobus nie nadawał się już do czterystukilometrowej podróży do Aten i trzeba było znaleźć jakiś inny środek lokomocji, a także załatwić formalności ubezpieczeniowe. Potrzebny był więc protokół miejscowej policji. Kiedy podjeżdżaliśmy wrakiem pod miejski komisariat, byłem przerażony, bo tam też czekał tłum miejscowych kibiców. Ale gdy tylko Gmoch wysiadł, natychmiast znalazł się na rękach tłumu, który wiwatując poniósł go do najbliższej knajpy. I już nikomu z uczestników ateńskiej wycieczki nic złego stać się nie mogło.

Do dziś nie mogę zrozumieć tych reakcji. Dlaczego publiczność po zwycięstwie swej drużyny prowokuje rozprawę na noże?

Dlaczego wielbi trenera rywali, zaniehbując swojego? I dlaczego tego uwielbianego Gmocha ci sami sympatycy najpierw obrzucili kamieniami, a zaraz potem nosili na rękach?

HOTEL GELLERTA (Budapeszt)

Bardzo lubię Budapeszt i mam stamtąd wspomnienia natury sentymentalnej, ale nie nadające się do publikacji. Więc o czym innym.

Najokropniejszą opowiadkę natury obyczajowej usłyszałem właśnie w Budapeszcie i to od osoby, jak sądzę, wiarygodnej, bo od wyjątkowo rezolutnego tłumacza na polski i odwrotnie, Lajosa Bene. Dostał właśnie chałturę, aby zapoznać mnie z urokami stolicy zaprzyjaźnionej republiki. Na ten cel otrzymał nawet jakieś forinty, więc umyśliłem sobie, że może udałoby się zjeść kolację w sławnym hotelu Gellerta, podobno najelegantszym lokalu Europy Wschodniej. Gdy tylko to powiedziałem, Lajos zaczął machać rękami i zdecydowanie oświadczył, że przენigdy, chyba że po jego trupie! Potem wyjaśnił w czym rzecz.

Niewiele wcześniej dostał pod opiekę innego, bardzo ważnego gościa z Polski - postać na szczeblu ministerialnym, o której nic bliższego nie chciał powiedzieć. I oto ów gość, korzystając z wolnego wieczoru, zwolnił tłumacza, żeby samemu zwiedzać miasto. Pieniędzy miał dosyć, więc bez obaw udał się właśnie do „Gellerta” na węgierską kolację. W bliżej nie znanych okolicznościach poznał w lokalu piękną kobietę, bez wątpienia Węgierkę, i po wymianie uprzejmości - minister przysięgał się później, że tylko uprzejmości! - piękna i już znajoma zaprosiła go na kieliszeczek wina do swojego pokoju, bo jak się okazało korzystała z gościny hotelu nad restauracją.

Składając później relację, minister wyjaśnił, że w sposób jak najbardziej naturalny doszło pomiędzy nim a kobietą do zbliżenia, jednakże w momencie kulminacyjnym nasz człowiek znalazł się w potrzasku, czyli w żelaznym uścisku kończyn dolnych partnerki, tak że nie mógł się ruszyć. Wtedy zza kotary, osłaniającej drzwi balkonowe wyszedł najprawdziwszy mężczyzna, tyle że całkiem goły i na unieruchomionym polskim ministrze dokonał gwałtu! Po tym spełnieniu dobrana para wyrzuciła ministra wraz z odzieżą na korytarz.

O tym wszystkim opowiedział Lajosowi ów gość z Polski, a następnie powtarzał to, a Lajos B. tłumaczył, w różnych ważnych węgierskich urzędach, gdyż tak nadużyty Polak żądał moralnej satysfakcji od Madziarów i surowego ukarania winnych. Zdaje się, że nawet wdrożone zostało specjalne śledztwo, o tyle utrudnione, że nasz rodak nie pamiętał numeru pokoju, z kolei Węgrzy odrzucali podejrzenie, aby w hotelu mogła być zameldowana ich obywatelka. Wszystko razem zakrawało na międzynarodowy spisek seksualnej mafii przeciw przyzwoitemu z natury ministrowi z zaprzyjaźnionego kraju. W każdym razie Lajos na sam dźwięk słowa „Gellert” sztywniał, a następnie z dezaprobatą trzepotał łapkami.

Ze mną też miał niezłą polkę. Oto przed przylotem został uprzedzony, że z wizytą do Budapesztu przybywa ktoś bardzo ważny. Dlatego oprócz tłumacza na lotnisku czekała czarna wołga z kierowcą. Sam byłem cokolwiek zdziwiony. Stan ten pogłębił się jeszcze, gdy zamiast do normalnego municypalnego hotelu zawieziono mnie do dzielnicy ambasad KDL i umieszczono w obszernym pokoju luksusowego pensjonatu, pozostającego w gestii Komitetu Centralnego Węgierskiej Partii Pracujących. Poza kolorowym telewizorem i dwoma wygodnymi tapczanami w pokoju była także zamaskowana lodówka, obficie zaopatrzona w zimne zakąski i jeszcze zimniejsze napoje, z alkoholowymi włącznie. Na posiłki dowoził mnie dyżurny, milczący kamerdyner, bo sala jadalna

mieściła się na ostatnim piętrze z tarasem widokowym na cały Peszt. Obiad zwyczajowo składał się z pięciu dań, w tym trzech gorących, a do jadła wedle uznania i w każdej ilości kelner z wózkami serwował trunki. Miałem osobny stolik z własną wizytówką i nikt obcy nigdy się do niego nie dostał. Pilnował tego bardzo tajemniczy szef sali, który - jak kamerdyner - nic nie mówił, tylko się uśmiechał. Kiedy po posiłku udawałem się do windy, delikatnie przytrzymał mnie za ramię, naciskał dzwonek i we dwóch czekaliśmy kilkanaście sekund, aż w windzie pojawiał się kamerdyner, który zwoził mnie i odprowadzał do drzwi pokoju.

Tak chuchano na mnie przez tydzień i choć do wykwintnego stołu zdołałem się przyzwyczaić, ciągle nie mogłem zrozumieć, czemu zawdzięczam tak nadzwyczajne środki ostrożności i pilotażu mej skromnej osoby. Nie mógł pojąć tego także towarzyszący mi w biesiadowaniu Lajos, który przeraził się dopiero dnia ostatniego, w niedzielę, gdy zauważyliśmy, że przy największym stole, ale we wspólnej sali, spożywa obiad w towarzystwie licznej rodziny sam towarzysz Janos Kadar!

Wieczorami zwyczajowo opróżnialiśmy z Lajosem lodówkę. W tę niedzielę zrobiliśmy to nieco wcześniej - w oczekiwaniu na „Wołgę”, która miała mnie zawieźć na lotnisko bo ja panicznie boję się latania. I nagle, kończąc przydziałową palinkę Lajos wrzasnął po polsku: „Mam! Wiem, dlaczego cię tak honorują, a twojego szefa, jak bawił przed paroma miesiącami, trzymali w hotelu na przedmieściu...”. I rezolutny tłumacz wyjaśnił mi, na czym polegają kulisy zapowiedzianych wizyt służbowych. Warszawa musiała wystać teleksem notę do ambasady w Budapeszcie, a ponieważ czcionka teleksu jest „międzynarodowa”, na klawiaturze nie ma litery „ł”. I już wszystko jasne! Dla mnie wcale nie było to jasne, bo co mnie mogło łączyć z literą „ł”? I dopiero tłumacz Bene Lajos wydedukował, że w oficjalnej nocie używa się zwyczajowo zwrotów „towarzyskich”: „uprzejmie informujemy towarzyszy ambasadora, że do Budapesztu przybędzie tow. atlas itd. Wszystko małymi literami, bo w teleksach nie stosuje się tzw. „wersalików”. Czytając notę towarzysz ambasador musiał pomyśleć, że chodzi w niej o tow. Atłasa. A to był bardzo ważny kierownik wydziału administracyjnego w KC PZPR. I to właśnie towarzysz ambasador PRL w Budapeszcie uruchomił „kanały” w zaprzyjaźnionej partii rządzącej, abym przyjęty został z należnymi honorami. Tak musiało być i tak było na pewno!

Przypomniałem sobie, że już pierwszego dnia pobytu w pokoju zadzwonił telefon i ktoś niezwykle uprzejmie i najczystszą polszczyzną powiadomił mnie, że towarzysz ambasador ogromnie przeprasza, iż nie dojdzie do spotkania, ale w trybie pilnym wyjechał na tydzień na konsultacje do Warszawy...

Nic nie szkodzi - odpowiedziałem równie uprzejmie, bo przecież w ogóle nie śniło mi się, żeby składać kurtuazyjną wizytę najważniejszemu rezydentowi mojej ojczyzny - mam swój program zajęć i wszystkie moje życzenia są spełniane...

W takim razie życzę miłego pobytu - powiedział polski głos i pożegnał się z należnym szacunkiem.

Taka to mi się przydarzyła przygoda w Budapeszcie. Był wrzesień 1984 roku. Za miesiąc w wyniku spisku esbecji miał zostać zamordowany ksiądz Popiełuszko. Po wykryciu tej zbrodni „poleciały głowy”, między innymi zwolniony został z obowiązków odpowiedzialny za resort MSW w KC towarzysz Michał Atlas. Po paru latach, ale jeszcze za komuny, umarł. Jakby nie patrzeć - budapeszteński „numer” jest już nie do powtórzenia.

KOŃCÓWKA

Nie napisałem wszystkiego ani o ludziach, ani o zdarzeniach. Albo nie chciałem, albo nie mogłem, powodowany lojalnością lub też tanim sentymentalizmem. Jeżeli czegoś, co pominąłem, żałuję, to chyba tylko reporterskiego zapisu z wielkich budów socjalizmu. Z błot Huty Katowice, z szerokotorowej magistrali albo z fantastycznych gruzów skalnych, na których zbudowany został Port Północny. Więc może na zakończenie jeszcze jedna historyjka stamtąd właśnie...



Jak wszystko w Polsce Ludowej, także Port Północny budowała młodzież. Nie tylko ona, ale dwudziestoparolatków było dostatecznie wielu, aby w nagrodę państwo ludowe zafundowało im wczasy. I właśnie pod hasłem: „Jak to było na wakacjach?” zjawiłem się pewnego razu w Zarządzie Wojewódzkim ZMS w Gdańsku, żeby na tę okoliczność odpytać do gazety komendanta tego zbiorowego wypoczynku. Korpulentny młodzieniec był oczywiście etatowym pracownikiem młodzieżowej instancji, ale zaraz po usłyszeniu pytania oświadczył mi, że on zawsze z załogą i że będzie lepiej, jak sobie porozmawiamy w szerszym gronie, w świetlicy Portu Północnego. Trochę się

skrzywiłem, bo to przecież z Wrzeszcza był kawałek drogi, ale komendant młodzieżowy uspokoił mnie, że przecież nie będziemy się tłuc autobusem. W końcu od czego są służbowe fiaty? I rzeczywiście, na parkingu czekało już na nas auto z kierowcą. Pojechaliśmy na miejsce i zmierzaliśmy ku świetlicy, gdzie oczekiwali nas z butelką koniaku wypoczęci aktywiści ZMS na etatach robotniczych, gdy na schodach minęła nas jakaś panienka, jakby zawstydzona spotkaniem z komendantem. Ukłoniła się - jak należy - pierwsza, a nawet dygnęła. Mój przewodnik po Porcie Północnym niedbale skinął jej głową, jakby zamyślił się, a po sekundzie odwrócił i wysuwając brodę w kierunku odchodzącej, odwróconej do nas plecami dziewczyny powiedział z rozbijającą szczerością:

- Popatrz, jeszcze przedwczoraj tam, w ośrodku, z nią żyłem. A teraz dzieli nas przepaść. Ona - prosta dziewczyna, a ja - pracownik politycznego frontu. Czy to nie dziwne...

- Rzeczywiście, dziwne - odparłem uprzejmie.

I to już ostatnia anegdota w tej książce. Jak wszystkie - prawdziwa.

Warszawa, styczeń-kwiecień 1991.

promocje – jesień – zima

HOTEL "HARCTUR"
Spółka z o.o.



oferuje gościom krajowym i zagranicznym
(grupom i osobom indywidualnym):

- noclegi w pokojach 2,3,4-osobowych po konkurencyjnych cenach
- smaczne i tanie posiłki w gastronomii hotelowej

Hotelowe Biuro Obsługi Turystycznej, zapewnia pełen pakiet usług turystycznych.

- ☐ autokary
- ☐ usługi przewodnickie
- ☐ wstępy do Zamku Królewskiego, Wilanowa, Łazienek, teatrów, kabaretów
- ☐ kilkugodzinne, standardowe wycieczki autokarowe "Dzieje Warszawy"
- ☐ wycieczki z programem na życzenie klienta

Informacji udziela i przyjmuje zgłoszenia
Biuro Obsługi Turystycznej

HOTEL "HARCTUR"

00-973 WARSZAWA, ul. Niemcewicza 17
tel. 659-00-11 centrala, 22-19-13, 659-14-16
fax 812308, 816541 btzhp pl

Agencja „REPORTER“

poleca: literaturę faktu — kryminał — horror — fantasy — s-f

K.P. Werden, **STRZAŁ DO... LECHA WAŁĘSY**
Wojciech Pielecki, Piotr Gabryel, **DEMONY BIAŁEGO DOMU**
Eugene Dabit, **HOTEL DU NORD**
Benito Pérez Galdós, **ZJAWA**
Artur Omre, **UCIECZKA**
Marek Baraniecki, **GŁOWA KASANDRY**
Andrzej Sapkowski, **WIEDŹMIN**
Zbiorowa s-f, **POŻERACZ SZAROŚCI**
Tadeusz Baranowski, **WESOŁE MIASTECZKO**, kolorowanka dla dzieci

w przygotowaniu:

Marek Bartosik, Zbigniew Krzysztyniak, **BRYLANTOWA MAFIA**
Zbiorowa, **DEMONY BELWEDERU**
Juliette de Gautier, Eryk Mistewicz, **ENCYKLOPEDIA ŻYCIA** (żywność, zdrowie, kosmetyki, mieszkanie, kuchnia, odpady, transport, energia, ogród, weekend)
Russell O'Neil, **DIABELSKI ZAWÓD**
Per Olov Enquist, **PIĄTA ZIMA MAGNETYZERA**
Alice Habsburg, **PAMIĘTNIKI**

Zamówienia księgarń i hurtowników przyjmuje nasza agencja handlowa „AUTOGRAF“, ul. Andrzejowska 6/8, 02-312 Warszawa, tel. 23-43-33.

Sposoby płatności do omówienia. Zapraszamy od 10.00 do 17.00.

W książce wykorzystano fotografie:

ze zbiorów Autora (fot. Kazimierz Chwiejczak, Jerzy Koźnik, Dariusz Kula, Lech Pempel, Jan Rozmarynowski, Jadwiga Rubiś), CAF, Instytutu Teatru Narodowego, Polfilmu, PAI (fot. Maciej Bilewicz, J. Morek, Z. Wdowiński); Andrzeja Krawczyka (fot. i reprodukcje), Cezarego Słomińskiego, Leopolda Dzikowskiego, Władysława Moroza.

Reprodukcja portretu Jana Himilbscha pochodzi z książki „Łzy Softysa” wydanej przez „Czytelnika” w 1982 r.

Projekt okładki: Marek Trojanowski

Foto na okładce: Grzegorz Rogiński Redaktor: Wanda Pilawska

Copyright by Janusz Atlas

ISBN 83-85189-10-6

Wydawca:

Agencja „Reporter”

00-973 Warszawa, ul. Niemcewicza 17 tel. 23-43-33

Skład: Pracownia Poligraficzna COMPTExT, Warszawa Druk: Zakłady Graficzne Sp. z O.O., Piła

Indeks osób został pominięty - zorg

